Polska Partia Trumpa • Ksiądz z Jarosławia • Cenne wady Polaków • Porzucane studia
Zabójcy drogowi: jakie wyroki? • Rozmowa ze Szczepanem Twardochem

POLITYKA.PL

POLITYKA

LIDER SPRZEDAŻY 1

ILUSTRACJA MAGDALENA MAMAJEK-MICH



CZYM PUTIN STRASZY

I jaką mamy odpowiedź

s. 10, 12, 46

USA 5 USD; WIELKA BRYTANIA 4 GBP; KRAJE STREFY EURO 4,95 EURO TYGODNIK, nr 41 (3585), 7.10–13.10.2026 Cena 16 zł (w tym 8% VAT) nr indeksu 369195

ISSN 0032-3500

Wydanie w sprzedaży do 13.10.2026

eprasa.pl b8c08e3ae2

POZNAJ BOHATERÓW POWIEŚCI



Wydanie papierowe – w punktach sprzedaży prasy i na **sklep.polityka.pl**

Wydanie cyfrowe – subskrypcja **polityka.pl/cyfrowa**

Podkast POLITYKA o historii – **polityka.pl/podkasty**

Newsletter historyczny – **polityka.pl/newslettery**

KUP TERAZ

Na sklep.polityka.pl znajdziesz ponad 60 tytułów z serii Pomocnik Historyczny

eprasa.pl b8c08e3ae2



© WHITE HOUSE/ZUMA PRESS/FORUM

20
Prezydent, prawica, patron

Konflikt z Rosją

10 Marek Świerczyński
Atomowe strachy Putina
12 Gen. brygady w stanie spoczynku **Tomasz Drewniak** o tym, że nasza wojna z Rosją już się toczy

Polityka

16 ROZMOWA POLITYKI
Hanna Gill-Piątek i **Bartłomiej Sienkiewicz**, dlaczego powinniśmy zhakować państwo
20 Michał Danielewski **Polska prawica zapatrzona w Trumpa**
24 Ewa Siedlecka
Pokazowe kary nakazowe

Społeczeństwo

28 Zbigniew Borek **Skąd tak różne wyroki dla morderców drogowych**
31 Joanna Cieśla
Studia wielokrotnego wyboru
34 Katarzyna Kaczorowska **Jarosław: szok po zabójstwie księdza**
36 Violetta Krasnowska
Sprawa „skóry": prokurator kontra uniewinniony po latach

Rynek

40 Cezary Kowanda
Dokąd na urlop, czyli gdzie jest jeszcze bezpiecznie
43 Dr **Sławomir Dudek**, przewodniczący Rady Fiskalnej, o tym, na co nasze państwo naprawdę stać

Świat

46 **Mykoła Kniażycki**, ukraiński poseł, znawca Polski, o potrzebie sojuszu polsko-ukraińskiego ponad uprzedzeniami
50 Jędrzej Winiecki
Żarłoczne centra danych
53 Łukasz Wójcik WENEZUELA
Alejandro Betancourt – naftowy chłopiec

Nauka/projektpulsar.pl

56 Agnieszka Krzemińska
Wielkie odkrycie w Bibliotece Narodowej
59 Marcin Rotkiewicz
Serial o pseudoproroku z czasów pandemii
60 O dzisiejszej roli Polskiej Akademii Nauk mówi jej prezes **Marek Konarzewski**

Historia

62 Jak przed 35 laty rozwiązano KGB, opowiada były generał tej formacji
Oleg Kaługin
65 PROSTO Z KSIĄŻKI
66 Alexey Roshtenko
Tajemnicze pożary w imperium Romanowów

Kultura

72 Rozmowa ze **Szczepanem Twardochem**, laureatem Nagrody Nike za powieść „Null", o jego nowej książce „Waldkauz"
76 Jakub Demiańczuk
Serial „Carrie" – nowa ekranizacja Stephena Kinga
78 Dorota Szwarcman
Odmieniony Konkurs Wieniawskiego
80 Piotr Sarzyński
Zamki, fosy, schrony… – jak się chroniliśmy przez wieki

Ludzie i style

88 Bartek Kieżun
Słynna oliwa z Umbrii
89 MEA PULPA
Kuby Wojewódzkiego

Stałe rubryki

- **4** Przypisy
- **6** Ludzie i wydarzenia
- **68** Afisz
- **83** Koziołek
- **84** Hartman
- **85** Lis
- **86** Mizerski
- **86**, **90** Galeria POLITYKI
- **87** Do i od redakcji
- **90** To jeszcze nie koniec

eprasa.pl b8c08e3ae2



Stan nie-pokoju

Mariusz Janicki

Świat wydaje się już trochę zmęczony amerykańskim prezydentem, który nie bawi tak jak wcześniej i nie kończy nawet tych wojen, które sam zaczął. Wielu zatem zadaje sobie pytanie, czy Donalda Trumpa da się po prostu przeczekać, po jego kadencji zresetować amerykańską politykę i pod jakimś poczciwym Demokratą jako nowym prezydentem poukładać wszystko na nowo. Jedni uważają, że jak najbardziej, bo Trump prowadzi politykę bardzo osobistą, emocjonalną, wręcz nie do uwierzenia na tym stanowisku w kluczowym państwie. Dlatego już samo wyjęcie takiej nietypowej postaci z układu spowoduje powrót wszystkich elementów na swoje miejsce, jeśli Amerykanom nie przyjdzie do głowy wybrać Vance'a czy kogoś podobnego. Ale nie brak opinii, że nic już nie wróci, z dwóch nachodzących na siebie powodów. Pierwszy jest taki, że Trump nieodwołalnie złachmanił świat, którego łącza się poluzowały, a uszczelki poodpadały. Zanegował dotychczasowe zasady, zdemoralizował zarówno wrogów, jak i przyjaciół. Odnowił kult siły, naruszał procedury, umowy, kulturowe kody, zarówno wewnątrz USA, jak i w relacjach zagranicznych. I wielu widzom ten brutalny, gladiatorski teatr się spodobał – trudno będzie znowu ich namówić na operę i balet.

I drugi powód: Donald Trump był zarówno przyczyną światowego chaosu, jak i odpowiedzią na zmieniającą się i bez niego rzeczywistość. Sygnały odwrotu od liberalnej demokracji pojawiły się jeszcze przed pierwszą kadencją obecnego prezydenta, także w Polsce w 2015 r. A wzrost potęgi państw odległych od liberalnego modelu spowodował, że już mało kto zajmuje się brakiem standardów ustrojowych czy stanem praw człowieka w tych krajach, choć jeszcze nie tak dawno, np. w przypadku Chin, podnoszono te kwestie. Teraz trwa po prostu zacięta walka o przetrwanie, o strefy wpływów, zasoby, metale rzadkie, ropę, gdzie dawne wartości zostały podporządkowane bieżącym potrzebom. Polityka stała się bardziej pierwotna i bezwzględna, a egoizm i cynizm – pożądanymi cnotami. I na stałe pojawiło się zagrożenie wojną, putinowska Rosja prowadzi rozmaite działania hybrydowe, w tym gry psychologiczne – z NATO, Europą i Polską. Zapewne czeka nas długie przebywanie w szarej strefie między wojną a pokojem, do czego powinno się przygotować państwo, a także obywatele (więcej o tym nie-pokoju s. 10 i 12).

W ten stan zawieszenia i niepewności wpisał się Trump ze swoim politycznym darwinizmem, bezceremonialnością, gigantycznym narcyzmem – tym wszystkim, co się nadal wielu ludziom nie mieści w głowach. Pewne „odkrycia" Trumpa zostały wykorzystane także przez stronę liberalną, np. kontaktowanie się z wyborcami ponad głowami mediów, unikanie konfrontacji z niezależnymi ośrodkami eksperckimi i kontrolnymi. To Trump i jego ludzie stoją za stwierdzeniem, że każdy ma „własne fakty", czyli w zasadzie oddzielną rzeczywistość, w której np. Trump i Nawrocki są najlepszymi prezydentami w historii swoich krajów.

Polska prawica w ten nowy alt-świat ochoczo uwierzyła. Widzi rozmaite wybryki amerykańskiego przywódcy, bo nie da się ich bez końca ignorować, ale wiele kuriozów po prostu przemilcza, np. związek wysokich cen paliw z cieśniną Ormuz. Martwi się też listopadowymi wyborami połówkowymi w Stanach, po których moc obecnej ekipy z Białego Domu może osłabnąć. Jednocześnie w całości wisi na Trumpie, zawierza mu swój polityczny los, oczekuje wsparcia i kopiuje. To naśladownictwo dotyczy zwłaszcza prezydenta Nawrockiego, który niejako w ramach licencji zaproponował ostatnio ułatwienie dostępu do broni palnej. Ale jego podpis pod ustawą paliwową, zapewne wymuszony sondażami w tej sprawie, chyba po raz pierwszy tak wyraźnie pokazał limity – jak to nazwał premier Tusk – „rumakowania". Trochę powietrza uszło i nie zatuszowało tego wystudiowane, ale i wyraźnie emocjonalne orędzie. Chociaż w Pałacu wciąż mają nadzieję, że jeszcze się odkują, np. żądając od rządu paliwa za 5 zł.

W niektórych sprawach Prawo i Sprawiedliwość nie musi Trumpa naśladować, bo było pierwsze. Wystarczy wspomnieć, jak po wyborach w 2015 r. napadło na sądy, służby, media publiczne i prywatne, na prawa kobiet i mniejszości, na NGOsy i instytucje kulturalne. Ale dwie kadencje Trumpa, który podkreśla ideologiczną więź z Nawrockim, dodały prawicy tlenu, usprawiedliwiają jeszcze większą zaciętość w politycznej walce, odpuszczenie wszelkich hamulców (więcej s. 20).

Co istotniejsze, Trump zachwiał poczuciem pewności liberalnych demokratów. Jego ostentacja i bezczelność mają być dowodem posiadania racji i tym samym obezwładniać przeciwników, którzy mogą się z niego podśmiewywać, ale po cichu szukają dojścia do Białego Domu. Ludzie Kaczyńskiego i Nawrockiego dworują sobie z Tuska, Sikorskiego czy Kosiniaka-Kamysza, że ci nie mają czego szukać w Waszyngtonie, i ich to wyraźnie cieszy. Ponadto traktują amerykańskiego prezydenta jako obrońcę przed obecną władzą: „Uzda Trumpa na Tuska" – to tytuł z tygodnika „Sieci". Tego rodzaju demonstracje i pokazy arogancji wyraźnie sprawiają prawicy przyjemność, a ekipa Tuska nie bardzo może sobie pozwolić na otwartą krytykę Trumpa i jego administracji właśnie po to, by uniknąć zarzutu, że atakują głównego militarnego sojusznika.

Co nie znaczy, że nie da się w ogóle przeciwdziałać psuciu demokratycznego ładu przez toksyny MAGA. Nawet nie atakując bezpośrednio Trumpa, można stawiać opór jego agendzie, skrajnie prawicowej, nacjonalistycznej wizji wewnętrznego i globalnego nowego porządku. Kapitulanctwo wobec „nieuchronnej prawicowej fali" i polityczny fatalizm byłyby największym sukcesem Donalda Trumpa. Bo jednak kiedyś nastąpi czas bez trumpistów w Białym Domu. Jeżeli wtedy zabraknie, także w Polsce, twardych obrońców „starej" demokracji, ale z nowym spojrzeniem i pomysłami (o potrzebie takich wizji więcej w rozmowie Jerzego Baczyńskiego z Bartłomiejem Sienkiewiczem i Hanną Gill-Piątek na s. 16), to radykalna alt-prawicowa opcja stanie się obowiązującym modelem na dłużej. Nie ma już zatem dokąd się cofać.

eprasa.pl b8c08e3ae2

Albatros travel

Albatros 40 lat

Sumatra - wyspa orangutanów

Od historycznej Malakki, przez lasy deszczowe i wulkany na Sumatrze, aż po ogromne jezioro Toba – przed nami podróż pełna spotkań z orangutanami, zachwycającej przyrody, fascynującej kultury i jednych z najbardziej niezwykłych krajobrazów Azji Południowo-Wschodniej, a na koniec wizyta w dynamicznej stolicy Malezji – Kuala Lumpur.

NOWOŚĆ



Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy. **Dz. 2** Przylot do Malezji i historyczna Malakka. **Dz. 3** Malakka – życie nad rzeką, kolonialna historia i urokliwe uliczki. **Dz. 4** Kuala Lumpur – Medan – Bukit Lawang, na spotkanie z orangutanami na Sumatrze. **Dz. 5** Bukit Lawang – wędrówka w dżungli i spotkanie z orangutanami. **Dz. 6** Bukit Lawang – kolejna wędrówka po dżungli i możliwość spływu po rzece Bohorok. **Dz. 7** Bukit Lawang – Berastagi. Z lasu deszczowego do krainy wulkanów. **Dz. 8** Berastagi. Wędrówka wśród wulkanów i kultura Karo-Batak. **Dz. 9** Berastagi – jezioro Toba – Samosir. Wodospad, wyżyny i ogromne jezioro wulkaniczne. **Dz. 10** Jezioro Toba / Samosir. Lokalne wioski i lud Batak nad jeziorem Toba. **Dz. 11** Jezioro Toba / Samosir. Wycieczka rowerowa i odpoczynek nad jeziorem. **Dz. 12** Jezioro Toba – Kuala Lumpur. **Dz. 13** Kuala Lumpur. Wielkomiejski rozmach, historia kolonialna i wieże Petronas. **Dz. 14** Czas wolny do wylotu. **Dz. 15** Powrót do domu.

15 dni | Wyloty z Warszawy 15/06, 08/09 2027 | od 12.998,-

2 posiłki dziennie, 2 dni przedłużenie na plaży



Turcja – Imperium Sułtanów

Poznaj 5 obiektów z listy światowego dziedzictwa UNESCO oraz 3 tysiąclecia historii podczas jednej podróży! Od panoramy Stambułu z licznymi kopułami meczetów, przez marmurowe uliczki Efezu, po białe tarasy Pamukkale. Pełna kulturalnych skarbów podróż przez zachodnią i środkową Turcję.

Program wycieczki: Dz. 1 Warszawa – Stambuł. Przylot do Stambułu, historyczna dzielnica Sultanahmet i kolacja powitalna. **Dz. 2** Stambuł – historyczne centrum miasta i rejs po Bosforze. **Dz. 3** Stambuł – Bursa. Osmańskie dziedzictwo, historia sułtanów i wioska Cumalıkızık. **Dz. 4** Bursa – Bergama – Izmir. Życie anatolijskiej wioski i starożytna sztuka leczenia. **Dz. 5** Efez – skarby UNESCO i starożytne cuda oraz wizyta w winiarskiej wiosce Şirince. **Dz. 6** Pamukkale. Tarasowe baseny wapienne, starożytne miasto i góry Taurus. **Dz. 7** Antalya. Wodospady Düden i urok starego miasta. **Dz. 8** Powrót do domu. Przelot Antalya – Warszawa.

8 dni | Wyloty z Warszawy 04/05, 04/06 2027 | od 8.798,-





Opera w Savonlinnie

6 dni | Wylot z Warszawy:
08/07 Andrea Chénier i Czarodziejski flet
14/07 Andrea Chénier i Cyrulik Sewilski
19/07 Czarodziejski flet i Cyrulik Sewilski od 6.498,-

Światowej klasy opery w słynnej fińskiej krainie tysiąca jezior, a także zapierające dech w piersiach krajobrazy Finlandii i jej stolica – Helsinki.

Program wycieczki: Dz. 1 Przelot Warszawa – Helsinki. Przejazd do Savonlinny przez piękną krainę tysiąca jezior. **Dz. 2** Savonlinna. Zwiedzanie największej na świecie drewnianej cerkwi prawosławnej, wizyta w galerii sztuki i pierwsze przedstawienie operowe. **Dz. 3** Savonlinna. Rejs statkiem po jeziorze Saimaa, zwiedzanie Savonlinny, lokalny targ i spektakl operowy. **Dz. 4** Savonlinna – Punkaharju – Parikkala – Imatra – Porvoo – Helsinki. Wyjątkowy park rzeźb, najsłynniejsze wodospady w Finlandii i małe urokliwe wioski. **Dz. 5** Helsinki. Zwiedzanie miasta i czas wolny. **Dz. 6** Helsinki. Czas wolny do wyjazdu na lotnisko i podróż powrotna do domu.

albatros.pl
Warszawa, ul. Marszałkowska 76, 8p.
rezerwacja +48 22 128 48 81

Kod reklamy: **PL38**

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe

eprasa.pl b8c08e3ae2



Polacy wesprą amerykańską operację?

Na prośbę USA Polska rozważa udział w operacji zabezpieczającej cieśninę Ormuz. Analizy polityczne i przygotowania po stronie wojskowej nabrały tempa we wrześniu, wraz z przyspieszeniem rozmów o stałej bazie amerykańskich wojsk w Polsce, ale żadnej decyzji jeszcze nie podjęto. Źródła wojskowe twierdzą, że trwa rekonesans w regionie i „działania wyprzedzające" ewentualne skierowanie na Bliski Wschód nowego kontyngentu z Polski. Misja ma mieć ściśle ochronny charakter i nie byłaby w żaden sposób powiązana z trwającą operacją „Epic Fury" – amerykańską kampanią zbrojną przeciwko Iranowi.

Amerykanom zależy na powołaniu jak najszerszej wielonarodowej koalicji, mimo że wypowiedzenia wojny nie konsultowali z sojusznikami i partnerami. Jej skutki odczuwają jednak wszyscy, a Waszyngton ma swoje instrumenty i zachęty, i nacisku. Znalazł się w sytuacji, gdy sam potrzebuje pomocy – bo akurat środki przeciwminowe i eskortowe jednostki marynarki wojennej nie są mocną stroną najsilniejszego militarnie kraju świata. Donaldowi Trumpowi zależy ponoć na ogłoszeniu sojuszniczego wsparcia jeszcze przed wyborami połówkowymi do Kongresu (3 listopada). Skutki ataku na Iran są jedną z największych porażek jego administracji, a umiędzynarodowienie zarządzania tym problemem ma choć trochę złagodzić presję Demokratów. Trump chce więc odnieść „historyczny sukces".

Waszyngton poprosił o wsparcie kilkadziesiąt krajów, a w ostatnich miesiącach różne pomysły misji w cieśninie Ormuz pojawiały się zarówno w Europie, jak i w krajach Zatoki Perskiej. Tydzień temu o wysłaniu niewielkiego kontyngentu zdecydowała Łotwa, której też zależy na obecności amerykańskich wojsk. Biorąc pod uwagę skalę powiązanych interesów, Polska też wydaje się oczywistym kandydatem. Byłaby to pierwsza od dekady nowa misja wojskowa na Bliskim Wschodzie pod parasolem USA.

Od 2016 r. Polska przez dwa lata utrzymywała w Kuwejcie rozpoznawcze F-16, wspierając walkę z ISIS. Kontyngent szkoleniowy NATO w Iraku praktycznie wycofano – w Jordanii został tylko zespół Wojsk Specjalnych. Błękitne hełmy ONZ w Libanie to inna historia, choć też w zapalnym miejscu. Ormuz byłby nowy również dlatego, że obejmowałby siły morskie – zapewne z okrętem walki przeciwminowej typu Kormoran II. Nieuchronnie jednak mogłoby to przywołać nienajlepsze wspomnienia z Iraku. Wówczas wsparcie Amerykanów po rozpętanej przez nich (też bez konsultacji) wojnie okazało się wielkim obciążeniem i wojskowym, i politycznym.

MAREK ŚWIERCZYŃSKI

Prokuratura w PZPN



Kontrowersyjna umowa między Polskim Związkiem Piłki Nożnej a firmą Publicon Sport, obdarzoną w 2021 r. wyłącznym pośrednictwem do zawierania kontraktów sponsorskich i marketingowych na rzecz federacji, w końcu wzbudziła zainteresowanie prokuratury.

O tym, że umowa zawiera zapisy, których realizację należy uznać za działanie na szkodę PZPN, POLITYKA pisała już we wrześniu 2023 r. Przed niespełna rokiem TVN24 wyemitował zaś reportaż „W związku z pieniędzmi", który ujawnił dodatkowe informacje. Ich tropem poszła prokuratura, według której niegospodarność oraz wyrządzone PZPN szkody majątkowe mogą opiewać na co najmniej 4 mln zł.

Publicon Sport powstał przy dużym udziale Radosława Tadajewskiego, wrocławskiego biznesmena (i bliskiego znajomego Adama Hofmana), którego firmy były zaangażowane w kampanie na rzecz PiS oraz Andrzeja Dudy. Tadajewski zarobił na tych zleceniach, ale przede wszystkim „podpiął się" pod obsługę marketingową Orlenu, NBP oraz PZPN. Okazuje się, że Publicon Sport pobierał w PZPN 13-procentowe prowizje również od umów sponsorskich, do których zawarcia w ogóle się nie przyczynił (np. InPost, Fakro czy STS). Otrzymywał też 150 tys. zł miesięcznie za gotowość do pracy, a sama umowa, którą zawarł, była przez pierwsze pięć lat niewypowiadalna. Tylko w 2024 r. pośrednik zainkasował w PZPN ponad 12 mln zł.

Wpuszczenie Publicon Sport do PZPN było też formą odpłacenia Tadajewskiemu za czarną kampanię, którą jego ludzie prowadzili w celu zdyskredytowania Marka Koźmińskiego. To człowiek, który w 2021 r. w wyborach na prezesa PZPN stawił czoła **Cezaremu Kuleszy**. Gdy Publicon trafił do PZPN, zwycięski prezes Kulesza przezornie się pod umową nie podpisał. POLITYCE tłumaczył, że Publicon jest w porządku, bo mimo że obsługuje też Orlen, nie wziął prowizji za rekordowy kontrakt sponsorski (36 mln zł rocznie) między PZPN a największą polską firmą. Teraz śledczy będą badać, czy wynagrodzenie za ten deal nie zostało dla firmy Tadajewskiego „zaszyte" w zapisie umowy, przyznającej Publicon prowizję za sprzedaż gadżetów sygnowanych przez PZPN i ozdobionych wizerunkami piłkarzy. Minimalną kwotę tego wynagrodzenia określono na 4,4 mln zł rocznie. Przykładając do tego miarę 13-procentowej prowizji dla pośrednika, wychodzi, że rocznie na sprzedaży gadżetów PZPN powinien zarobić 34 mln zł. To nierealne. Już 2 mln zł byłoby sukcesem. Bardzo prawdopodobne, że prowizja była wyższa niż dochód ze sprzedaży. (MP)

© ŁUKASZ GDAK/EAST NEWS, KUBA ATYS/AGENCJA WYBORCZA.PL DAWID ŁUKASIK/POLSKA PRESS GRUPA/EAST NEWS

eprasa.pl b8c08e3ae2

Na granicy



Anna Siewierska

Profesor Uniwersytetu Rzeszowskiego, politolożka

Rosja powoli, ale konsekwentnie rozbija solidarność polsko-ukraińską, którą zaskoczyliśmy świat w 2022 r. Wtedy pokazaliśmy wszystko, co w nas najlepsze: umiejętność samoorganizowania się, otwartość, gościnność. To społeczeństwo wzięło na siebie ciężar pomocy uchodźcom. Ale im więcej było emocjonalnych deklaracji o braterstwie, zamiast geopolitycznych argumentów, które racjonalizowałyby wysiłek wspierania Ukrainy, tym łatwiej było podważać jego sens. I tak oto znaleźliśmy się w miejscu, w którym jesteśmy dziś: na granicy nastrojów przedpogromowych, podsycanych przez rosyjskich agentów wpływu i tysiące fałszywych kont w internecie, sączących putinowską narrację. Nie ma prawie dnia bez informacji o pobiciu ukraińskich nastolatków, nękaniu uczniów czy wyzwiskach kierowanych do ekspedientek. Na czele antyukraińskiej propagandy stoją, ramię w ramię, Grzegorz Braun oraz były premier lewicowego rządu Leszek Miller, który nagle stał się wyrocznią dla wyborców prawicy.

To przejście od spontanicznej, bezwarunkowej pomocy Ukrainie do sceptycyzmu, a nawet wrogości znajduje odzwierciedlenie w badaniach. Z analiz CBOS wynika, że poparcie dla przyjmowania uchodźców z Ukrainy spadło z 94 proc. w 2022 r. do 52 proc. w 2026 r. Rośnie też odsetek Polaków uważających pomoc udzielaną Ukrainie za zbyt dużą – w tym roku przekroczył 54 proc. Najbardziej niepokojąca jest jednak ocena obecnych stosunków polsko-ukraińskich, którą negatywnie postrzega aż 46 proc. Polaków, czyli najwięcej w całej historii tego badania! Niestety nielepiej jest w Ukrainie. Każdy atak na Ukraińców w Polsce jest tam nagłaśniany przez prawicowe media. Już widać tego efekty. W badaniu dla portalu Slovo i Dilo tylko 11 proc. Ukraińców określiło Polskę jako „bliskiego przyjaciela i niezawodnego sojusznika". Jednocześnie aż 38 proc. uważa nasz kraj za „nieprzewidywalnego i trudnego sąsiada", 27 proc. – za „strategicznego partnera, ale przede wszystkim z powodów pragmatycznych", 18 proc. – za „ekonomicznego i politycznego konkurenta", a 9 proc. dostrzega w Polsce „ukrytego lub potencjalnego wroga". To tąpnięcie w stosunku do entuzjastycznych opinii o Polakach z 2022 r. Ale mogło być gorzej.

Ostatnio wstrząsnął nami atak nożownika w Jarosławiu, w wyniku którego zmarł ks. Stanisław Zbojnowicz. Atakującym okazał się Ukrainiec w stanie silnej psychozy. Internet zalała fala antyukraińskich wpisów wzywających do zemsty. Część polityków postanowiła przy okazji zyskać sondażowo, nie licząc się z konsekwencjami. Do Jarosławia przyjechali narodowcy z całej Polski i gdyby nie przejmująca homilia rannego w ataku ks. Adriana, to „marsz milczenia" mógłby się przerodzić w pogrom.

Wydarzenia te zbiegły się z publikacją raportu Deloitte dla UNHCR o wpływie Ukraińców na polską gospodarkę. Najważniejszy wniosek: Ukraińcy coraz mniej są „beneficjentami", za to coraz bardziej realnym wsparciem dla naszego budżetu. Czy jednak wiele danych wskazujących na pozytywny wpływ Ukraińców na naszą sytuację ekonomiczną odmieni wektor nastrojów w Polsce? Wątpliwe. Faktem jest jednak, że jeden ksiądz z Podkarpacia zdołał powstrzymać pożar wywołany przez nieodpowiedzialnych polityków. A to daje nadzieję.

O ataku w Jarosławiu i jego konsekwencjach czytaj też na s. 34.

Słońce obok krzyża

Bodzentyn to pierwsze miasto w Polsce, gdzie w sali konferencyjnej Urzędu Miasta i Gminy na ścianie, obok krzyża, zawisło koło – **symbol Kościoła Słońca**. Decyzję podjęła **Anna Leżańska**, komisarz rządowy miasta (działalność burmistrza i rady jest zawieszona), powołując się na konstytucyjną zasadę równouprawnienia wyznań. Przekonywała, że innym wyjściem byłoby zdjęcie krzyża i niewieszanie żadnych symboli religijnych, a ponieważ krzyża zdejmować nie chciała, zdecydowała się powiesić także symbol Kościoła Słońca.

Kościół Słońca założyli pięć lat temu aktorka i aktywistka Alina Czyżewska oraz Paweł Nijakowski, przedsiębiorca i społecznik walczący o świeckość edukacji (POLITYKA 41/25). Jego doktryna oparta jest na prawach człowieka, równości i współczesnej nauce; misją jest obrona świeckiego państwa, a celem – „wspólne, harmonijne działania Ludzi świadomie transformujące Boga Słońce, oparte na szacunku wobec Świata". W ubiegłym roku udało się uzyskać wpisanie Kościoła do rejestru wyznań prowadzonego przez Ministerstwo Spraw Wewnętrznych i Administracji. Zyskał osobowość prawną i możliwość korzystania z pewnych przywilejów.



Po rejestracji Rada Światłych Kościoła zwróciła się do marszałków Sejmu i Senatu oraz do prezydenta Poznania (pochodzi stamtąd Nijakowski) o umieszczenie symbolu koła w salach obrad. Odpowiedzi albo nie było wcale, albo były dość pokrętne. Wicemarszałkini Senatu Magdalena Biejat odpisała, że wniosek nie może być uwzględniony, bo państwo jest świeckie, a jego organy winny być neutralne. Tylko że w Senacie wisi krzyż. Odmawiały także kolejne urzędy miast, m.in. Łódź, Słupsk czy Krosno. – *Odpowiedzi były „nie na temat"* – ocenia Paweł Nijakowski. – *Zazwyczaj skupiały się na tym, dlaczego władze miasta nie zamierzają zdjąć krzyża. Chodzi nam o równe zasady dla wszystkich. Kiedy w urzędzie eksponowane są symbole jednej religii, oczekiwanie, że inne zostaną potraktowane tak samo, jest naturalne. Na tym polega świeckie państwo.*

W Bodzentynie się udało. Jak deklaruje Nijakowski, będą próbować dalej. Zamierzają też składać pozwy cywilne o naruszenie praw Kościoła Słońca przeciwko tym, którzy nie chcieli powiesić symbolu koła obok krzyża. (JPOD)

eprasa.pl b8c08e3ae2





Domykanie trumpizacji

Flavio Bolsonaro, 45-letni skrajnie prawicowy polityk, syn byłego prezydenta, wyprzedził urzędującego przywódcę – 80-letniego **Lulę da Silvę** w pierwszej turze wyborów prezydenckich w Brazylii. Przewaga niewielka, mniej niż dwa punkty procentowe, ale wynik jest zaskoczeniem, wręcz szokiem, dla sympatyków obu kandydatów. Sondażownie wskazywały kilkupunktową przewagę Luli, a różnicę „na żyletki" prognozowały dopiero w drugiej turze. Wyjście Bolsonaro juniora na prowadzenie już teraz wywraca wszystkie spekulacje. Zapewne większość z 7 proc. głosów oddanych na kandydatów egzotycznych zasili go 25 października w drugiej turze.

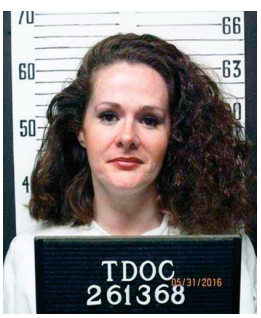
Rywalizacja tych dwóch polityków to przejaw polaryzacji między siłami progresywnymi a skrajną prawicą nie tylko w Brazylii i regionie, lecz także w większości państw Zachodu i globalnej Północy. Z jednej strony polityk z osiągnięciami na polu redukowania biedy i nierówności, promujący prawa kobiet i osób LGBT; z drugiej – ideologiczny reakcjonista, przeciw któremu toczą się śledztwa o pranie pieniędzy, korupcję i związki ze światem przestępczym. I który zapowiada ułaskawienie ojca, Jaira Bolsonaro, skazanego na 27 lat pozbawienia wolności za próbę zamachu stanu po przegranych w 2022 r. wyborach.

Prawica zwiększa przewagę także w Senacie. Gdyby jakimś cudem Lula wygrał drugą turę, będzie mu jeszcze trudniej rządzić. Jeśli wygra Bolsonaro junior, zmieni układ sił w Sądzie Najwyższym na lata (trzech sędziów przejdzie wkrótce na emeryturę). Bolsonaryści wygrali też większość rywalizacji o stanowiska gubernatorów. Padnie przedostatni w Ameryce Łacińskiej bastion niezależności od Stanów Zjednoczonych (ostatnim pozostanie Meksyk pod rządami Claudii Sheinbaum). I najważniejszy, bo Brazylia to największa gospodarka w regionie, który Trump próbuje zamienić we własne podwórko. Robi to brutalnie i skutecznie. Najechał Wenezuelę, porwał urzędującego prezydenta i przejął kontrolę nad zasobami ropy. Grozi interwencją Kubie, a wcześniej porwaniem poprzedniego prezydenta Kolumbii. Nakłada na nieposłuszne mu kraje wysokie cła. W Brazylii nie poparł otwarcie żadnego z kandydatów, choć jest pewne, z kim sympatyzuje.

Kluczową rolę w drugiej turze mogą odegrać wyborcy nieuczestniczący w pierwszej, a jest ich 20 proc. W Brazylii głosowanie jest obowiązkowe i frekwencja 80 proc. uchodzi za niską. Bolsonaro juniora będzie niosło hasło zmiany i dobicia Luli, Partii Pracujących, lewicy. Lula stawia na inwestycje w edukację, nowe technologie i przemysł. Brazylijski wywiad sugeruje, że próby ingerencji w wybory podejmowały USA; w niektórych doniesieniach pojawia się też Rosja.

ARTUR DOMOSŁAWSKI

Do trzech razy śmierć?



Skazana w stanie Tennessee na karę śmierci **Christa Pike** przeżyła w ostatnią środę dwie egzekucje. Potężne zastrzyki z pentobarbitalu, leku w mniejszych dawkach stosowanego na bezsenność i uspokojenie, doprowadziły skazaną do stanu krytycznego, z którego postanowiono ją ratować, bo procedura nie przewiduje trzeciego zastrzyku. Gdy zamykaliśmy ten numer POLITYKI, Pike leżała nieprzytomna pod respiratorem w szpitalu w Nashville. Nie było wiadomo, czy odzyska jeszcze przytomność, lekarze przewidują poważne uszkodzenia mózgu. Sąd może jednak nakazać jeszcze jedną próbę wykonania wyroku.

Pike to morderczyni. W 1995 r. jako 18-latka wraz ze swoim chłopakiem Tadarylem Shippem najpierw uwięzili, potem torturowali, a w końcu zabili 19-letnią Collen Slemmer, która miała zalecać się do Shippa. Wszystko odbyło w sposób szczególnie brutalny, Pike chwaliła się potem znajomym trofeum w postaci części czaszki zabitej. Już w 1996 r. sąd skazał Pike na karę śmierci, a Shippa na dożywocie, bo w chwili zbrodni nie był pełnoletni. Pike 30 lat przesiedziała w celi śmierci. Wyczerpała wszelkie środki odwoławcze, powołując się m.in. na trudne warunki rodzinne, w tym przemoc seksualną ze strony najbliższych. Batalia o zmianę kary trwała do ostatnich dni – bezskutecznie.

Wykonywanie kary śmierci w Stanach Zjednoczonych zostało wznowione po dekadzie przerwy w 1976 r. Od tego czasu doszło do 1683 egzekucji, w tym na 18 kobietach. Amerykanie już dawno zrezygnowali z wieszania czy rozstrzeliwania, w końcu odeszli też od krzesła elektrycznego. W kilku stanach egzekucji dokonuje się poprzez wywołanie niedotlenienia (hipoksję) lub przy użyciu śmiercionośnego gazu. W tej dziedzinie dominują jednak zabójcze zastrzyki. Najwięcej takich egzekucji wykonuje się w Teksasie, stan Tennessee jest pod tym względem na szarym końcu.

Przed egzekucją więzienni lekarze ostrzegali, że Pike ma wąskie żyły i choruje na nadpłytkowość. Jeśli do tego dodać, że lekarzem nadzorującym był dr Mark Fowler, który w maju nadzorował również nieudaną egzekucję niejakiego Tony'ego Carruthersa (po nieodnalezieniu odpowiedniej żyły próbował zainstalować mu tzw. cewnik centralny), elementy tego dramatu zaczynają się układać. Historycznie rzecz biorąc, w USA 7 proc. egzekucji z użyciem zastrzyku skończyło się „nieprawidłowościami". W przypadku rozstrzelania nie odnotowano podobnych przypadków. Ameryka nadal jednak chce zabijać skazańców, ale nie tak brutalnie. ŁW

eprasa.pl b8c08e3ae2

Lot z podtekstem

Środowy lot FZ1073 z Dubaju do Tel Awiwu o włos nie zakończył się katastrofą. Na pokładzie Flydubai było ponad 170 osób, głównie Izraelczyków. Godzinę przed lądowaniem drugi pilot, zidentyfikowany przez media Omańczyk Hamam al-Hammami, zaatakował siekierą pochodzącego z Indii kapitana **Smita Machchhara** i próbował doprowadzić do rozbicia samolotu. Maszyna dwukrotnie gwałtownie zanurkowała, w najbardziej dramatycznym momencie tracąc 5 tys. m wysokości w ciągu niewiele ponad 30 sekund. Do katastrofy nie doszło dzięki kapitanowi, który mimo ran zdołał otworzyć drzwi kokpitu, oraz izraelskim pasażerom – dentyście i hydraulikowi – którzy obezwładnili napastnika. Za sterami usiedli następnie dwaj piloci Flydubai podróżujący poza służbą i skierowali samolot do Arabii Saudyjskiej, gdzie bezpiecznie wylądował w Tabuku.

Władze Zjednoczonych Emiratów Arabskich określiły zdarzenie jako próbę „ataku terrorystycznego", ale motywy i pełny przebieg wydarzeń ma wyjaśnić śledztwo. Według źródeł izraelskich pilot zamierzał rozbić samolot na lotnisku Ben Guriona, by zabić jak najwięcej osób. Szybko pojawiło się najistotniejsze pytanie: dlaczego osoba, która wcześniej wzbudzała zastrzeżenia z powodu radykalnych poglądów, mogła wielokrotnie latać jako pilot do Izraela? Al-Hammami wcześniej pracował dla Oman Air, gdzie miał zostać odsunięty od latania z powodu obaw dotyczących jego radykalizacji. Później szkolił się w Royal Air Maroc, ale nie został tam zatrudniony. Na początku tego roku znalazł pracę we Flydubai. Izraelskie ministerstwo transportu i Mosad miały przed środowym lotem otrzymać listę pasażerów i załogi. Resort wymaga od przewoźników potwierdzenia przeprowadzenia odpowiednich kontroli, ale tłumaczy, że nie może samodzielnie sprawdzać ponad 120 zagranicznych



linii lotniczych. Szin Bet twierdzi z kolei, że odpowiada za bezpieczeństwo izraelskich linii i lotniska, ale nie zagranicznych przewoźników. Mosad milczy.

Premier Beniamin Netanjahu zapowiedział zaostrzenie kontroli. „Każdy pilot przylatujący do Izraela będzie przez nas znany z imienia i nazwiska, będziemy wiedzieć, kim jest, i zostanie poddany kontroli bezpieczeństwa" – mówił przedstawiciel kancelarii premiera. Rodzi to kolejne pytanie: skoro państwo dopiero teraz chce wiedzieć, kim są piloci zagranicznych samolotów, to co wiedziało o nich wcześniej? Dla rządu Netanjahu – tuż przed wyborami – sprawa jest szczególnie kłopotliwa. Bezpieczeństwo to od lat jeden z głównych argumentów uzasadniających politykę obecnych władz. Po ataku Hamasu z 7 października 2023 r. kwestia, czy państwo potrafi wykorzystać informacje, którymi dysponuje, stała się jednym z centralnych tematów izraelskiej debaty publicznej. Kluczowe jest, czy istniała procedura pozwalająca wychwycić ryzyko i czy odpowiedzialne za bezpieczeństwo instytucje z niej korzystały.

AGNIESZKA ZAGNER

Poligon Australia



Według najnowszych danych Australijskiego Instytutu Zdrowia tylko 5,6 proc. populacji codziennie sięga po papierosa, a w grupie wiekowej 14–17 lat nieco ponad 1 proc. Zostało to uznane jako kolejny sukces w polityce antynikotynowej, której Australia jest pionierem. W 1991 r., kiedy ruszała fala restrykcji, paliło nałogowo 24 proc. Australijczyków. Na kolejnych etapach zabraniano reklam i promocji, palenia w kolejnych miejscach publicznych, wprowadzono jednolite ponure opakowania, a także obrzydzające hasła i zdjęcia. Podobne rozwiązania przyjęło następnie wiele państw. Systematycznie rosła też cena paczki papierosów, dziś sięga 40–60 dol. australijskich (AUD), czyli powyżej 100 zł, z czego dwie trzecie stanowi akcyza. W połowie 2024 r. drastyczne ograniczenia objęły e-papierosy, dostępne już tylko w aptekach, traktowane jako lekarstwo ułatwiające wyjście z nałogu, a w mocniejszej wersji wyłącznie na receptę; całkowicie zakazano jednorazówek.

Ten optymistyczny obraz popsuły ustalenia Australijskiego Urzędu Statystycznego (na podstawie analizy ścieków) – 80 proc. konsumowanej nikotyny to czarny rynek, a jej spożycie w latach 2017–25 wzrosło o 40 proc. W sumie pali i żuje się więcej, bo nie ma bariery cenowej, a towar jest powszechnie dostępny. W sklepiku na rogu wystarczy poprosić o „tańszą paczkę" i otrzymuje się ją z zaplecza. Coraz częściej jednak takie sklepiki są podpalane, bo rynkiem rządzą konkurujące gangi. Przemyt i dystrybucja nielegalnego tytoniu to najszybciej rozwijający się tu proceder przestępczy, wart według szacunków Western Sydney University 8,5 mld AUD (więcej niż w przypadku marihuany, kokainy, ecstasy i heroiny razem wziętych). A przebicie bywa gigantyczne (w Kambodży papierosa na przemyt można kupić za 4 centy).

W gorącej debacie, jak z tego wybrnąć, zderzają się dwa skrajne poglądy. Oficjalny jest za ostrzejszą rozprawą z czarnym rynkiem, rozbijaniem mafijnych struktur, uszczelnianiem dziur i zaostrzaniem kar (co się zresztą dzieje). Rośnie jednak w siłę ruch na rzecz istotnego obniżenia akcyzy, bo to rząd – pada argument – ceną paczki papierosów wpycha uczciwych Australijczyków w ramiona zorganizowanej przestępczości. Australia lubi być pionierem, zdobywa właśnie doświadczenie na froncie ograniczania dostępu do mediów społecznościowych. To na froncie tytoniowym będzie równie pouczające. WP

© GETTY IMAGES (3), AP/EAST NEWS (2)

eprasa.pl b8c08e3ae2

Broń masowego

Rosja znów poszła na całość i zagroziła Europie atomowym unicestwieniem. Znowu przetoczyły się złowrogie nagłówki. To, co było odległe, staje się realne.

MAREK ŚWIERCZYŃSKI

W youtubowych kanałach pojawiły się wykrzywione nienawiścią twarze Władimira Putina na tle atomowych grzybów. Najwięcej zdenerwowania okazało, jak zwykle, tzw. globalne południe, a niemal zawsze usłużni wobec Rosji zwolennicy „realizmu" z politycznej alt-prawicy znowu przekonywali, że demokratyczny Zachód nie ma żadnych szans i lepiej, by odpuścił. Całkiem poważne analizy potencjału atomowego Rosji i NATO przywołują znane od dawna tezy o „regionalnej luce rakietowej i głowicowej", o braku zdolności państw Zachodu do symetrycznej odpowiedzi i nieprzygotowaniu Europy na atomowe uderzenie Rosji. Towarzyszyły temu jednak chłodne i zdystansowane komentarze oficjeli. Wywołany do odpowiedzi sekretarz generalny NATO Mark Rutte mówił, że nie bierze rosyjskich gróźb na poważnie, a jego rzeczniczka przekonywała, że nie ma powodu, by Sojusz zmieniał swoją politykę i doktrynę, także w podejściu do wsparcia Ukrainy.

Ta chłodna reakcja świadczy, że Zachód już się uodpornił na atomowe strachy z Rosji. Choć trzeba przyznać, że Putin w ubiegłym tygodniu wykonał kilka wrogich gestów o niespotykanej randze i skali. Najpierw na piśmie dał ponownie do zrozumienia NATO, że postrzega aktywność Sojuszu na Bałtyku i w krajach wschodniej flanki jako egzystencjalne zagrożenie dla obwodu kaliningradzkiego.

W liście skierowanym przez swoich dyplomatów do Kwatery Głównej wymienił operację „Straż Bałtyku", ustanowioną w 2025 r. w reakcji na agresywne działania tzw. floty cieni, a także niezapowiedziane ćwiczenia (w stylu tych rosyjskich) pod szyldem „Straży Wschodniej". Jedno z ostatnich miało na celu zakomunikować Rosji, że w przypadku ataku na kraj NATO miażdżący odwet z powietrza spadnie na obwód królewiecki, z jego instalacjami wojskowymi i milionem cywilnych mieszkańców. Najwyraźniej to podziałało, bo Putin w odpowiedzi ostrzegł, że nie zawaha się użyć całego arsenału Rosji dla obrony „zagrożonej przez NATO" eksklawy. W języku Rosji i w zgodzie z jej oficjalną doktryną nuklearną oznacza to deklarację odpalenia broni jądrowej.





Od góry, od lewej: **rosyjski dron na plaży w Ustce, wrzesień 2026 r. I kolejny nad przez rosyjską fregatę na Bałtyku, wrzesień 2026 r. Ładunek wybuchowy**

Po „atomowym" liście skierowanym do NATO Moskwa odpaliła jeszcze ministra spraw zagranicznych Siergieja Ławrowa, by postraszyć szczególnie te kraje (w tym Polskę), które chciałyby u granic Rosji produkować pociski Patriot dla siebie i Ukrainy. Wreszcie sam Putin zabrał głos, ale żeby było lepiej słychać, wszedł na górę. Wałdaj to wyżyna między Moskwą a Petersburgiem, gdzie źródła ma Wołga – rzeka od wieków opiewana jako matka Rosji. Władimir Putin chce uchodzić za ojca rosyjskiej ideologii, więc od 2004 r. na konferencjach Klubu Wałdajskiego sączy przekaz o wyjątkowości

eprasa.pl b8c08e3ae2

przerażenia





© MP (3), WOJCIECH OLKUŚNIK/EAST NEWS

lotniskiem w Lipsku, sierpień 2026 r. Duński śmigłowiec ostrzeliwany flarami podłożony na torach pod Garwolinem, listopad 2025 r.

historyczno-kulturowej Rosji, jej szczególnych prawach i błędach Zachodu, które doprowadziły do załamania ładu bezpieczeństwa w Europie.

Gdy na Zachodzie były co do Rosji złudzenia lub nadzieje (podsycane wspólnymi interesami), Władaj gościł europejskich intelektualistów i polityków. Od wielu lat zamiast dyskusji króluje tu propaganda, coraz bardziej wojenna. „Jeśli zdobycie pozostałych 11 proc. Donbasu jest nieuchronne w ciągu 1,5–2 lat, to jaki jest sens oporu, przy świadomości jego kosztów?" – pytał Putin wcale nie swoje audytorium, a najlepszego kolegę zza oceanu, czyli Donalda Trumpa, który w jego mniemaniu wciąż ma przemożny wpływ na prezydenta Ukrainy i wspierającą go Europę.

Warto odnotować, że na mapie rosyjskich pogróżek nie ma Ameryki. Źródłem wszelkiego zła jest Europa, w szczególności ta „rusofobiczna" środkowo-wschodnia, która ledwie trzy dekady temu wydobyła się spod sowieckiego jarzma i wciąż ma Rosji wiele za złe. To wobec tych krajów Putin kierował najwięcej oskarżeń i „ojcowskich" przestróg. W jego optyce złowrogie NATO to dziś głównie wschodnia flanka, a mniej Ameryka. Deklarujące polityczny zamiar wojskowego wycofania swoich żołnierzy z Europy Stany Zjednoczone są dla Putina niegroźne, mimo sztywnej postawy amerykańskich wojskowych. Putin i Trump żyją bowiem wciąż w przekonaniu, że są dla siebie dobrymi przyjaciółmi, którzy byliby w stanie świetnie się dogadać co do podziału wpływów, gdyby nie to, że na obrzeżu ich imperiów toczy się jakiś coraz mniej zrozumiały konflikt, w którym ktoś ośmiela się ich strefy wpływów podważać.

Gróźb Putina nie należy lekceważyć, bo mogą świadczyć o rosnącej desperacji reżimu i zwalnianiu hamulców. Pomimo uspokajających oświadczeń z Kwatery Głównej NATO musi coraz bardziej brać pod uwagę ryzyko wojny nuklearnej, choćby w ograniczonym zakresie. Sojusz od lat powtarza, że dopóki broń jądrowa istnieje, musi utrzymywać gotowość tego rodzaju sił i raz do roku ćwiczyć ich użycie w Europie w manewrach Steadfast Noon (które niedługo znów powinny się odbyć). Rosję musiało naprawdę przerazić jednak to, że w niedawnych ćwiczeniach NATO pokazało zdolności izolacji i zniszczenia wojskowego potencjału Rosji w nadbałtyckim obwodzie przy użyciu konwencjonalnych środków uderzeniowych, bez potrzeby symulowania ataków jądrowych.

Rosja nie pozostaje jednak dłużna w dialogu na eskalację. Tuż przed decyzją Kremla o nasileniu atomowej retoryki rządowa agencja RIA Nowosti najpierw opublikowała, a potem szybko skasowała depeszę, w której sugerowała, że Rosja szykuje następną „specjalną operację wojskową", tym razem przeciwko Litwie. Miałaby to być odpowiedź na formalne zniesienie przez litewski Sejmas zakazu rozmieszczania na terytorium Litwy broni jądrowej, a jednocześnie ostrzeżenie, by inne kraje wschodniej flanki nawet o tym nie myślały.

A myślą o tym przecież i Polska, i Finlandia, które jednocześnie wprowadzają do służby najnowsze samoloty F-35A, zdolne do przenoszenia amerykańskich bomb jądrowych B61-12. Rosja zawsze alergicznie reaguje na jakiekolwiek sugestie, by NATO mogło przybliżyć broń jądrową do jej granic. Nieoczekiwanie, w wycofanym artykule Polacy zostali docenieni za to, że mają „dobrze poukładane w głowie" i choć mówią o udziale w „NATO nuclear sharing", to nie chcą u siebie głowic jądrowych. Ocena ta odwołuje się do kontrowersyjnej wypowiedzi polskiego wiceministra Pawła Zalewskiego z rozmów w Brukseli, która została później skorygowana przez szefa MON. Kraje, które wykazały mniej oporów wobec przyjęcia na swoim terytorium broni jądrowej, ▶

eprasa.pl b8c08e3ae2

▶ rosyjski organ propagandowy nazywa małymi kamikadze, gotowymi przetestować na sobie rosyjską odpowiedź. Atak na Litwę miałby być rzecz jasna krótszy i bardziej udany niż na Ukrainę.

Rosja najpewniej liczy jednak, że gdy kampania zastraszania nuklearnego nałoży się na kilka innych wywołanych przez nią kryzysów w Europie, przyniesie zamierzone polityczne efekty. 2027 r. bywał niegdyś typowany jako możliwy czas zbrojnej konfrontacji z Zachodem, ale dziś wygląda bardziej na realne starcie kognitywne – o emocje, stan umysłów i głosy w wyborach. Atomowymi groźbami Rosja dość otwarcie zaczęła europejską kampanię wyborczą, walcząc o zmianę sentymentu wobec Ukrainy, grając na osłabienie nieprzychylnych jej rządów (które dziś są w Europie normą, a nie wyjątkiem) i podważając zaufanie do planów obronnych NATO, choć dzięki inwestycjom w uzbrojenie i rozmieszczeniu solidnych kontyngentów NATO sytuacja na wschodniej flance się odwróciła.

Obwód królewiecki, którego od dekad bały się Litwa i Polska, zamiast zakotwiczonym lotniskowcem – jak go nazywano – staje się teraz dla Rosji trudną do obrony wyspą. Moskwa zdaje sobie sprawę z tej słabości, dlatego eskaluje jedyną retorykę, której jeszcze ktokolwiek się na Zachodzie boi – bo strach przed wojną jądrową, która może wybuchnąć przez przypadek, nie minął. Rosja usiłuje przekonać zachodnich wyborców, że po prostu użyje broni masowego rażenia w odpowiedzi na atak, a nawet próbę powietrzno-morskiej blokady Królewca. I właśnie zaczęła kampanię uderzeń wyprzedzających.

Moskwa ma bowiem sporo do ugrania bez konieczności oddawania pojedynczego strzału. Celuje w Europę atomowymi grzybami, które zanim pojawią się na horyzoncie, mają wyrosnąć w naszych głowach, by nasze ręce zadrżały nad wyborczymi kartkami. W najbliższych miesiącach w Europie do urn pójdą wyborcy w Hiszpanii (przyspieszone wybory będą już 29 listopada), Estonii, Finlandii, Grecji, Słowacji, Polsce i Włoszech, których ustrój powierza politykę państwa większości parlamentarnej. O ile na wschodniej flance NATO trudno przewidywać zmianę nastrojów na prorosyjskie, o tyle im dalej na zachód i południe Europy, tym obaw jest więcej.

Na wiosnę, w powszechnym głosowaniu, prezydenta wybierze rządzona z Pałacu Elizejskiego Francja – i to może być kluczowe dla trajektorii politycznej w Unii, przekładając się na podejście NATO do Ukrainy i Rosji. Powszechnie przewidywany dziś sukces prawicy, która korzystała z rosyjskiego wsparcia i tylko od niedawna sygnalizuje mniejszą sympatię wobec Kremla, może zmienić nastroje we Włoszech, Hiszpanii, możliwe też, że w Polsce.

Gdy spojrzeć na znaczenie i położenie krajów, w których przyszły rok będzie decydujący dla dalszego toku zdarzeń, widać, że taka masa krytyczna dawno nie leżała na stole politycznych rozgrywek. Dlatego właśnie Rosja zaczęła ją wcześnie, dla pewności miesiąc przed amerykańskimi wyborami połówkowymi do Kongresu, które wedle większości prognoz osłabią chwiejnego wobec NATO, ale za to przychylnego Putinowi Donalda Trumpa. Jak dla każdego prezydenta USA od czasu kryzysu kubańskiego, również dla niego wizja wojny atomowej jest koszmarem, bo jako posiadacz drugiego po Rosji arsenału jądrowego dobrze wie, czym grozi jego uruchomienie. Jeśli w jego i naszych otwartych szeroko oczach Putin dostrzeże atomowe grzyby, już przegraliśmy, zginęliśmy. Z przerażenia.

MAREK ŚWIERCZYŃSKI



Efekt żelatynowy

O tym, co w wojsku piszczy, czy jesteśmy gotowi dać Rosji odpór, i jeszcze o tym, czy w wojsku przywrócić onuce, a w społeczeństwie pobór – mówi generał brygady w stanie spoczynku Tomasz Drewniak.

JULIUSZ ĆWIELUCH: **– Kiedy premier Litwy mówi, że pracują nad planami ewakuacyjnymi dla ludności cywilnej, to mam kupować złoto i zaszywać w płaszczu czy wystarczy zatankować na zapas?**

TOMASZ DREWNIAK: – Zatankować na zapas, bo jeśli prezydent Donald Trump spełni swoje obietnice o wstrzymaniu eksportu diesla, to ceny paliwa jeszcze bardziej podskoczą, a tak to przynajmniej trochę pan zaoszczędzi.

eprasa.pl b8c08e3ae2



© ST. KPR. SŁAWOMIR KOZIOŁ/COMBAT CAMERA POLAND

Pan by mi lepiej zaoszczędził nerwów, a nie parę złotych pod dystrybutorem.

Nerwy też niepotrzebne. Plany, również te ewakuacyjne, trzeba robić. Ale to nie znaczy, że jutro będzie pan miał na granicy 2 mln Litwinów. Muszę panu powiedzieć, że Litwini w kwestii wojny wydają się dużo bardziej wyluzowani niż Polacy. Są również dużo bardziej odporni na dezinformację. U nich nie udało się rozpętać takiej antyukraińskiej nagonki jak w Polsce.

Do tego jeszcze dojdziemy, ale Putin lepszej sytuacji do ataku może nie mieć. W Stanach chaos i puste magazyny z rakietami, bo się wyprztykali w Iranie. W Niemczech blady strach, bo prorosyjska AfD idzie po władzę. Chiny silne i gotowe do siłowego poszerzania wpływów.

Ta wojna wręcz wisi w powietrzu.

Wie pan, od unoszenia się w powietrzu to są lotnicy, a ja jako emerytowany lotnik i generał mówię panu, że w powietrzu nie wisi wojna. Ona już jest w realu. Polska jest atakowana każdego dnia, na wielu frontach. Testuje się nie tylko nasze nerwy poprzez ataki dronowe coraz bliżej granicy, ale też atakując infrastrukturę informatyczną, niszcząc naszą psychiczną odporność jako społeczeństwa. I nie ma co dokładać do tego jeszcze jednej cegiełki. Klasycznego ataku na nasz kraj w najbliższym czasie nie przewiduję.

Gen. Drewniak odwołał wojnę. Czuję się uspokojony. A tak na serio, to skąd pan czerpie ten optymizm?

Z wiedzy wojskowej, długoletniego doświadczenia i oglądu sytuacji międzynarodowej. Putin jest dziś jak ten Kozak, co to złapał Tatarzyna, a Tatarzyn dalej za łeb trzyma. Choć w zasadzie powinienem powiedzieć, że złapał Tatarzyn Kozaka, a Kozak dalej się trzyma. Opór Ukrainy jest żelazny. I nie przewiduję, żeby bez interwencji z zewnątrz w tej kwestii coś się zmieniło. Rosyjskie siły są tak związane tym konfliktem, że po prostu nie są w stanie zbudować nowego teatru działań wojennych. Mam wrażenie, że wręcz sami się tego panicznie boją i straszą państwa bałtyckie na wyrost, wychodząc z założenia, że najlepszą metodą obrony jest atak.

Kiedy w orędziu 2005 r. Putin mówił, że upadek ZSRR był „największą katastrofą geopolityczną XX w.", to świat słuchał spokojnie, nie przyjmując do wiadomości, że on chciałby ten błąd naprawić. Może znowu jest tak, że on mówi, a my się pocieszamy, że blefuje.

Wojna opiera się na liczbach. Czołg pali tyle i tyle. Samolot potrzebuje tyle i tyle osób do obsługi itd. Liczby nie kłamią. Rosji i Putina nie stać dziś na otwarcie drugiego frontu. Tym bardziej w sytuacji, w której nie mógłby tych działań dokonać bez współpracy z Białorusią, bo akurat w tym wypadku geografia nie kłamie. A Białoruś wykonuje różnego rodzaju gesty wobec Zachodu, co moim zdaniem ma związek z tym, że Łukaszenka nie zapałał nagle miłością do demokracji, ale kieruje nim strach przed wciągnięciem go w wojnę, której sam może być jedną z ofiar. A na Litwę nie ma innej drogi jak przez Białoruś. Czy dostatecznie pana uspokoiłem?

Powiedzmy, że ja mam czarny pas w straszeniu, a pan w uspokajaniu. Ogłaszam remis. Wojny nie będzie.

Ależ ona już trwa i to przecież jest oczywiste. Na razie nie będzie wojny z czołgami i całym tym żelastwem. Ale to nie znaczy, że możemy spać spokojnie.

Wchodzi pan w moją rolę.

Z poziomu geografii wojskowej odcięcie krajów bałtyckich jest jednym z kluczowych celów i marzeń Putina. Tyle że na dziś tego marzenia nie jest w stanie zrealizować. Nie ma czym i kim.

Kiedy rozmawialiśmy rok temu, analitycy wieszczyli, że Rosja za chwilę nie będzie miała czym strzelać, a to Ukraina ma puste zasobniki, to Stany nie mają rakiet. Putin przeprowadza atak za atakiem. To co są warci tacy analitycy?

Rosja kolejny raz dokonała rzeczy, która z punktu widzenia racjonalnych przesłanek nie miała prawa się wydarzyć. Zresztą ten kraj już nas przyzwyczaił, że w obliczu śmiertelnego zagrożenia staje się zaprzeczeniem samego siebie. Odzyskuje wigor i siłę, której już nikt się po nim nie spodziewał. Doświadczył tego Napoleon. Doświadczył Hitler. Tyle że dziś sytuacja jest inna. Rosja dziś, tak jak w czasie drugiej wojny światowej, zawdzięcza swoją pozycję pomocy z zewnątrz. Chińskie komponenty, północnokoreańskie rakiety, a nawet oddziały. Bez tego wszystkiego nie byłoby zaskakujących wzrostów w produkcji i kolejnych ataków. Sprzyjają im również wojna w Iranie i rosnące ceny ropy. Nieważne jednak, jakiej używaliby retoryki, to są krajem dużo słabszym, niż deklarują. Mieli zdobyć Ukrainę w cztery dni, a są tam już cztery lata i się wykrwawiają.

Ale też wyniszczają.

Każda wojna się na tym opiera. Nic nowego. Swego rodzaju nowością jest to, jak silnie potrafią oddziaływać niszcząco na kraje, które formalnie nie są w stanie wojny, zwłaszcza na Polskę. ▶

eprasa.pl b8c08e3ae2

▶ W wojnie psychologicznej zawsze byli sprawni i skuteczni. Cała ta propaganda, że Polska jest słaba, że NATO jest słabe, że Unia Europejska to jest żaden sojusz, że NATO to też jest żaden sojusznik. Uderzanie w rząd, podkopywanie zaufania. Wzniecanie wzajemnych konfliktów, polaryzowanie społeczeństwa, to jest ich robota i woda na ich młyn.

Minister Sikorski mówił w ONZ do ministra Ławrowa, że Ukraina generuje 10 proc. PKB Rosji, a walczy z nią jak równy z równym. Dodał jeszcze, że gospodarka całej Europy jest 10 razy większa niż Rosji.

I ma rację. Ale jesteśmy w sytuacji, w której jedno ugryzienie komara jest czymś dokuczliwym. 100 ugryzień może być już groźne dla zdrowia. I Rosja atakuje nas jak stado komarów. Nakłuwają i sprawdzają, gdzie najbardziej boli, gdzie najmocniej się drapiemy, a gdzie nie możemy dosięgnąć, żeby się podrapać. Czułym punktem okazała się kwestia ukraińska. Wyszło, że organizm był, że tak powiem, uczulony na ten jad i zareagował silniej, niż ktokolwiek mógł marzyć. Dziś ta kula śnieżna, ewidentnie napędzana kiedyś przez rosyjskie trolle, toczy się właściwie sama.

I jeśli w kogoś uderzy, to najsilniej w nas.

Uderzy w nas ekonomicznie. Ale również geograficznie. Dziś Ukraina jest naszym kordonem sanitarnym, który powstrzymuje Rosję przed rozlewaniem konfliktu. Ukraina kupuje nam również czas.

A ile tego czasu mamy?

Nie umiem na to pytanie odpowiedzieć. To byłoby jak wróżenie z fusów. Ale mogę powiedzieć, ile czasu potrzebujemy. Co najmniej pięciu lat, żeby armia stanęła na nogi. I ktoś się zdziwi, że to absurdalnie dużo. A ja powiem, że to bardzo mało, bo polska armia jest obecnie w trakcie największej zmiany w swojej historii.

Mówi pan o zmianie sprzętowej?

Mówię o zmianie, której skali ludzie z zewnątrz nie mogą ocenić. Dopiero teraz domykamy rozpoczętą w 2009 r. reformę armii polegającą na jej całkowitym uzawodowieniu.

Tu się zatrzymajmy. Pojawiają się głosy, że zlikwidowanie poboru było błędem i należy do niego powrócić.

To może od razu powróćmy do wydawania żołnierzom onuc zamiast skarpet. Przez lata to działało, dlaczego z tego rezygnować. A tak na serio, to można polemizować, jak ten proces był przeprowadzany i jakie popełniono błędy, ale co do zasady była to decyzja mądra i dobra. Miałem okazję pracować z ludźmi, którzy do wojska wcielani byli obowiązkowo. Nie powiem, że na siłę, ale z pewnością nie szli do armii z radością. I jedyny komentarz, jaki mi przychodzi do głowy, to z niewolnika nie ma pracownika. Większość energii w pracy z tymi ludźmi szła na to, żeby ich pilnować, a nie szkolić. Kto, mając 18 lat, chciałby oddać dwa lata czy nawet rok swego życia wojsku. Przecież to jest oczywiste, że nie da się wrócić do starych rozwiązań, bo one były częścią starego świata, którego już nie ma.

Można zrobić pobór inaczej.

Ja bym dziś odradzał rządzącym taką decyzję. I nie dlatego, że to politycznie nie jest dobre i przełoży się na spadki w sondażach. Słupkami polityków nie bardzo się przejmuję. Interesuje mnie dobro armii i bezpieczeństwo kraju. Armia jest dziś w stanie chaosu. Ta armia sama musi się wyszkolić i, jak to mówi młodzież, ogarnąć. Jak tam zaczniemy wprowadzać po 30–50 tys. rekrutów rocznie, to ten system tego nie wytrzyma.

Nie takie rzeczy się robiło w PowerPoincie.

Jeśli oczekujemy wyników w PowerPoincie, to śmiało, eksperymentujmy. Ale w innym wypadku nie dokładajmy tej armii zadań, których realnie nie będzie w stanie zrealizować. Kiedyś system był prosty. Do jednostki przychodził żołnierz. Był przeszkalany, dajmy na to, do obsługi czołgu T-55, a następnie co kilka lat braliśmy go na ćwiczenia. Tyle że T-55 był w linii przez ponad 30 lat. A dziś mamy sytuację, w której jednostka ma czołgi K-2 i sama nie potrafi jeszcze porządnie tym sprzętem operować, a co dopiero przeszkalać innych. O tym mówię. Nie mnóżmy fikcji.

Dla mnie fikcją jest, że można w jednej armii mieć kilka typów czołgów. Mamy cztery różne czołgi, a właściwie to nawet pięć. To szaleństwo.

Mocne słowa pozostawiam panu. Ja bym powiedział, że takie rozwiązanie ma wiele zalet, kiedy się posiada świetnie zorganizowaną i niezwykle sprawną logistykę.

Nasza logistyka jest piętą achillesową armii. Na dodatek co z tego, że większość z tych czołgów ma armatę tego samego typu, skoro sposób ryglowania powoduje, że amunicja pasująca do jednego czołgu nie pasuje już do drugiego. A w ogóle to po co nam tyle czołgów?

Ja formułuję to pytanie inaczej: kto obsłuży tyle czołgów? Co do zasady czołgów pewnie świetnych, może nawet najlepszych w swojej klasie, ale czy najlepszych w naszym teatrze wojennym? Czy jeśli próbujemy w sposób sztuczny nawadniać tereny na osi słynnego przesmyku suwalskiego, to 70-tonowe czołgi do czegoś się na tych błotach przydadzą? Te pytania można mnożyć. Można budować różne dygresje, co właściwie nie ma sensu, bo na końcu jest zawsze pytanie, co chcemy osiągnąć, a dopiero później dobieramy do tego narzędzia. U nas ważniejsze były narzędzia. W telewizji to dobrze wyglądało.

Za sprawą nacisków ministra Macierewicza kupiono śmigłowce S-70i dla wojsk specjalnych. A teraz się okazało, że nie spełniają ich potrzeb, choć specjaliści od początku to mówili.

Amunicja, której używa samolot F-16, nie pasuje do samolotów F-50, choć to ten sam kaliber i bardzo podobna technologia działka szybkostrzelnego wielolufowego typu Vulcan 20 mm. To nie jest wielka rzecz, żeby w czasie zakupu złożyć wymaganie zgodności. Tyle że to mleko rozlało się już dawno temu i nikt nie poniósł konsekwencji, więc nie ma o czym mówić. Wolę mówić o tym, jak naprawiać, a nie o tym, co rozwalono, bo to nieproduktywne. Wracając do poboru, chciałbym być dobrze zrozumiany. Nie mówię, że mamy nic nie robić. Polska armia potrzebuje licznych rezerw, potrzebuje nowych kadr. Tym bardziej że, jak ją ściśniemy, to się okaże, że tych przysłowiowych Indian, cytując klasyka, jest znacznie mniej niż wodzów.

Jaka to jest proporcja?

Szacuję, że 1 do 4. Jakieś 25 proc. stanu osobowego to ludzie, którzy z bronią w ręku mogą pójść walczyć. Dlatego musimy najpierw wzmocnić armię, a następnie ją powiększać. Tym bardziej że wojnę, w której z karabinem w ręku i okrzykiem na ustach atakuje się okopy wroga, definitywnie mamy już za sobą. Budujmy naszą siłę sprytnie, na zasobach, które już mamy. Skoro mamy w wojsku kierowcę samochodu ciężarowego, to skierujmy go na kurs kierowcy czołgu Abrams. Niech się szkoli jako rezerwa w trakcie swoich obowiązków wojskowych.

eprasa.pl b8c08e3ae2

A kto będzie jeździł ciężarówką?

Po co wojsko ma szkolić kierowców ciężarówek, skoro w Polsce uprawnienia do ich kierowania ma ok. 2,5 mln osób? Tyle mówimy, żeby się uczyć od Ukraińców. Oni tak działają, to my też możemy.

To piękna teoria, ale praktyka jest taka, że wojsko płaci 6 tys. zł za miesięczne przeszkolenie, ale kolejek pod jednostkami nie ma.

6 tys. zł w dzisiejszych realiach to cena dobrego laptopa. Rozumiem, że jakiś młody człowiek może mieć taką motywację, że miesiąc się przemęczy i będzie miał laptopa. Nie wymyśliłem tego, przeczytałem wpis jednego z takich kandydatów. Tylko czy polska armia potrzebuje ludzi, którzy potrzebują laptopa?

Nie rozumiem.

To powiem inaczej. Czy ten rodzaj motywacji daje gwarancję, że taka osoba w godzinie próby będzie bronić ojczyzny? Obawiam się, że system nagrody został źle zdefiniowany.

Czyli sama marchewka i zero kija?

A jakby marchewka była również kijem? Nie chcesz się szkolić, nie chcesz zdobywać wiedzy w zakresie bezpieczeństwa – proszę bardzo, nic na siłę. Ale pamiętaj, że nie będziesz mógł pracować w policji, nie dostaniesz preferencji w zatrudnieniu w samorządzie, nie będziesz mógł zostać np. posłem. Jak możesz reprezentować państwo, którego nawet nie chciałeś bronić?

O, grubo. Ale jak ktoś ma wadę serca?

Do obsługi dronów nie trzeba mieć kondycji jak lekkoatleta.

Jakich dronów? Ciągle jest ich w armii jak na lekarstwo. A na dodatek właśnie odchodzi, i to w aurze oskarżeń o nieudolność, szef Inspektoratu Wojsk Bezzałogowych Systemów Uzbrojenia gen. Mirosław Bodnar.

Dla mnie to nie Mirosław Bodnar, ale Mirek, bo znamy się i szanujemy od lat. Trudno, żebym był niezależnym ekspertem w jego ocenie.

To proszę się wcielić w jego obrońcę, a ja będę oskarżycielem. Zastał polską armię bezdronową i zostawił bezdronową, tak o nim piszą.

Widział pan kiedyś, jak się buduje nowoczesne wieżowce? Dwa lata grzebią się w jakiejś dziurze. Coś tam zwożą, leją beton, ale ogólnie z wierzchu to niewiele się dzieje. I nagle w pół roku staje budynek. Gen. Bodnar dostał zadanie stworzenia od podstaw kompetencji, których w polskiej armii po prostu nie było. Były jakieś rozproszone, incydentalne zdolności. Ale jego zadaniem było zejść z tym sprzętem do poziomu drużyny i w górę i wszystko to ze sobą posklejać w jeden sprawny i wydajny system. On budował to, czego nie widać. Fundamenty. I to w trudnych realiach, bo procedury nie były sprzyjające. Przetargi, odwołania.

Aż odwołano jego. A kilka dni później rząd po cichu przyjął niejawne rozporządzenie ułatwiające procedury zakupowe.

Jak niejawne, to ja nic o tym nie wiem i nie powiem. Ale faktem jest, że system zakupowy pozostawiał wiele do życzenia. Nie można było kupić polskich dronów, bo nie miały certyfikatu. A nie miały, bo nikt ich nie kupował.



© TOMASZ RADZIK/SE/EAST NEWS

Tomasz Drewniak (rocznik 1964) – pilot, generał brygady rezerwy. Zaczynał służbę na myśliwcach MiG-21. Ze względu na stan zdrowia przeszedł do lotnictwa transportowego. W lotnictwie przeszedł wszystkie szczeble kariery, aż do najwyższego wówczas stanowiska inspektora sił powietrznych. Po 34 latach służby odszedł z armii. Wraz z gen. Mirosławem Różańskim był członkiem założycielem Fundacji Stratpoints.

Wróćmy do gen. Bodnara. Miał pomóc, a uziemił nasze drony – to kolejny cytat z prasy.

Jako lotnik mogę powiedzieć, że latanie nie wybacza błędów. Nawet latanie dronem. Jak ktoś chciał robić wolnoamerykankę czy iść z procedurami na skróty, to się nie dziwię, że wytyczne bezpieczeństwa mogły go uwierać. A co zrobić, żeby się nie narobić? Najlepiej pójść do prasy i naopowiadać, że nic nie działa. Tylko chłopie, ile w tym jest twojej winy, a ile winy kogoś innego? Ja to nazywam efektem żelatynowym. Pamiętam samego siebie, jak przychodziłem do dowództwa w Warszawie pełen zapału i energii. Obrazowo mówiąc, wpadłem tam jak pocisk. Kiedy robi się badania balistyczne, to strzela się do substancji zwanej żelatyną balistyczną, która absorbuje energię. Na filmach w zwolnionym tempie widać, jak pocisk leci, wpada, przebija jeden, dwa, trzy centymetry tej substancji i nagle grzęźnie. Jeszcze trochę się rusza do przodu i do tyłu i staje w miejscu.

Bardzo obrazowa metafora.

To niestety nie metafora, ale realia polskiej armii, która jest niechętna zmianom. Ale też przez te różne zmiany już zmęczona. Ta armia jest ciągle w jakimś działaniu, w jakiejś reformie, w stanie pogotowia.

Żalił mi się jeden oficer, że obsługuje program, w którym przez jego ręce przechodzą miliardy, a swoim żołnierzom nie może wstawić ekspresu do kawy, bo nie ma na to budżetu. Tam dalej takie armijne dziadowanie miesza się z milionami wydawanymi lekką ręką.

Dlatego trudno oczekiwać, że dla dzisiejszego pokolenia wojsko będzie atrakcyjnym pracodawcą. To są ludzie wychowani w innych realiach. Mający inne oczekiwania. Trzeba umieć do nich dotrzeć. Trzeba słuchać ich potrzeb.

Nieżyjący już gen. Mirosław Różański mówił mi, że w Fundacji Stratpoints analizowaliście takie problemy, tylko nikt nie słuchał. Był np. pomysł, żeby osoby po przeszkoleniu wojskowym miały ułatwiony dostęp do posiadania broni. Teraz o ułatwionym dostępie do broni mówi prezydent Nawrocki i zbija na tym polityczny kapitał.

Fundacja opracowała wiele analiz. Pomysłów i moim zdaniem mądrych rozwiązań nam nie brakowało. Mirek jako senator próbował to lansować wśród polityków. Ale pamiętam, że był niezwykle sfrustrowany efektami tych starań.

To on zaprosił do Senatu przedsiębiorców, którzy sami z siebie mówili: mamy setki ciężarówek, tysiące magazynów. Po co budować te zdolności w armii? Wynajmijcie je od nas. My zarobimy, państwo oszczędzi. I ten głos również się nie przebił.

Gen. Bodnar pozostawił po sobie fundamenty pod budowę wojsk dronowych w Polsce, ta spuścizna też jest rodzajem fundamentu. Co na tym zbudujemy i w jakim tempie, to już od nas zależy. Bylebyśmy nie płakali, że sami sobie podłożyliśmy nogę, w czym – jak wiemy z historii – też mamy osiągnięcia.

ROZMAWIAŁ JULIUSZ ĆWIELUCH

eprasa.pl b8c08e3ae2

Magiczne moce

O tym, jak wykorzystać polskie przywary do budowy lepszego państwa, mówią Hanna Gill-Piątek i Bartłomiej Sienkiewicz w rozmowie z redaktorem naczelnym POLITYKI Jerzym Baczyńskim.



JERZY BACZYŃSKI: **– Napisaliście państwo książkę „Naród do zadań specjalnych" i trudno powiedzieć, co to jest za gatunek: esej polityczny, historyczny, studium psychologii społecznej, zarys programu wyborczego? Ale bardzo nietypowa jest i państwa spółka autorska. Bartłomiej Sienkiewicz, wiadomo, prawnuk Henryka, dwukrotny minister, dziś europoseł, od dawna związany z Platformą, teraz Koalicją Obywatelską. Ale pani Hanna Gill-Piątek zaczynała jako działaczka ruchów miejskich i autorka „Krytyki Politycznej", potem była partia Zieloni, posłowanie z Lewicy, przejście do Polski 2050 Hołowni, potem do KO. Kiedy te wasze drogi się przecięły i skąd w ogóle pomysł na wspólne pisanie?**

BARTŁOMIEJ SIENKIEWICZ: – Znamy się z Sejmu poprzedniej kadencji.

HANNA GILL-PIĄTEK: – Konkretnie, trzeba przyznać, z palarni.

B.S.: – Ale pomysł na książkę powstał z esemesów, chociaż to mało powiedziane: pisaliśmy do siebie takie felietony na smartfony o tym, co nas denerwuje, boli, dziwi. Ja miałem dość bycia „konserwatywnym liberałem", a Hanna miała dość aktywistycznej lewicy, przekonanej o własnej niepodważalnej słuszności. Naturalnie zrodził się pomysł, żeby te nasze zapiski poszerzyć, ułożyć w książkę. Tam nie ma ani jednego akapitu, który został napisany tylko przez jednego autora.

H.G.-P.: – Tak, coraz mniej mi się podobała arbitralność sporej części lewicy, która mówi ludziom, jak powinni żyć. To był także mój grzech, gdy pisałam felietony do „Krytyki Politycznej". Oboje nie udajemy, że jesteśmy spoza polityki, mamy swoje za paznokciami.

J.B.: **– Ale że w tej palarni nie było między państwem nieufności: bo, mówiąc skrótem, z jednej strony klasyczny libek, z drugiej lewaczka.**

B.S.: – Właśnie to było ciekawe. Mnie szczególnie bolą potknięcia mojej formacji; bardziej niż cieszę się z potknięć przeciwników. Myślę, że Hanna ma podobnie. Na otwarcie książki daliśmy dedykację: „Dla wszystkich, którzy codziennie psioczą na Polskę, bezgranicznie ją kochając. Jak my".

H.G.-P.: – Ta książka powstawała często w sporze, sporo różnych myśli wyrzuciliśmy z tekstu, bo nie byliśmy co do nich zgodni. Ale równocześnie szukaliśmy ekspertów, danych, faktów, rozmawialiśmy chyba z setką ludzi, bo tu piszemy o technologii, społeczeństwie, o polityce, historii – w tym sensie to trochę taka praca zbiorowa.

B.S.: – Mieliśmy materiału chyba na 400 stron. Ale punkt wyjścia był taki: mielemy na co dzień mnóstwo banałów, że stary świat się skończył, że odbywa się rewolucja technologiczna – dobrze, ale co to znaczy dla nas, jak ta rzeczywistość oddziałuje na polskie społeczeństwo, politykę, mentalność?

J.B.: **– I kreślicie państwo bardzo szczególny obraz Polaków, bardzo zaskakujący, w kontrze do tego, co sami krytycznie o sobie mówimy: że – przypominając frazę Norwida – „Polacy to wielki naród, ale żadne społeczeństwo", że jesteśmy egoistyczni, anarchistyczni, kombinujemy, omijamy państwo i jego procedury, że jesteśmy takim „społeczeństwem szwagrów". Wszystkie te opisy wydają się zestawem wad narodowych, a wy to odwracacie i mówicie, że to są nasze atuty, „magiczne moce", że Polacy mają zdolność tworzenia „perfekcyjnej partyzantki". Możecie wytłumaczyć te pojęcia?**

H.G.-P.: – Staramy się pokazać na przykładach niezwykłą zdolność Polaków do samoorganizacji poza państwem, tworzenia społecznych sieci, zanim jeszcze to pojęcie zrobiło się modne. Nie

eprasa.pl b8c08e3ae2



© LESZEK ZYCH

sięgając już do historii polskich powstań czy państwa podziemnego, przypominamy powojenną, oddolną elektryfikację kraju; zanim stalinizm nałożył na komitety gromadzkie swoje ramy, zelektryfikowano 27 proc. kraju, przed wojną to było ledwie 8 proc. Ale przecież takich przykładów, zapomnianych, wypartych, jest mnóstwo: społeczne komitety telefonizacji, gazyfikacji – kopiące rowy pod rury, telewizje osiedlowe – bez zezwoleń i planów; czy potem masowy ruch zakładania fotowoltaiki, tego „oze-sroze", który wyhamowały decyzje rządu Morawieckiego.

J.B.: **– Ale przywołujecie też, jako dowody tej sieciowej „partyzantki", również wielkie ruchy historyczne: przede wszystkim Solidarność, także pomoc dla ukraińskich uchodźców, w którą zaangażowało się, ku podziwowi i zdumieniu świata, 70 proc. Polaków, czy unikatową Wielką Orkiestrę Świątecznej Pomocy albo omijający system bankowy system płatności BLIK, też stworzony w Polsce.**

H.G.-P.: – Tak, mamy talent do improwizowania, kombinacji, najlepiej działamy tam, gdzie kończą się instrukcje obsługi.

J.B.: **– Zgoda, że Polacy są zdolni do zrywów, spontanicznej mobilizacji, samoorganizacji, ale przecież sami mówimy o „polskim słomianym ogniu", wiele NGOsów skarży się na społeczną obojętność, brak regularnych wpłat, wolontariuszy. Nie jesteśmy narodem społeczników.**

B.S.: – Błąd poznawczy. Mówiąc o społeczeństwie obywatelskim, przykładamy anglosaskie miary i wzorce: stowarzyszenia, składki, członkostwo, zbiórki, zebrania. A co powiedzieć o pani, która uczestniczy w kółku różańcowym, organizuje pielgrzymki do sanktuariów, na uroczystości w kościele czy gminie razem z innymi piecze ciasta? Ona jest chodzącym NGO, choć nie kwalifikuje się do tego formatu. My jesteśmy o wiele bardziej skłonni do współpracy niż inne społeczeństwa dookoła nas, jeśli mamy coś konkretnego do zrobienia lub załatwienia.

J.B.: **– I to jest ta „magiczna moc"?**

B.S.: – Tak. Rewolucja technologiczna, dziś napędzana przez wielkie korporacje, demokratyzuje się, staje się dostępna dla wszystkich i amerykańskie big techy tego nie powstrzymają. Internet jest powszechnie dostępny, podobnie jak globalne systemy logistyczne, rozmaite elementy do produkcji czegokolwiek są zestandaryzowane i można je sprowadzić do dowolnego punktu na ziemi, złożyć jakieś urządzenie, prototyp; nie trzeba kończyć renomowanej uczelni ani mieć tzw. kapitału kulturowego, żeby wziąć udział w tej rewolucji. A sztuczna inteligencja to wszystko jeszcze przyspiesza i ułatwia. Opisujemy przykłady Bangladeszu czy Rwandy, krajów kojarzących się z biedą i nieszczęściami, które dzięki sprawnej cyfryzacji przeskakują kolejne progi rozwojowe.

J.B.: **– Ostatnio głośny był przypadek Huti, pustynnych partyzantów z Jemenu, którzy przy pomocy AI budują rakiety uderzeniowe i dezorganizują armie rządowe.**

H.G.-P.: – No właśnie. Nowe technologie to globalny toolbox, skrzynka z narzędziami dostępna praktycznie dla każdego. Jeśli chcesz zsekwencjonować własny gen na stole w kuchni, możesz to zrobić według dostępnej instrukcji, za pomocą komponentów, które przywiezie ci kurier.

J.B.: **– Jak rozumiem, kluczowa myśl waszej książki jest taka, że istnieje kompatybilność polskich cech narodowych ze stanem współczesnego świata, cywilizacji, kierunkami jego ewolucji. Spryt, zdolność improwizacji, omijania formalnych barier. Przypominacie, że azjatyckie potęgi przemysłowe i technologiczne – Chiny, Korea Południowa, Tajwan, Singapur – wyrosły na sprytnych transferach, żeby nie mówić kradzieżach, zachodnich technologii.**

H.G.-P.: – To był uboczny skutek neoliberalizmu, doktryny, która w latach 80. i 90. popychała zachodnie korporacje, aby maksymalizować zyski, przenosić produkcję na tańszy Wschód, a sobie zatrzymywać wysoką marżę. To wszystko wywaliło się na nos, bo azjatyccy pracownicy nauczyli się tych technologii, potem, przy pomocy swoich państw, zaczęli je udoskonalać i zalali rynki swoimi produktami. Stąd ta mająca ogromne skutki polityczne dezindustrializacja Zachodu.

J.B.: **– Ciekawe, że pisząc o tym, jak państwa i narody dostosowują się do nowej rzeczywistości, jako przykład pozytywny podajecie Ukrainę – kraj, który ledwo wyszedł z posowieckich mroków, a już jest niszczony okrutną wojną, natomiast jako przykład negatywny wskazujecie dotychczasowy wzór dla świata i Europy, czyli Niemcy i Niemców.**

B.S.: – Ukraina pod względem poziomu cyfryzacji usług publicznych, administracji, systemów bezpieczeństwa, także ▶

eprasa.pl b8c08e3ae2

▶ sieciowej, rozproszonej organizacji produkcji, wyprzedziła wszystkie kraje Zachodu. I nie da się tego wytłumaczyć tylko koniecznością wojenną. Jeszcze przed napaścią Rosji na Ukrainę Michaił Fedorow, późniejszy (i ostatnio zdymisjonowany) minister obrony, jako minister cyfryzacji otrzymał szerokie kompetencje umożliwiające drogę na skróty, łamanie oporu administracji przed cyfryzacją, narzucania i korygowania testowanych w biegu rozwiązań. To zupełne przeciwieństwo metody niemieckiej, opartej na planach, procedurach, rozbudowanej organizacji i biurokracji. Nawet w stosunku do Polski ten kraj jest zacofany cyfrowo.

J.B.: **– Bardzo jesteście w tej książce krytyczni wobec Niemców.**

B.S.: – Bo Niemcy są nie tylko cyfrowo państwem upadłym, ale zaczynają być państwem upadłym w ogóle: niemiecka kolej przestaje funkcjonować, ich stopień bezpieczeństwa jest żenująco niski i, jak ostatnio w Berlinie, oddawany w ręce skrajnych lewicowych ugrupowań, które chcą oszczędzać na policji. My mamy w głowę wbite, że Helmut był zawsze lepszy od Ryśka, a jest dokładnie odwrotnie. Wykonaliśmy wspólnie jakiś nieprawdopodobny skok. Oczywiście Niemcy wciąż mają wielką gospodarkę, ale jako naród w małym stopniu uczestniczą w rewolucji technologicznej.

J.B.: – Rozumiecie dlaczego?

H.G.-P.: – Najkrócej: ponieważ nauczyli się czekać, że państwo zrobi to za nich. A jeśli nie zrobi, to nadal będą chodzić od okienka do okienka, zbierać dokumenty, pieczątki. Niemcy mają zaufanie do państwa, a Polacy nie i raczej próbują państwo ominąć. Tu jest nasza przewaga. Tak było choćby z internetem: zanim państwo się zorientowało, mieliśmy 8 mln internautów, budowaliśmy masowy internet na złączkach, switchach, przy osiedlowych trzepakach, na dziko – znaczy, nikt nie czekał, aż państwo mu założy internet.

J.B.: **– Ale czy te wasze zastrzeżenia wobec modelu niemieckiego nie przenoszą się wprost na Unię Europejską, która jest w dużym stopniu produktem mentalności niemieckiej: wiary w procedury, biurokrację, plany, urzędowe programy, KPO, SAFE, skrupulatne rozliczenia, tysiące przepisów służących szlachetnym ideom? Może Unia, która historycznie jest częścią polskiego sukcesu, też umiera razem z niemieckim modelem?**

B.S.: – To, że my nie jesteśmy w stanie zdobyć się na bardziej asertywną politykę celną wobec Chin, wynika z obawy niemieckich koncernów motoryzacyjnych, że stracą rynek i możliwości produkcyjne w Chinach. Nie ma zgody na taką politykę niemiecką, która ciągnie Unię i nas w dół. Państwo polskie powinno być w tej sprawie bardziej stanowcze w Unii niż do tej pory.

J.B.: – Ale to Niemcy głównie finansują Unię i nasze transfery.

H.G.-P.: – My podnosimy rękę na tę świętość, jaką w Polsce są fundusze unijne i tzw. spending, czyli to, że muszą być wydawane do zera, a czy są dobrze wydawane, można dyskutować, a właściwie nie można dyskutować. Dajemy przykłady dotacji 38 mln zł na nowy gatunek piwa rzemieślniczego, na szkolenia sommelierów, mindfulness i inne pozorowane innowacje. Na szczęście to się zmienia: inwestycje w technologie kosmiczne, cyfrowe bezpieczeństwo, w zbrojenia idą już nieco innym trybem.

B.S.: – Tak, Unia się zmienia, ale za wolno, za późno, związana własną historią, instytucjami, przepisami. Weźmy pakt migracyjny, wciąż oparty na doktrynie praw człowieka, czyli indywidualnego rozpatrywania każdego ludzkiego przypadku. No ale stała się Ceuta, czyli wtargnięcie na teren Unii 80 tys. marokańskich migrantów w 36 godzin. Czy można ich było potraktować indywidualnie? I pakt stał się martwy, zanim wszedł w życie. Naszym zagrożeniem nie jest to, że ktoś nieproszony dostanie się do Europy, ale że to może być nagle 100 tys. i przecież nikt nie będzie do nich strzelał. Unia wydała gromkie oświadczenia i tyle, a trzeba, niestety, odejść od wielu naszych szlachetnych iluzji zapisanych w orzeczeniach Europejskiego Trybunału Praw Człowieka.

J.B.: – Rzeczywiście, krytykujecie w tej książce nasze utrwalone stereotypy i świętości: kult Niemiec, Unii Europejskiej, procedur stanowiących przecież fundament liberalnej demokracji. Namawiacie do jakiegoś rodzaju oświeconej dyktatury w stylu Fedorowa?

H.G.-P.: – Aż tak to nie, ale wytłumaczę na przykładzie. Przyjrzeliśmy się, jak strukturalnie funkcjonuje rząd w Polsce. Każdy rząd. Otóż podstawą organizacyjną jest tzw. ustawa o działach z 1997 r., która dzieli rzeczywistość na pewne klocki, które wchodzą do poszczególnych resortów. Trzy kluczowe dziś cywilizacyjnie dziedziny – cyfryzacja, rozwój i innowacje oraz energetyka – znajdują się w kilku resortach, 18 działach i w rękach czterech partii. Poziom skomplikowania jakiejkolwiek decyzji jest niesamowity.

B.S.: – My mówimy: nie chodzi o wielkie idee, wielkie przewroty, całościowe ambitne reformy itp., ale o czysto menedżerskie zabiegi w polityce, skoncentrowanie narzędzi. Nazywamy to trochę zaczepnie mikrodyktaturą, bo przecież nie trzeba naruszać demokratycznych zasad, żeby wytyczyć decyzyjne autostrady wewnątrz rządu. To już się zaczyna w kwestii obronności, ale jeszcze nie w cyfryzacji czy energetyce, nadal zdominowanej przez wielkie państwowe spółki dystrybucyjne. Kiedyś stworzono taką specjalną strukturę – megaministerstwo, kierowane przez Elżbietę Bieńkowską, do wykorzystania wielkich wtedy funduszy unijnych. I zbudowaliśmy najlepszy w Europie system, który zrewolucjonizował polską infrastrukturę. Ale to było dawno.

J.B.: **– Czyli jednak przedstawiacie państwo jakąś koncepcję reformy państwa; to propozycja na wybory 2027 r.?**

B.S.: – Ja mam mentalność dowódcy batalionu: jak jest zadanie, to dla mnie znika reszta świata, jest tylko ten konkret przed oczami. Dla mnie, ale i dla Hanny, wykonanie przez Polskę skoku w nowoczesność to nie jest reforma państwa, cuda na patyku, wielkie przedsięwzięcia polityczne, ale elementarna sztuka rządzenia klockami, które się ma. Kolejne ekipy nie postrzegają państwa jako po prostu narzędziowni. My proponujemy, żeby to państwo „zhakować".

J.B.: – Czyli co?

B.S.: – Nie naprawimy państwa Polaków, ponieważ, przykro mi, średnio umiemy grać „w państwo". Ale jest i drugi powód: dotychczasowe państwa, jako wielkie konglomeraty, tracą wagę. Proponujemy więc omijać, jak robią to hakerzy, poustawiane bramki i wytyczone ścieżki, skupić się na tych rzeczach, które są kluczowe dla przyszłości Polski: bezpieczeństwo, innowacje i cyfryzacja oraz energetyka. I zejść tu na poziom bardzo pragmatycznego działania, którego nie widzimy w polskiej polityce.

J.B.: **– Ale, jak rozumiem, w każdym z tych obszarów chodzi wam o włączenie ludzi, wykorzystanie tych magicznych mocy, partyzanckich skłonności narodu, osłabienia „biurokratycznych instytucji". Tu państwo brzmicie czasem jak Konfederacja: zmniejszyć władzę uwielbianej przez lewicę Państwowej Inspekcji Pracy, zlikwidować w obecnej formie Narodowe Centrum Badań i Rozwoju, rozparcelować wielkie spółki energetyczne, pozwolić na budowę lokalnych magazynów**

eprasa.pl b8c08e3ae2

energii, ponowną ekspansję fotowoltaiki, nawet do konserwatorów zabytków i ich czepialskich rygorów macie zastrzeżenia. To jednak pachnie radykalnym liberalizmem.

B.S.: – Może to republikanizm? To są pojęcia, które przyszły do nas z zewnątrz; my dystansujemy się wobec -izmów. Nie jesteśmy wrogami państwa, zresztą trudno mnie o to podejrzewać, życzliwi nazywali mnie „państwowcem". Uważamy tylko, że państwo nie korzysta z olbrzymiego rezerwuaru społecznej energii, samorzutnej zdolności organizacyjnej Polaków.

H.G.-P.: – W 1989 r. my właściwie dostaliśmy pustą przestrzeń, budowaliśmy całe państwo od nowa. I jeśli odnieśliśmy ogromny sukces, to przede wszystkim dzięki przedsiębiorczości, „cwaniactwu" Polaków. Mam przypomnieć żywiołowy kapitalizm ludowy lat 90., miliony prywatnych biznesów, handlu, importu, ale też masowej migracji pozwalającej na przetrwanie i gromadzenie kapitału? Jednak system organizacji państwa przejęliśmy, skopiowaliśmy z Zachodu, który był w zupełnie innej fazie ewolucji niż my. To przypomina znaną anegdotę o szyciu garnituru, który pasuje, tylko gdy się zgarbimy i skręcimy. Zbudowaliśmy jakieś izby biurokratycznych tortur, w których człowiek staje się białkowym interfejsem między okienkami urzędów.

B.S.: – Państwo, które nie pasuje do naszych ustawień fabrycznych.

H.G.-P.: – Teraz najbardziej kłopotliwe stają się te końcówki państwa, które stykają się z obywatelem, te instytucje pośredniczące, wydające pozwolenia – z reguły nastawione „na nie", komunikujące się z nami językiem, którego nie sposób zrozumieć, w czym celują spółki energetyczne, ale też ubezpieczeniowe czy urzędy skarbowe. Chcieliśmy dotknąć w tej książce problemów, których centralnie często nie widać, ale które rodzą ogromną frustrację, głównie w grupie, która najwięcej ryzykuje: przedsiębiorcy, samozatrudnieni, mały, tzw. powiatowy biznes. Proszę zwrócić uwagę, że ta grupa – starsza i na ogół zamożniejsza niż wyborcy Konfederacji – w dużym stopniu stanowi dziś elektorat Brauna. Jest ich tam dwa razy więcej niż w innych partiach. Taksówkarze, budowlańcy, informatycy – może ci, którzy zakładali pierwsze sieci osiedlowe – oni postrzegają państwo jako nieprzyjazne, opresyjne i często już nie chcą żadnej jego naprawy, reformy, odgórnej deregulacji, tylko odwetu, choćby za pomocą gaśnicy. Mają często poczucie, że państwo dba głównie o różnych nierobów, mniejszości, imigrantów, zwłaszcza z Ukrainy, wydaje ich ciężko zarobione pieniądze na prezenty dla różnych swoich.

B.S.: – My mówimy, że państwo powinno być rusztowaniem, szkieletem podtrzymującym społeczną tkankę, jej żywą energię. To nas łączy: Hanna jako lewicowa aktywistka oglądała to niezdarne, opresyjne państwo od podszewki; ja w swojej książce „Państwo teoretyczne" pisałem, że dobry ustrój buduje się od dołu, nie od góry. Ta książka jest rozwinięciem tych tez: jeśli polityka nie widzi tego codziennego styku obywatela z instytucjami, które może w ogóle nie powinny istnieć, to hoduje sobie trzy czwarte wyborców Brauna i Konfederacji. Każda ekipa, która będzie rządziła w przyszłości, zderzy się z tym problemem. Będzie zadowolona, ponieważ istnieje pozór rządzenia, radość z wygrywania wyborów, ale to nie rozładuje potencjału buntu, który nie chce tego państwa naprawiać, ale najchętniej je zniszczyć. A jeśli się nie widzi zagrożeń, to też się nie dostrzega szans.



Właśnie takich, jakie niesie rewolucja technologiczna, idealnie pasująca do naszych cech narodowych.

J.B.: **– To jak według kryteriów, które przyjęliście w tej książce, oceniacie mijające trzy lata rządów koalicji demokratycznej? Czy to jest kontynuacja tych samych wad państwa, które ciągną się od planu Balcerowicza? Czy coś się poprawiło?**

H.G.-P.: – Rządy PiS to było apogeum centralizacji władzy, właściwie skolonizowania państwa przez nomenklaturę partyjną, na ogół bez żadnych kwalifikacji, poza lojalnością i pazernością na profity. Szumnie ogłaszane plany rozwojowe pozostały w PowerPoincie albo w spółkach stworzonych dla wyciągania publicznych pieniędzy.

B.S.: – Koalicja 15 października szła do władzy z dużymi planami, obietnicami, sam wiele z nich współtworzyłem, ale warunkiem wprowadzenia wielu było wygranie wyborów prezydenckich. Teraz trzeba z konieczności szukać obejść, improwizować, „hakować". Ale to się da robić, jeśli jest wola polityczna.

J.B.: **– Słyszałem, jak namawiał pan rządzących, aby wobec obstrukcji prezydenta, odmowy wykonywania konstytucyjnych obowiązków, rozważyć obcięcie funduszy jego kancelarii, a nielegalnego prezesa Święczkowskiego wyprowadzić z Trybunału Konstytucyjnego... Główne zarzuty wyborców koalicji 15 października wobec tej ekipy to brak sprawczości i wizji. Z tą sprawczością chyba coś się ostatnio poprawia, ale z wizją jest słabo. Chcielibyście, żeby wasze idee i pomysły znalazły się w programie politycznym KO na kampanię?**

B.S.: – Zdecydowanie tak. To, co zabija przyszłość, to brak dyskusji o niej. Jeśli w 80 proc. tematów dotyczących obecnych zmian cywilizacyjnych i technologicznych nie ma żadnej poważnej dyskusji politycznej oprócz pęczka banałów, to robi się groźnie. Ja np. chciałbym wiedzieć, co PiS sądzi o przyszłości technologicznej Polski, i chętnie podjąłbym dyskusję na ten temat, zamiast słuchać żalów, że zabrałem im taką śliczną telewizję.

J.B.: **– W KO byłoby z kim rozmawiać? Bartłomiej Sienkiewicz ma przecież dostęp do Donalda Tuska.**

B.S.: – Proszę pamiętać, że jako europoseł jestem poza bieżącą polityką. Jeśli mam/mamy pretensje do naszego obozu, to o niewykorzystane szanse, zwłaszcza niewykorzystywanie wielkich ambicji, głodu aspiracyjnego Polaków. Przecież w sporze o to, czy budować CPK, bardziej niż o technikalia chodziło o to, czy będziemy lepsi od Niemców. A doradzanie premierowi? Mam przekonanie, że polityka jest zajęciem publicznym. Co publicznie nie istnieje, nie jest polityką. Sam, kiedy pełniłem funkcje państwowe, pędziłem na cztery wiatry różnych nosicieli dobrych rad. Nie będę chodził do swoich kolegów, za czymś lobbował; piszę, mówię, co z tego wezmą, ich sprawa.

J.B.: **– A pani liczy na jakąś reakcję swoich lewicowych koleżanek i kolegów?**

H.G.-P.: – Chciałabym, żeby zrozumieli, że ci mali przedsiębiorcy, których gniew na państwo pcha do Brauna, to jest współczesny proletariat. To jest grupa, którą lewica się nie zajmuje, wręcz ma pewną fobię, utknęła na obronie etatów, praw mniejszości, imigrantów, prawa do aborcji. To nie jest nieważne, ale lewicowa wrażliwość powinna się nieco bliżej przyjrzeć tej rzeczywistości, która jest; mniej pouczać, krytykować na jedno kopyto wszystko, co odstaje od jakiegoś ideologicznego pakietu. Czekam, aż oberwę, szczerze mówiąc.

ROZMAWIAŁ JERZY BACZYŃSKI

© WYDAWNICTWO POZNAŃSKIE

eprasa.pl b8c08e3ae2

Pod Trumpa ochronę



© WOJCIECH LELIŃSKI/SHUTTERSTOCK

eprasa.pl b8c08e3ae2

PiS i Karol Nawrocki traktują Donalda Trumpa jako swoją najpotężniejszą broń w walce z rządem. Ale pytanie, czy ta wunderwaffe trochę nie zardzewiała.

MICHAŁ DANIELEWSKI

Karol Nawrocki to prezydent wprost niesamowity. Wielki wojownik, zwycięzca i mistrz. O jego wygranej dyskutowała cała Europa, ponieważ na Starym Kontynencie było to najważniejsze wydarzenie wyborcze ostatnich 50 lat. A Polska ma wielkie szczęście, posiadając tak wybitnego przywódcę.

Ta landrynkowa laurka dla prezydenta pochodzi z wygłoszonego w połowie września wystąpienia Donalda Trumpa do amerykańskiej Polonii. Przytoczone zachwyty łatwo skwitować ironią, uznalibyśmy je przecież za odrobinę zbyt entuzjastyczne nawet w ustach zagorzałego zwolennika Nawrockiego. Ale kiedy wyraża je Trump, robi się już z tego istotna kwestia polityczna. Bo charakterystyczne dla prezydenta USA naginające fakty buńczuczne dyrdymałki w polskim kontekście mają swój wymierny ciężar i konsekwencje – zarówno w kwestii naszego bezpieczeństwa, jak i układu sił na scenie politycznej.

Stosunek wasalny

Przesłanie do amerykańskiej Polonii Trump czytał z promptera mozolnie i monotonnie, ale w historię „wielkiego zwycięzcy i wojownika" Nawrockiego amerykański prezydent zdaje się szczerze wierzyć, powtarza bowiem tę zbitkę przy różnych okazjach, nawet niepytany. Możliwe, że traktuje tę opowieść jako dowód na swoją własną wybitność: oto on poparł Nawrockiego i dlatego ten wygrał. Polski prezydent odgrywa w tym specyficznym uniwersum postać pomazańca: namaszczonego przedstawiciela Trumpa w Polsce.

Tym większą Nawrocki budzi sympatię w Białym Domu, że jest dziś w Unii Europejskiej egzemplarzem rzadkim. Trudno tu znaleźć innych przywódców tak otwarcie identyfikujących się z ruchem MAGA i bez wstydu przyjmujących postawę wasalną wobec Trumpa: Viktor Orbán, także wspierany przez Trumpa, akurat przegrał wybory, Włoszka Giorgia Meloni spektakularnie poróżniła się z amerykańskim prezydentem, Geert Wilders stracił miejsce w holenderskim rządzie, zaś niemieckie AfD, hiszpański VOX, i Francuzka Marine Le Pen czekają dopiero na swoją kolej u władzy.

Polityczny romans szeroko rozumianego obozu PiS z Trumpem i ruchem MAGA kwitnie, wykraczając poza pragmatyczne relacje. Entuzjastycznie skandowane w Sejmie przez posłów PiS „Donald Trump!, Donald Trump!", z dumą noszone charakterystyczne czerwone czapeczki, chwalenie się przez Nawrockiego „osobistą relacją wielkiego przywódcy Donalda Trumpa i mojej osoby" – to wszystko wynik rzeczywistego, nieudawanego podziwu wobec idola zza oceanu. Słynną starą frazę Radosława Sikorskiego o „robieniu łaski Amerykanom" można dziś uzupełnić o zdanie, że w wypadku PiS i Karola Nawrockiego jest to „łaska" robiona z oddaniem i przekonaniem.

Na głośnym z powodu afery Zondacrypto waszyngtońskim szczycie telewizji Republika przy okazji wizyty Nawrockiego w USA, prominentne postaci ruchu MAGA, ze słynnym Steve'em Bannonem i szefem konferencji CPAC Matthew Schlappem na czele, grzmiały o „zdeprawowanych europejskich elitach", nadchodzącej „populistyczno-nacjonalistycznej rewolucji" i o tym, że „największe zagrożenie dla polskiej suwerenności nie płynie ze Wschodu, lecz z Brukseli, Davos, Paryża". Przyjmowani byli entuzjastycznie. Bo ten związek to nie tylko wspólnota interesów, lecz również ideologiczne, bezwarunkowe braterstwo. Nie ma takich działań oraz słów Trumpa i jego akolitów, których obóz PiS by nie poparł lub nie byłby w stanie uzasadnić. Nawet przymilanie się do Władimira Putina albo zaproszenie rosyjskiego dyktatora na szczyt G20 jest przedstawiane jako misterna geopolityczna gra i wyrafinowane dyplomatyczne szachy. Dlatego bez złudzeń: w bitwie o władzę w Polsce administracja Trumpa dostanie w końcu prośbę o bratnią pomoc dla polskich towarzyszy z „populistyczno-nacjonalistycznej" międzynarodówki. I spróbuje jej udzielić.

Szantaż i baza

Nie ma też wątpliwości, że Trump jest w stanie powiedzieć i zrobić wszystko, jeśli do jego otoczenia dotrą z odpowiednim przekazem politycy PiS lub doradcy Karola Nawrockiego. Nie trzeba tu nawet spekulować, taką bezpośrednią aktywność obecnej administracji amerykańskiej widzieliśmy już przecież podczas wyborów w 2025 r., a w innych krajach próba wpływu na lokalną politykę przybierała jeszcze większą skalę, choć nie zawsze kończyła się oczekiwanym efektem. Słynący z bardzo dobrych kontaktów za oceanem europoseł PiS Adam Bielan opisał ostatnio ten mechanizm jasno i bez ogródek: „Obawiam się, że kiedy Trump dowie się o tym, co dzieje się w Polsce (...) może temu towarzyszyć bardzo brutalna decyzja dla nas, np. o wstrzymaniu budowy amerykańskiej bazy. Pełną odpowiedzialność będzie ponosić za to Tusk".

Wypowiedź Bielana padła w kontekście ewentualnej próby „odbicia" przez koalicję rządową Trybunału Konstytucyjnego z rąk Bogdana Święczkowskiego, ale wpisuje się też w szerszą narrację obozu prawicowego na temat stosunków polsko-amerykańskich. Schemat tej opowieści snutej przez europosła PiS przy aktywnym udziale prezydenckiego ministra Marcina Przydacza oraz pomniejszych harcowników jest następujący: dzięki swoim doskonałym stosunkom z Trumpem bazę wojsk amerykańskich w Polsce załatwił prezydent Nawrocki, a jeśli z tych planów nic nie wyjdzie, sprawa będzie się ślimaczyć lub napotka przeszkody, będzie to wina rządu i jego „antydemokratycznych działań". A o to, żeby z planów do wyborów nic nie wyszło, zawsze możemy się zatroszczyć.

O samej bazie amerykańskiej opinia publiczna wie zresztą niewiele, oprócz tego, że sprawa jest bardzo ważna ▶

eprasa.pl b8c08e3ae2

▶ i przełomowa, kierunkowe decyzje mają zapaść jeszcze w tym roku, proces ich realizacji zaś to co najmniej perspektywa roku następnego – wszystko to daje dużą przestrzeń do kolejnych politycznych zwrotów akcji. Tym bardziej że Trump wysyła sprzeczne sygnały, raz zapewniając, że rozmowy dzięki Nawrockiemu zmierzają do finalizacji, by w ostatni czwartek rzucić zdanie o „przyglądaniu się sprawie" i dodać w odpowiedzi na pytanie o bazę, że „może to się zdarzyć", a decyzję może już podjął, a może nie.

W ostatnich dniach ponownie uaktywnił się też Bielan, który po raz kolejny zwodował w mediach narrację o „winie rządu", który „stracił bardzo dużo czasu". Znów też usłyszeliśmy, że Tusk to w Białym Domu *persona non grata*. W intrygującym splocie wypadków wyciekła również informacja o tajemniczym marcowym spotkaniu z Trumpem szefa MON Władysława Kosiniaka-Kamysza. Kilkudziesięciominutową rozmowę mieli załatwić wicepremierowi Bielan oraz ludzie Nawrockiego, co sprawia wrażenie, że obóz PiS próbował już wiosną jakiejś wewnętrznej, politycznej gry z udziałem Amerykanów. Co zdaje się potwierdzać szef MSZ Radosław Sikorski, pytając na portalu X, czy spotkanie „służyło też próbie zaangażowania obcego państwa w naszą wewnętrzną politykę".

O tym, że mamy do czynienia ze zorkiestrowanym politycznym spinem, podbijającym opowieść o antyamerykańskim rządzie za nic mającym bezpieczeństwo Polaków, świadczy wypowiedź Przemysława Czarnka, który w ostatni piątek ogłosił, że „baza już by była, gdyby nie Tusk i Kosiniak-Kamysz" oraz pożyczka „der SAFE wykluczająca możliwość zakupów uzbrojenia w Stanach Zjednoczonych". Czarnek wyraził przy tym nadzieję, że „za rok zmieni się rząd i natychmiast ta baza powstanie". Nie trzeba używać przesadnie zaawansowanego translatora, by przetłumaczyć strategię obozu pisowsko-prezydenckiego z języka politycznego na polski. Przekaz brzmi tak: w walce z rządem mamy Trumpa i nie zawahamy się go użyć.

Jako się rzekło, nie są to czcze pogróżki. Wydaje się pewne, że w nadchodzącym roku wyborczym przetestujemy moc wpływu interwencji amerykańskiej administracji w polski proces wyborczy. Zresztą PiS i Karol Nawrocki specjalnie nie ukrywają, że traktują pomoc USA jako swoją cudowną broń na politycznym rynku wewnętrznym, choć jej skuteczność jest coraz bardziej dyskusyjna. Widzieliśmy to w Kanadzie, widzieliśmy na Węgrzech – bywa, że Donald Trump i jego ludzie wchodzą w rolę „odwróconego Midasa": nieoczekiwanie dla siebie polityczne złoto zmieniają w polityczny tombak.

Polacy nie lubią Trumpa

Wiara w cudowną moc amerykańskiego zaangażowania w polską politykę ma swoje podstawy w przeszłości, po 1989 r. ambasada USA wiele razy pełniła rolę kluczowego punktu odniesienia, niezależnie od opcji rządzących w Warszawie i Waszyngtonie. Również bezwarunkowa lojalność wobec polityki Stanów Zjednoczonych, bez względu na jej treść, nie jest nadzwyczajnym precedensem. Wystarczy przypomnieć łatkę „osła trojańskiego USA", której dorobiliśmy się w zachodnich mediach po dołączeniu w 2002 r. do koalicji antyirackiej wbrew stanowisku tzw. starej Europy. Taka postawa miała zresztą swoje racjonalne podstawy, a do tego była zbieżna z sentymentem opinii publicznej, która w ogromnej większości podzielała przekonanie, że jaka Ameryka jest, taka jest, ale w razie czego to ona dysponuje wolą polityczną i siłą militarną. Zaś wiecznie deliberującą Europę stać jedynie na oświadczenia o stanie „głębokiego zaniepokojenia" oraz przesyłanie wsparcia w postaci „myśli i modlitw" zamiast czołgów i rakiet.

Konsens społeczny i polityczny stanowił, że Europa zapewnia nam dobrobyt, natomiast USA gwarantują bezpieczeństwo i geopolityczną stabilność. Jednak prezydentura Donalda Trumpa, a zwłaszcza jego druga kadencja, potężnie zachwiała tradycyjnym przekonaniem o dobrym Wuju Samie z Waszyngtonu.

Początkowe obawy związane z Trumpem, kiedy po raz pierwszy obejmował urząd, rozwiała zorganizowana z wielką pompą wizyta w Polsce w 2017 r. Andrzej Rosiewicz w TVP śpiewał „Sing and jump! Sing all together for Donald Trump", a prezydent USA podczas wielkiego wiecu na Placu Krasińskich pod Pomnikiem Powstania Warszawskiego wychwalał Polskę jako „ziemię bohaterów". To się podobało. W badaniach Pew Research Center zaufanie do Trumpa wystrzeliło wtedy nad Wisłą z marnych 23 proc. w 2017 r. do 51 proc. dwa lata później. Nigdzie w Europie Trump nie był wówczas tak popularny, kolejny raz potwierdzała się opinia o Polakach jako najbardziej proamerykańskim społeczeństwie na Starym Kontynencie. Ale dziś sytuacja jest inna. W tegorocznym badaniu Pew Research zaufanie do Trumpa obniżyło się w porównaniu z 2025 r. i wynosi jedynie 29 proc. Co więcej, Trump ciągnie w dół również postrzeganie Stanów Zjednoczonych: po raz pierwszy w historii badań liczba pozytywnych opinii o USA spadła w naszym kraju poniżej 50 proc.

Ten trend potwierdzają również badania polskich pracowni. W styczniowym sondażu IBRiS aż 54 proc. respondentów uważa, że Stany Zjednoczone nie są dziś wiarygodnym sojusznikiem, a w czerwcowym badaniu Opinii24 49 proc. ankietowanych stwierdziło, że Polska nie może liczyć na Donalda Trumpa w kwestii bezpieczeństwa.

Stąd pewność PiS i otoczenia Karola Nawrockiego, że karta amerykańska stanowi jeden z decydujących czynników w perspektywie wyborów parlamentarnych, może być prawdziwa, ale niewykluczone, że z odwrotnym efektem od oczekiwanego. Łatwo sobie wyobrazić, że ingerencja administracji Trumpa w politykę wewnętrzną, zarysowana zbyt grubą kreską, będzie odczytana jako próba wciągnięcia Polski w awanturniczą politykę USA i Trumpa, jaką znamy z ich poczynań na arenie międzynarodowej. Do tego konkurenci PiS po prawej stronie sceny tylko czekają na okazję, by wskazać na służalczość ludzi Kaczyńskiego wobec patrona zza oceanu. Widzimy też, że sojusz Karola Nawrockiego z Konfederacją zdaje się nie tak bliski, jak sądzono, co pokazuje bezpardonowy atak na prezydenta ze strony Sławomira Mentzena po podpisaniu ustawy o podatku od nadzwyczajnych zysków koncernów paliwowych. Analogicznie czynnik amerykański, który w założeniu ma polaryzować „zdradziecki rząd" z opozycyjnym „obozem patriotycznym", może szybko wymknąć się spod kontroli, stając się pretekstem do wojny domowej w szeregach prawicy.

Warto zauważyć, że Mentzen już teraz przeszedł od wychwalania Trumpa w swojej kampanii prezydenckiej do konstatacji, że „Trump oszalał", „wszczyna absurdalne wojny" i chce zadłużać się na potęgę. Ze strony lidera Konfederacji to pragmatyczny zwrot, bo czołobitność wobec prezydenta USA zwyczajnie przestała mu się politycznie opłacać. Styczniowe badanie CBOS pokazuje, że pozytywne oceny działania Trumpa przeważają

eprasa.pl b8c08e3ae2

nad negatywnymi jedynie wśród osób bardzo religijnych, bezrobotnych oraz określających swoje warunki materialne jako złe. Z całą pewnością nie jest to elektorat Konfederacji.

Trump zatopi PiS?

Rząd Tuska wraz z całym obozem koalicji 15 października na obecnym etapie przyjął w stosunku do administracji Trumpa taktykę defensywną: z jednej strony mamy narracyjną chłodną ostrożność, z drugiej – wyraźny podział ról. Rolę złego policjanta wziął na siebie Tusk, choć rzucane od czasu do czasu przez premiera aluzyjne złośliwostki wobec amerykańskiego prezydenta są formułowane w dalece łagodniejszym tonie niż jeszcze rok temu. Również marszałek Sejmu Włodzimierz Czarzasty, który był głównym harcownikiem, jeśli chodzi o antytrumpowską opowieść w obozie władzy, wziął ostatnio na wstrzymanie. Rolę dobrych policjantów odgrywają Władysław Kosiniak-Kamysz i jego zastępczyni Magdalena Sobkowiak-Czarnecka, zapewniający bez ustanku, że stosunki polsko-amerykańskie są modelowe, realizujemy kolejne zakupy zbrojeniowe, a negocjacje dotyczące stałej bazy w Polsce przebiegają – jak to mówiło się w czasach słusznie minionych – w „atmosferze wzajemnego zrozumienia".

To ostrożne podejście ma sens. Po pierwsze, uspokaja polską opinię publiczną, która mimo niechęci do Trumpa nadmiernie asertywną politykę wobec USA mogłaby odebrać jako zbędne awanturnictwo w trudnej sytuacji międzynarodowej. Jeśli koalicja rządowa chce iść do wyborów pod hasłami stabilizacji i bezpieczeństwa, nie może z własnej inicjatywy wdawać się w chaotyczną szamotaninę z amerykańskim sojusznikiem. Tym bardziej że PiS i ludzie Karola Nawrockiego wyraźnie chcą rząd do tego sprowokować. Po drugie, dalece nieroztropne byłoby beztroskie drażnienie groźnego drapieżnika, osobliwie takiego, który zagnany do narożnika jest bliski paniki i kąsania na oślep. A taka jest w tej chwili sytuacja Trumpa i Republikanów.

Oceny prezydenta USA jeszcze nigdy nie były tak niskie – akceptację dla jego polityki wyraża zaledwie 32 proc. Amerykanów. Do tego sondaże przed zaplanowanymi na 3 listopada wyborami połówkowymi do Kongresu zgodnie wróżą Trumpowi i Partii Republikańskiej totalną katastrofę. Według modeli analityka Nate'a Silvera Demokraci przejmą kontrolę nad Izbą Reprezentantów z prawdopodobieństwem 93 proc., a większość w Senacie zdobędą z pewnością równą 72 proc. Według badań Partia Demokratyczna może wygrać wybory do Senatu nawet w Teksasie, co ostatni raz zdarzyło się 38 lat temu. To oczywiście na razie tylko sondaże, które już wcześniej myliły się wyraźnie na niekorzyść Trumpa, ale jeśli prognozy zmienią się w rzeczywistość, będziemy za niespełna miesiąc świadkami trzęsienia ziemi w amerykańskiej polityce. Już teraz republikańscy kandydaci na wyścigi dystansują się od niepopularnego prezydenta, jeśli zaś stracą obie izby Kongresu, pozycja Trumpa stanie się bezprecedensowo słaba. Dyskusyjne, czy w takim wypadku będzie miał głowę do tego, żeby zajmować się potrzebami swoich polskich ideologicznych sojuszników.

Dla PiS i Karola Nawrockiego byłby to czarny scenariusz, bo w relacje z Trumpem zainwestowali przecież lwią część swojego kapitału. Jeśli ich patron znacząco osłabnie, zamiast zysków z obiecanej politycznej dywidendy realna stanie się perspektywa politycznego bankructwa. A wyborczy zegar tyka.

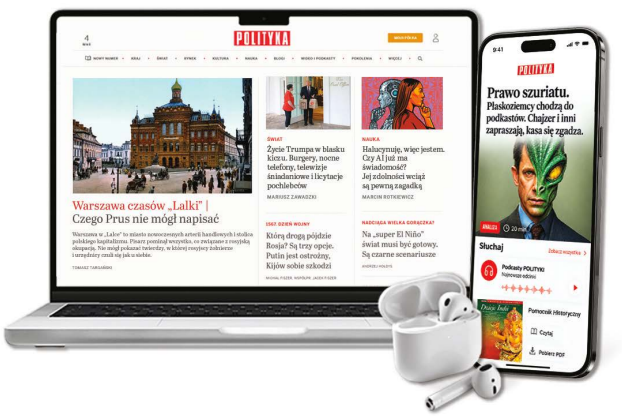
MICHAŁ DANIELEWSKI

REKLAMA

Oferta powitalna

POLITYKA

5 zł | za tydzień
przez cały rok



Oferta dla nowych subskrybentów

Teksty tygodnika, rzetelne analizy

Podkasty i artykuły

Codziennie nowe treści

KUP DOSTĘP

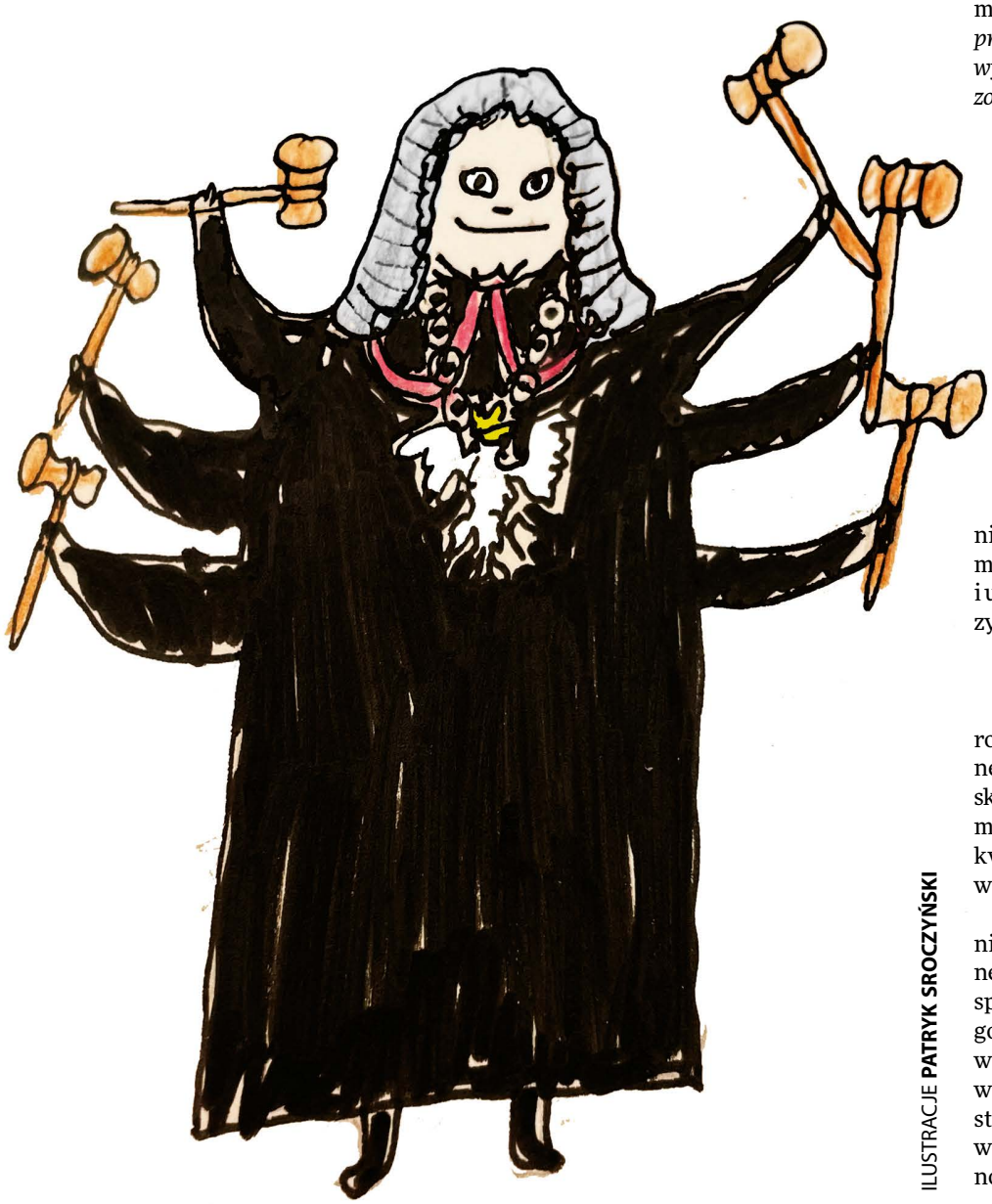
polityka.pl/powitalna

eprasa.pl b8c08e3ae2

Pokazowe nakazówki

Automatyczne skazywanie ludzi w procedurze nakazowej to praktyka osiągająca olbrzymią skalę, by odciążyć wymiar sprawiedliwości. Na czym to polega?

EWA SIEDLECKA



ILUSTRACJE PATRYK SROCZYŃSKI

Piotr Niemczyk i Paweł Kasprzak poszli do więzienia za uczestnictwo w protestach klimatycznych Ostatniego Pokolenia. Sąd najpierw z automatu uznał ich za winnych, nie badając okoliczności, a potem z automatu posłał do więzienia za nieodbycie zasądzonych za protest prac społecznych. Wszystko legalnie.

Kasprzak i Niemczyk to weterani obywatelskiego oporu. Zaczęli jeszcze jako opozycjoniści w PRL. Teraz dali się zamknąć, żeby zwrócić uwagę na nadużycia procedury nakazowej. Ofiarami tego procederu padają przede wszystkim zwykli ludzie, którzy nie wiedzieli o toczącym się wobec nich postępowaniu albo po prostu gorzej radzą sobie w kontaktach z urzędami. – *Mamy urągającą konstytucyjnemu prawu do sądu i linii orzeczniczej Sądu Najwyższego praktykę orzekania w trybie nakazowym, gdzie sąd, nie czytając, podpisuje to, co przyniósł mu referendarz. To jest fikcja statystyczna, a nie wyrok. Chodzi wyłącznie o to, że taką sprawę sędzia od ręki może oznaczyć jako załatwioną, dzięki czemu sąd „opanowuje" napływ spraw* – mówi Radosław Baszuk, adwokat broniący pro bono opozycji ulicznej w czasach PiS, który bywał uczestnikiem protestów.

Faktycznie, gdyby nie tryb nakazowy, przewlekłość postępowań wykroczeniowych i karnych w pierwszej instancji byłaby wielokrotnie większa niż dzisiaj. Tylko jak bardzo można przyspieszyć sądowe postępowania i uprościć procedury, żeby móc jeszcze nazywać to prawem do sprawiedliwego sądu?

Więźniowie z własnej woli

Paweł Kasprzak nie odwołał się od wyroku nakazowego za udział w zeszłorocznej majowej blokadzie Mostu Poniatowskiego i odmówił wykonania zasądzonych mu prac społecznych. Na przełomie kwietnia i maja tego roku przesiedział w więzieniu w Siedlcach 15 dni.

W jego obronie wystąpiło 41 opozycjonistów z czasów PRL. Napisali do ówczesnego RPO Marcina Wiącka i do ministra sprawiedliwości-prokuratora generalnego Waldemara Żurka: „W procedurze, w jakiej został skazany Kasprzak wyrok wydawany jest zaocznie, bez udziału stron i przeprowadzenia rozprawy, dowodem w sprawie są w praktyce jedynie notatki policjantów, a posiedzenie sądu

eprasa.pl b8c08e3ae2

jest niejawne. Zważywszy, że na apelację wyznaczony jest termin zaledwie 7 dni, oskarżony praktycznie pozbawiony jest zagwarantowanego mu przez art. 42 Konstytucji prawa do obrony. (...) Przepisy Konstytucji nie mogą być uchylane działaniem poczty, która zdoła, bądź nie, doręczyć pismo procesowe". Domagali się rewizji wyroku nakazowego na Kasprzaka i innych. Bezskutecznie.

Kiedy 8 września policja zabrała do więzienia Piotra Niemczyka, uczestnika tego samego protestu na Moście Poniatowskiego, te same osoby napisały kolejny protest. Tym razem RPO Sylwia Gregorczyk-Abram zareagowała natychmiastowym wniesieniem kasacji od wyroku nakazowego do Sądu Najwyższego. Ten zaś natychmiast wstrzymał wykonanie kary. To samo zrobił Sąd Rejonowy dla Warszawy-Śródmieścia, który wcześniej wymierzył Niemczykowi zastępczą karę 15 dni aresztu za niewykonaną pracę społeczną.

O co chodzi z tym nakazem

Postępowanie nakazowe miało przyspieszyć postępowania sądowe w drobnych sprawach. Dotyczące go przepisy są, w niemal identycznym brzmieniu, w Kodeksie postępowania w sprawach o wykroczenia (art. 93) i w Kodeksie postępowania karnego (art. 500). W trybie nakazowym sprawę można osądzić, tylko jeśli okoliczności sprawy i wina obwinionego/podejrzanego nie budzą wątpliwości.

Od wyroku nakazowego można się odwołać i wtedy sprawa sądzona jest w normalnym trybie. Jednak jeśli ktoś – z różnych życiowych powodów – nie odbierze wyroku przesłanego pocztą i nie wniesie zażalenia w ciągu 7 dni, traci możliwość odwołania. 20 lat temu przepisy o doręczeniach sądowych zmieniono tak, że jeśli dwukrotnie nie odbierze się awizowanego przez Pocztę Polską pisma z sądu, uznaje się je za doręczone. Czysta fikcja, ale jej celem było – znowu – przyspieszenie postępowań w sądach: żeby nie można było przewlekać sprawy, nie odbierając pism.

Jedną z pierwszych ofiar tej fikcji doręczeń była prof. Magdalena Środa, której TVP wytoczyła cywilną sprawę o naruszenie w 2007 r. dóbr osobistych programu „Misja specjalna" Anity Gargas (dziś „Gazeta Polska") za nazwanie go w telewizyjnej dyskusji „ubeckim programem". W 2010 r. prof. Środa dostała z TVP wezwanie do wykonania wyroku sądu o publikacji przeprosin i wpłaceniu nawiązki na cel charytatywny i zdziwiła się, bo nie wiedziała, że została pozwana. Okazało się, że w trakcie jej nieobecności przyszły do niej awiza, których nie odebrała, więc pisma z sądu zostały uznane za doręczone.

Piotr Niemczyk awiza nie odebrał, bo był w szpitalu ze skomplikowanym złamaniem nogi. Jego przypadek wyjątkowo jaskrawo pokazuje patologię stosowania przez sądy trybu nakazowego i przepisów o doręczeniach. Sąd uznał go za winnego blokowania jezdni – jak pozostałych obwinionych, chociaż jezdni nie blokował, tylko stał z transparentem na chodniku, co widać na filmach i zdjęciach dokumentujących protest. Skazał go – tak jak wszystkich pozostałych – na nieodpłatną pracę społeczną, mimo że w czasie kiedy wydawał wyrok, Niemczyk poruszał się na wózku i nie byłby w stanie jej wykonywać. Nie miał szansy skorzystać z możliwości odwołania się od wyroku, bo o nim nie wiedział. Wreszcie sąd wymierzył mu karę zastępczą 15 dni aresztu za niewykonane prace społeczne, mimo że zarówno policja, jak i wyznaczony mu kurator wiedzieli, że nie był w stanie zgłosić się do ich wykonywania.

Wszystko to było możliwe dlatego, że sąd postanowił poprzestać na policyjnej notatce i nie zgłębiać sprawy. Zgłębiać zaś nie musiał, bo wyroku nakazowego się nie uzasadnia. Taka sytuacja wręcz prowokuje patologie i nadużycia.

Czy sąd ma wybór?

Gdyby sąd zadośćuczynił przepisowi o postępowaniu nakazowym, powinien się zastanowić, czy w sprawie blokady Ostatniego Pokolenia zarówno okoliczności, jak i wina obwinionych nie budzą wątpliwości. A powinny były wzbudzić, skoro sprawa dotyczyła 26 osób. Nie powinien sądzić ich hurtem, ale zbadać, czy ich sytuacja rzeczywiście jest identyczna. W dodatku chodziło o społeczny protest, który od dłuższego czasu był publicznie dyskutowany zarówno co do formy, jak i postulatów protestujących. Poza tym policyjny wniosek mówił o „tamowaniu" ruchu, podczas gdy nie był on tamowany, ale ograniczany: w każdej akcji Ostatniego Pokolenia wyznaczeni byli aktywiści, którzy dbali o stworzenie możliwości przejazdu w nagłych przypadkach, o czym opinia publiczna była informowana. Wreszcie: nikt z obwinionych nie przyznał się do winy, a więc trudno uznać, że ich „wina nie budziła wątpliwości". Takie okoliczności powinny były wzbudzić w sędzim refleksję, czy sprawa kwalifikuje się do postępowania nakazowego. A jeśli miał wątpliwości – powinien ją rozpatrzyć w normalnym trybie.

Przykład dał w czasach rządów PiS sędzia Łukasz Biliński z Wydziału Karnego Sądu Rejonowego dla Warszawy-Śródmieścia. Często dostawał sprawy przeciwko opozycji ulicznej, ale nie rozpatrywał ich w trybie nakazowym, co oszczędziłoby mu mnóstwa pracy. Kierował je na rozprawę, wysłuchiwał obwinionych, ich obrońców, policjantów, świadków zdarzenia, ustalał jego status prawny. I tak np. ustalił w jednej ze spraw, że zarzut przeszkadzania przez Obywateli RP w zgromadzeniu publicznym, jakim miał być marsz w miesięcznicę smoleńską, jest nietrafny, bo marsz nie spełnia definicji zgromadzenia publicznego, skoro udział w nim jest zastrzeżony dla wybranych osób. W innej sprawie uznał, że protest nie może być ▶

Ile za karę

Wyroki nakazowe od lat stanowią średnio 80 proc. wszystkich rozstrzygnięć w sprawach o wykroczenia, a ukaraniem kończy się ponad 95 proc. z nich. W 2025 r. wyroki nakazowe wydano wobec 254, 61 tys. osób, ukarano 95,2 proc. z nich, uniewinniono 2,4 proc., umorzono 1,9 proc. spraw, a odstąpiono od wymierzenia kary w 0,6 proc. (źródło: analiza nomando.pl na podstawie sprawozdań Ministerstwa Sprawiedliwości).

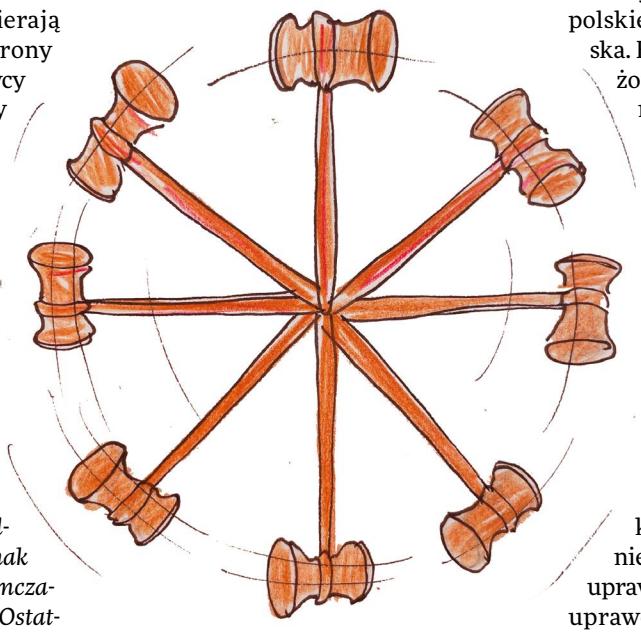
Według najnowszych danych więziennictwa udostępnionych POLITYCE zastępcze kary pozbawienia wolności odsiadują w tej chwili 8163 osoby (7192 to skazani za drobne przestępstwo, 971 – ukarani za wykroczenie). W 2025 r. utrzymanie jednego osadzonego kosztowało 83 159,77 zł (tylko niewielki procent z tego to wyżywienie więźniów, większość – płace personelu i wydatki na infrastrukturę więzienną). Jeśli przyjąć, że tyle rocznie wynosi pula miejsc, jakie więziennictwo przeznacza dla odbywających karę zastępczą, to kosztują oni rocznie podatników 679 mln 833 tys. 202 zł 51 gr. A w kolejce do odbycia kary zastępczej czekają teraz 15 483 osoby (418 ukaranych i 11 106 skazanych).

eprasa.pl b8c08e3ae2

▶ uznany za wykroczenie, bo wykroczenie to czyn społecznie szkodliwy, a obrona konstytucyjnej wolności zgromadzeń nie jest szkodliwa społecznie. Innym razem uniewinnił aktywistę obwinionego o wyświetlenie w grudniu 2017 r. na budynku Pałacu Prezydenckiego napisu: „Zdradza ojczyznę, kto łamie jej najwyższe prawo". Sędzia uznał, że „chwilowe zakłócenie estetyki budynku" nie może być ważniejsze od wolności wyrażania poglądów i nie jest szkodliwe społecznie.

Podobne było rozumowanie wielu sądów w całej Polsce, do których trafiły w 2018 r. sprawy przeciwko osobom obwinionym o „znieważenie pomników" poprzez zakładanie im koszulek z napisem „Konstytucja" (w jednej ze spraw policja uznała za „znieważony" Pomnik Misia Uszatka).

W działaniach Ostatniego Pokolenia, które sięgnęło po blokowanie jezdni, by zmusić władzę do przeciwdziałania katastrofie klimatycznej, opinia publiczna i sądy nie dopatrzyły się obrony art. 74 konstytucji („Władze publiczne prowadzą politykę zapewniającą bezpieczeństwo ekologiczne współczesnemu i przyszłym pokoleniom (...) wspierają działania obywateli na rzecz ochrony i poprawy stanu środowiska"). Politycy rządzącej koalicji nazywali blokady aktami terroryzmu, a poseł KO Roman Giertych chciał wpisać do Kodeksu karnego nowe przestępstwo blokowania drogi, karane pięcioma latami więzienia. Ta drastyczna różnica w traktowaniu blokad Obywateli RP z czasów rządów PiS i blokad Ostatniego Pokolenia była dla Pawła Kasprzaka dodatkową motywacją, by pójść siedzieć za udział w nich. – *W naszych [Obywateli RP] działaniach też było blokowanie i odmowa podporządkowania się poleceniom policji, a jednak ostatecznie nie ukarano nikogo. Tymczasem w sprawach wytaczanych teraz Ostatniemu Pokoleniu karani są wszyscy* – mówi.



Nie tylko protesty

W 2013 r. głośna była sprawa chorującego psychicznie i ubezwłasnowolnionego mężczyzny, który trafił do więzienia w ramach zastępczej kary za niezapłaconą grzywnę (100 zł) nałożoną na niego w trybie nakazowym za kradzież batonika w sklepie. Gdyby sąd miał okazję go wysłuchać, zorientowałby się, że nie był w stanie skorzystać ze swojego prawa do obrony, więc nie mógł być sądzony. Podobnie było z cierpiącą na demencję starszą kobietą, która nie zapłaciła za bułkę w sklepie. Gdy policja przyszła, by doprowadzić ją do więzienia, okazało się, że kobieta nie miała świadomości, że toczyła się wobec niej jakaś sprawa w sądzie. Podobnie bywa np. z pracownikami sezonowymi, którzy nie mają stałego miejsca pobytu, gdzie mogliby odbierać korespondencję.

Paweł Kasprzak poszedł na posiedzenie sądu, na którym miano zdecydować, czy zastosować wobec niego karę zastępczą za niewykonanie obowiązku prac społecznych: – *To był sąd w Mińsku Mazowieckim. Cała wokanda w tym dniu przeznaczona była na sprawy kar zastępczych. Przyszła jakaś jedna trzecia obwinionych. Pozostali zapewne nie wiedzieli, że zostali wezwani i po co. Rozmawiałem z tymi, którzy przyszli, i byłem przerażony: biedni ludzie kompletnie nieorientujący się w sytuacji prawnej, w której się znaleźli, część nie wiedziała nawet, o co byli obwinieni. Założę się, że gdyby zrobić badania, wobec kogo zapadają wyroki nakazowe, które kończą się karą zastępczą, okazałoby się, że nie ma tam lepiej sytuowanych i wykształconych ludzi. Tryb nakazowy to tryb dyskryminacyjny, który w dodatku nie leżał nigdy w pobliżu praworządności* – ocenia Paweł Kasprzak.

Były RPO i minister sprawiedliwości Adam Bodnar uważa, że sąd przed orzeczeniem kary zastępczej więzienia powinien mieć obowiązek usłyszeć argumenty podsądnego. Podobnie sądzi adwokat Baszuk. – *Trzeba sobie powiedzieć: nie pracuję w fabryce, jestem sędzią. Zanim wyjdę na to posiedzenie, to dokładnie przejrzę akta, zobaczę, w jakiej sytuacji jest ten człowiek, kim on jest. Potem spojrzę mu w oczy i powiem: wysyłam cię, człowieku, do więzienia. Przekonaj mnie, żebym tego nie robił.*

Sprawa postępowań i wyroków nakazowych interesowała RPO Adama Bodnara szczególnie. Złożył, z sukcesem, wiele kasacji, dzięki którym Sąd Najwyższy ukształtował linię orzeczniczą, w której akcentuje obowiązek wnikliwej analizy, czy można zastosować tryb nakazowy, bo okoliczności danej sprawy są jasne, wina oczywista. To odwrócenie obowiązującego paradygmatu, że tryb nakazowy jest trybem pierwszego wyboru.

Wśród kasacji RPO było m.in. wejście wbrew przepisom na teren wycinki w Puszczy Białowieskiej, którą to wycinkę Trybunał Sprawiedliwości UE uznał za uchybiającą zobowiązaniom państwa polskiego w sprawie ochrony środowiska. Było rzekome nękanie męża przez żonę esemesami, w których przypominała o alimentach i informowała o wydatkach na dzieci. Było łamanie zakazów poruszania się w pandemii, gdzie Sąd Najwyższy zgodził się z RPO, że ograniczenia pandemiczne z wiosny 2020 r. „rażąco naruszały prawo" przez to, że były nadmiarowe.

Była też sprawa kierowania bez prawa jazdy – sąd ukarał kierowcę w trybie nakazowym, mimo że policja nie uprzedziła go o przekroczeniu limitu punktów karnych, z czym wiąże się zawieszenie prawa jazdy, a decyzja o cofnięciu uprawnień do kierowania samochodem uprawomocniła się poprzez tzw. doręczenie zastępcze, czyli dwukrotnie nieodebrane awizo. Co z tym zrobić? Adam Bodnar jako RPO zabiegał, by możliwość rozpatrzenia w trybie nakazowym sprawy ograniczyć do przypadków, w których podsądny uznał swoją winę. – *Uważam, że jeżeli sędziowie sobie z czymś nie radzą, to należy to na nich wymusić* – zgadza się adwokat Radosław Baszuk. Ale do zmian wciąż daleko.

EWA SIEDLECKA

eprasa.pl b8c08e3ae2



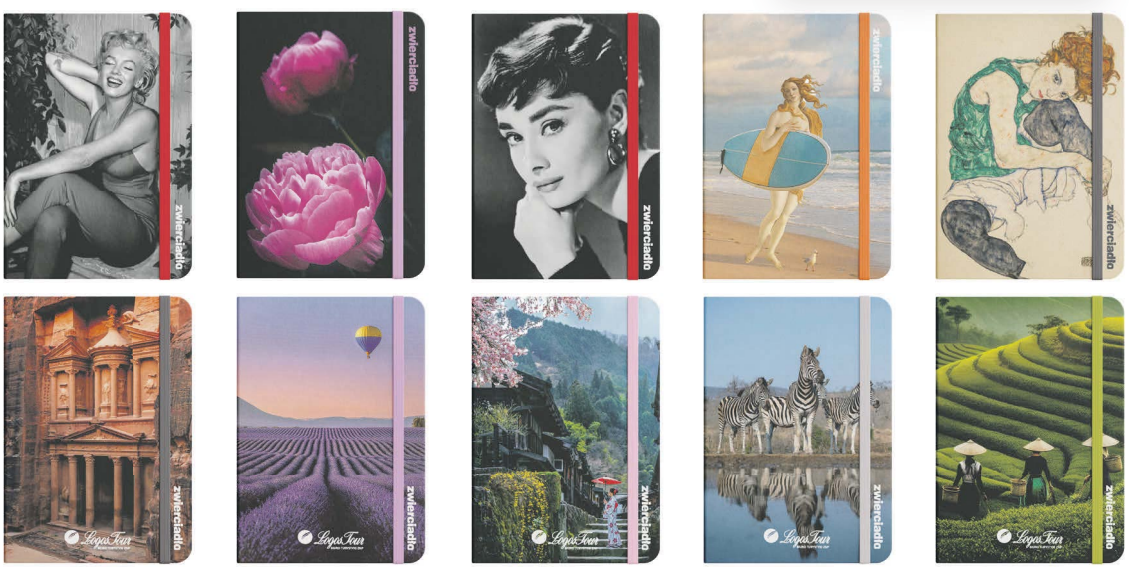


NOWE WYDANIE
JUŻ W SPRZEDAŻY

ZWIERCIADLO.PL



DOSTĘPNE TAKŻE
Z KALENDARZYKIEM **ZWIERCIADŁA NA 2027 ROK**
10 OKŁADEK DO WYBORU



RÓŻNE RODZAJE DODATKÓW ORAZ OKŁADEK DOSTĘPNE W WYBRANYCH PUNKTACH SPRZEDAŻY

MagazynZwierciadlo zwierciadlo_miesiecznik sklep.zwierciadlo.pl

eprasa.pl b8c08e3ae2

Dlaczego sąd skazał Łukasza Żaka na 20 lat więzienia, a Sebastianowi M. grozi najwyżej 8 lat, skoro pierwszy zabił na drodze jedną osobę, a drugi trzyosobową rodzinę?



Łukasz Żak ze swoją obrończynią Izabelą Ławińską podczas lipcowego procesu w Warszawie

20

Kara dwóch

ZBIGNIEW BOREK

Proces Sebastiana M. zbliża się do końca – na 7 października sąd zaplanował mowy końcowe, wkrótce potem zapadnie wyrok: maksymalnie 8 lat pozbawienia wolności. Czy polskie prawo inaczej wycenia ludzkie życie na Trasie Łazienkowskiej i na autostradzie A1? – pytają ci, którzy mają jeszcze w pamięci lipcowy wyrok 20 lat więzienia dla Łukasza Żaka. Na pierwszy rzut oka podobieństwa obu tych spraw są uderzające. Obaj kierowcy jechali tak, jakby pozostali uczestnicy ruchu byli tylko dekoracją. Zginęli przez to niewinni ludzie. Najłatwiej byłoby uznać, że prawo jest absurdalne, bo za spowodowanie śmierci jednej osoby można dostać znacznie wyższy wyrok niż za uśmiercenie trzech osób.

Ponad 300 km na godzinę

Wymiar sprawiedliwości to jednak nie matematyka, obie sprawy zaś równie wiele łączy, co dzieli. Na dodatek bez wyczynu Sebastiana M. najpewniej nie byłoby wysokiej kary dla Żaka. Bezgraniczny cynizm pana M. oburzył opinię publiczną i nie pozwolił sprawie przyschnąć. A to uruchomiło dynamikę polityczną, która przyczyniła się do zmiany przepisów w taki sposób, że sąd mógł wymierzyć Żakowi karę 20 lat. Kluczem dla wyjaśnienia tej zawiłości jest chronologia.

Jest 16 września 2023 r., tuż przed godz. 20 autostradą A1 znad morza do domu w powiatowym Myszkowie na Śląsku wracają 37-letnia Martyna, jej 40-letni mąż Patryk i ich synek, 5-letni Oliwier. Są w dobrych nastrojach. Chłopiec bawi się samochodzikami, mama siedzi z tyłu obok niego, chwilę wcześniej telefonowała do bliskich, że wkrótce będą w domu. W okolicach Sierosławia pod Piotrkowem Trybunalskim w Kię, którą jedzie rodzina, uderza BMW M850i 34-letniego Sebastiana M. Kia ląduje na balustradzie i staje w ogniu. Ci, którzy usiłują nieść pomoc, słyszą krzyki ofiar. BMW wyhamowuje dopiero 400 m dalej. Sebastian M., 34-letni biznesmen z Łodzi, telefonuje do ojca, też biznesmena, a potem przestawia telefon do ustawień fabrycznych, żeby zatrzeć ślady. Losem ofiar się nie interesuje. „Zachowywał się tak, jakby wjechał w kosz na śmieci" – powie naoczny świadek.

Niemal dokładnie rok później, 15 września 2024 r., po północy, Trasą Łazienkowską w Warszawie jedzie Ford Focus, a w nim rodzina z Grochowa: Ewelina i Rafał, oboje w wieku 37 lat, oraz ich 8-letnia córka i 4-letni synek. Dzień spędzili pod Radzyminem na urodzinach u krewnych. Przed powrotem do domu rodzice wykąpali dzieci i ubrali w piżamy, żeby jak usną w samochodzie, od razu przenieść je do łóżka. Mama usiadła za kółkiem, tata między dzieciakami z tyłu, by w razie czego je okryć albo podać im wodę. Ostatnim momentem, jaki pamięta ona, jest zjazd na Trasę Łazienkowską. Tam ich samochód został staranowany przez Volkswagena Arteona z 26-letnim Żakiem za kierownicą.

Ewelina obudziła się w karetce. „Krzyczałam i pytałam, co z moimi dziećmi i mężem" – mówiła w sądzie. Przeszła operację śledziony i wątroby, miała połamane żebra i uraz kręgosłupa. Ośmioletnia córka – liczne złamania kości twarzy, wyłamane zęby, pociętą skórę, czteroletni synek – stłuczenia serca i śledziony, przeszedł operację nogi. Wszyscy troje mieli wstrząśnienie mózgu. Rafał poniósł śmierć na miejscu. „Odje...łem typa" – tak według ustaleń prokuratury miał powiedzieć Żak znajomemu.

Co łączy obie sprawy oprócz tragedii ofiar i perfidii sprawców? Przede wszystkim prędkość: ofiary jechały zgodnie z przepisami, sprawcy gnali na złamanie karku. Na Trasie Łazienkowskiej Żak

eprasa.pl b8c08e3ae2



Sebastian M. przed Sądem Rejonowym w Piotrkowie Trybunalskim

8 prędkości

miał na liczniku 227 km/h – przy dopuszczalnej 80 km/h. W przypadku Sebastiana M. początkowe szacunki mówiły, że jechał „co najmniej 253 km/h" (limit autostradowy: 140 km/h). W trakcie procesu potwierdziły się ustalenia POLITYKI: biegli oszacowali prędkość tuż przed wypadkiem na 315 do 329 km/h. „To prędkość startującego samolotu" – zeznał Bogusław Śleziak. „Nie spotkałem się z takimi prędkościami na drodze. Myślę, że nikt w Polsce się nie spotkał" – wtórował Marek Długosz.

Zero refleksji

Prokuratura wskazała, że na zlecenie Sebastiana M. BMW zostało podrasowane: podniesiono maksymalną moc i moment obrotowy silnika, a także zniesiono fabryczny ogranicznik prędkości. „Parametry silnika pojazdu zostały zmienione względem fabrycznych parametrów wykazanych w świadectwie homologacji" – czytamy w akcie oskarżenia. To oznacza, że samochód nie powinien się poruszać po drogach publicznych – chyba że na lawecie. Jakim więc cudem wyjechał z warsztatu na własnych kołach? Odpowiedź odsłania szarą strefę, w której liczy się tylko jedna zasada: płacę i żądam. Zleceniodawca może opłacić każdą zachciankę, a zleceniobiorca ją zrealizuje bez mrugnięcia okiem i bez żadnej prawnej odpowiedzialności. I tak wypasiony już fabrycznie i piekielnie szybki samochód szosowy Sebastiana M. został przerobiony na pojazd wyścigowy, ale nikt go nie pytał, czy posiada licencję sportową Polskiego Związku Motorowego i gdzie zamierza się ścigać.

„To, że ściągamy tzw. ogranicznik prędkości, nie oznacza, że zezwalamy klientom na jazdę takimi prędkościami w miejscach do tego niedozwolonych" – bronili się pracownicy warsztatu w rozmowie z portalem brd.pl, ale wkrótce usunęli filmiki, na których chwalili, że Beemka Sebastiana M. „po modyfikacji wciska w fotel bez końca". Prokuratura zaś ustaliła, że gdy firmowy serwis przywrócił fabryczne ustawienia auta, Sebastian M. zmienił je ponownie. I jeszcze jedno: M. zamontował w samochodzie „w sposób trwały i zintegrowany z jego instalacją elektryczną" antyradar, który wykrywał i zakłócał pracę laserowych mierników prędkości stosowanych przez organy kontroli ruchu drogowego.

I tu dochodzimy do kolejnej cechy łączącej sprawców: poczucia wszechmocy i bezkarności. Jeden i drugi popisywał się przed kumplami, których wiózł w swoim samochodzie, a kiedy doszło do tragedii, obaj próbowali uniknąć konsekwencji i mogli liczyć na pomoc krewnych oraz znajomych. Koledzy Żaka usiłowali wrobić jego partnerkę, która została ranna w wypadku: utrudniali akcję ratunkową w nadziei, że dziewczyna umrze i przypiszą jej sprawstwo. Sam Żak uciekł do Niemiec, gdzie kilka dni później zgłosił się na policję z adwokatem. Przypadek Sebastiana M. jest bardziej skomplikowany: po wypadku legalnie wyjechał do Niemiec, a gdy już był poszukiwany przez organa ścigania, uciekł do Zjednoczonych Emiratów Arabskich. Tam się ukrywał, a potem zdobył tzw. złotą wizę, licząc, że utrudni to ekstradycję. Mało prawdopodobne, żeby udawało mu się to w pojedynkę, można więc założyć, że i jemu ktoś pomagał unikać sprawiedliwości.

Obaj ostatecznie zostali poddani ekstradycji, ale w ich postawie nic się nie zmieniło. Sebastian M. w trakcie procesu stwierdził, że jego ofiary nie zginęły wskutek wypadku, lecz pożaru. Winę zrzucał na kierowcę Kii, który nie mógł się już sam bronić: Patryk miał jechać za szybko, zajechać Sebastianowi M. drogę, zmieniając pas, a na dodatek poruszał się z jednym kołem tzw. dojazdowym. Na potwierdzenie obrona przedstawiła w sądzie ekspertyzę, ale zespół biegłych prokuratury rozniósł ją w puch, wykazując liczne błędy metodologiczne.

„Rozumiemy istotę prawa do obrony, jednak dobór stwierdzeń, oświadczeń i słów, jakie w naszą stronę kieruje pan Sebastian, łamie nam serca. Cierpimy, panie Sebastianie. Odebrał nam pan to, co w życiu najcenniejsze" – mówiła w sądzie matka Martyny, ▶

© FILIP NAUMIENKO/REPORTER, PAP/MARIAN ZUBRZYCKI

eprasa.pl b8c08e3ae2

▶ ofiary wypadku na A1. Żak i jego koledzy, którzy również zasiedli na ławie oskarżonych, podczas rozpraw żartowali, stroili miny, przybijali piątki. „Przychodzili [do sądu] jak na spotkanie towarzyskie" – skomentowała wdowa po 37-latku, który poniósł śmierć na Trasie Łazienkowskiej. Sędzia zaś postawę Żaka nazwał przejawem głębokiej demoralizacji: „Obserwowałem pana podczas procesu – zero refleksji" – mówił do oskarżonego.

Diabeł w szczegółach

W połowie lipca 2026 r. Sąd Rejonowy dla Warszawy-Śródmieścia skazał Żaka na 20 lat więzienia. „Tym wyrokiem chronię społeczeństwo" – powiedział sędzia Maciej Mitera. Nieprawomocny wyrok (obrona zapowiedziała apelację) głosi, że o zwolnienie warunkowe Żak może się ubiegać po 15 latach odsiadki, ma dożywotni zakaz prowadzenia pojazdów, musi zapłacić 900 tys. zł zadośćuczynienia rodzinie zmarłego, a poszkodowanej dziewczynie – 150 tys. zł. „Co trzeba mieć w głowie, żeby rozpędzić [Volkswagena] Arteona – to mały czołg – do 200 km/h? Wtedy nie ma szans na reakcję, nikt nie miałby szans z tym Arteonem" – mówił Mitera.

Internetowy komentariat zachwycał się „głęboko ludzkim" uzasadnieniem wyroku, a prok. Katarzyna Niemiec-Rudnicka z Prokuratury Rejonowej Warszawa-Śródmieście w rozmowie z reporterami podkreśliła, że to „pierwsza w historii kara w tak dużym wymiarze". Z porównywalną siłą nie przebiły się do opinii publicznej szczegóły dotyczące kwalifikacji prawnej czynu. To utrudnia zrozumienie, czemu M. grozi tylko 8 lat pozbawienia wolności, choć brawurą i wyrachowaniem dorównał Żakowi, a przewyższył skalą wywołanego dramatu – jeśli można go mierzyć liczbą ofiar.

Czym więc różnią się obaj sprawcy pod względem prawnym? Zacznijmy od wyjaśnienia, dlaczego podajemy pełne dane personalne jednego sprawcy, a przy drugim używamy inicjału. W przypadku Żaka na ujawnienie danych osobowych i wizerunku już na początku procesu zgodził się sąd z uwagi na ważny interes społeczny. W przypadku Sebastiana M. takiej zgody nie było. Funkcjonował w mediach pod nazwiskiem, gdy był poszukiwany przez prokuraturę listem gończym, a potem nazwisko zastąpił inicjał, bo prawo prasowe zabrania ujawniania danych i wizerunku domniemanych sprawców przed prawomocnym wyrokiem.

Kolejna różnica: Sebastian M. do tej pory nie był karany, a Żak odsiadywał wyroki za posiadanie narkotyków, jazdę samochodem pod wpływem alkoholu i wielokrotne łamanie sądowych zakazów prowadzenia pojazdów. Nic sobie z tego nie robił: zaledwie kilka miesięcy przed wypadkiem na Trasie Łazienkowskiej opuścił zakład karny, w którym odbywał wyrok za jazdę mimo obowiązującego zakazu sądowego. „Jest wiele osób o gorszych kartach karnych" – mówiła jego obrończyni mec. Izabela Ławińska. Według niej Żaka wystawiły i napiętnowały media, stał się „twarzą społecznego oburzenia i obiektem powszechnej nienawiści", a sąd uległ tym emocjom. Bogata kartoteka kryminalna to jednak nic innego jak okoliczność obciążająca jej klienta.

Kolejną okolicznością, która różni M. i Żaka, jest alkohol. Ten pierwszy był trzeźwy, co potwierdziło badanie po wypadku. Drugi nie został zbadany, bo uciekł za granicę. Prokuratura i powołany w śledztwie biegły toksykolog zrekonstruowali jednak przebieg feralnej nocy i wykazali, że pół godziny przed wypadkiem Żak pił z kolegami wódkę. Gdy taranował rodzinę na Trasie Łazienkowskiej, miał w organizmie niemniej niż 1,1 promila alkoholu.

Podstawą dla oskarżenia Żaka był art. 177 Kodeksu karnego. Mówi on, że jeżeli następstwem wypadku jest śmierć człowieka albo ciężki uszczerbek na zdrowiu, sprawca podlega karze od 6 miesięcy do 8 lat więzienia. Samo to przestępstwo w przypadku Żaka dawałoby więc taką samą górną granicę kary, jaka grozi Sebastianowi M. Ale w przypadku Żaka zadziałały też inne artykuły Kodeksu karnego: 178 (stan nietrzeźwości i ucieczka z miejsca zdarzenia), 244 (ignorowanie zakazów sądowych), 64 (recydywa) i 11 (tzw. jedność czynu: sąd skazuje za jedno przestępstwo na podstawie wszystkich zbiegających się przepisów). W języku prawnym należałoby zapisać, że Żak został skazany na mocy art. 177 § 1 i 2 k.k., w zw. z art. 178 § 1a pkt 2 k.k., w zw. z art. 244 k.k., w zw. z art. 11 § 2 k.k., w zw. z art. 64 § 1 k.k. Tylko że mało kto poza prawnikami by to rozumiał.

Najwyższy wymiar

Podkreślmy: Żak nie dostał 20 lat odsiadki dlatego, że zginął człowiek. Dostał je dlatego, że oprócz śmierci ofiary w jego sprawie złożyło się kilka elementów, a przede wszystkim zadziałał art. 178 § 1a pkt 2 k.k., który pozwala zaostrzyć karę za szczególne okoliczności nawet do 20 lat pozbawienia wolności. Dlaczego M. nie jest sądzony na tej samej podstawie? Po pierwsze (i najważniejsze) dlatego, że kiedy jechał jak szaleniec po A1, ten przepis nie obowiązywał. Został wprowadzony po serii tragicznych wypadków spowodowanych przez wyzutych z sumienia drani. W tym przez M. Prawo nie działa wstecz: odpowiedzialność Sebastiana M. ocenia się według przepisów obowiązujących w czasie jego czynu. To jedna z przyczyn, dla których zestawienie obu spraw jest mylące, jeśli ograniczyć je do prędkości i liczby ofiar: wypadek Żaka wydarzył się już pod rządami znacznie ostrzejszych przepisów. Ale i bez zmiany prawa pozostają fundamentalne różnice. Żak złamał sądowy zakaz prowadzenia, był pijany i uciekł z miejsca wypadku. Sebastianowi M. prokuratura nie mogła tego zarzucić.

Mogła za to postawić zarzut zabójstwa z zamiarem ewentualnym, za które grozi nawet dożywocie. Tego domagał się pełnomocnik bliskich ofiar wypadku, mec. Łukasz Kowalski. Jak nam mówił: – *M. zrobił sobie tor wyścigowy z autostrady. Jeżeli ktoś jedzie z taką prędkością, musi się liczyć z tym, że spowoduje śmiertelny wypadek*. Tyle że prawo karne stawia poprzeczkę wyżej: należy udowodnić nie tylko to, że kierowca przewidywał możliwość śmierci człowieka. – *Trzeba wykazać, że na taką możliwość się godził. Praktyka orzecznicza polskich sądów wskazuje, że to niezwykle trudne* – mówi POLITYCE prokurator Izabela Knapik z Prokuratury Okręgowej w Katowicach, która oskarża Sebastiana M. Po wrześniowej rozprawie zapowiedziała, że będzie się domagać „najwyższego wymiaru kary" z art. 177. Kwalifikację prawną mógłby zmienić sąd, ale musiałby uprzedzić strony, a sędzia Renata Folkman, która prowadzi proces w Piotrkowie Trybunalskim, tego nie zrobiła.

Cały proces pełen był zwrotów akcji: od mediacji, które okazały się zasłoną dymną obrony, poprzez obecność na jednej z ostatnich rozpraw nieuprawnionego prawnika (został wykluczony) w teamie Sebastiana M., aż po groźby śmierci, jakie rzekomo w celi miał otrzymywać oskarżony. Na finiszu o niespodzianki będzie trudniej. Jeśli sąd uzna winę M., zostanie on skazany na niewięcej niż 8 lat pobytu w zakładzie karnym. Trafi tam z aresztu, w którym przebywa od ekstradycji. Jeśli zaś uprawomocni się wyrok na Żaka, ten pójdzie siedzieć na 20 lat. I on nie został zabójcą w sensie prawnym, ale polski Kodeks karny już dziś pozwala surowo karać kierowcę, który umyślnie i rażąco łamie reguły bezpieczeństwa, prowadzi po pijanemu, powoduje po drodze śmierć i ucieka.

ZBIGNIEW BOREK

eprasa.pl b8c08e3ae2



ILUSTRACJA SYLWIA MARKETA

Studia rozpoznawcze

Rok akademicki rozpoczyna 400 tys. nowych studentów. Co trzeci studia porzuci. Mapa popularnych kierunków niby wygląda podobnie od dekad, ale zmieniło się podejście do samego studiowania.

JOANNA CIEŚLA

Pierwszym lądowiskiem Jacka była geologia poszukiwawcza. W liceum uczył się na profilu matematyczno-geograficznym. Siłą rozpędu wybierał się na ekonomię, ale zabrakło mu punktów. Na trop geologii jako planu B wpadł kolega z klasy. – *Poszliśmy razem, tylko że nie mieliśmy pojęcia, czego się po tych studiach spodziewać. A to naprawdę opcja dla freaków na punkcie minerałów i gleb. Po dwóch miesiącach rzuciliśmy obaj* – opowiada Jacek. W nim samym rozwijała się pasja do projektowania ubiorów, ale zawalony szkolnymi obowiązkami nie miał jak jej rozwijać. Gdy odszedł z geologii, zaczął pracę nad portfolio na ASP. W tej rekrutacji się nie dostał, za rok wystartuje znów. Obecnie zaczyna zarządzanie. Według Jacka podobne perturbacje przechodzi połowa jego znajomych. Czasy prostych wyborów i studiowania na jednym kierunku to już prehistoria.

Naukę na pierwszym roku studiów w ok. 350 uczelniach zaczyna właśnie mniej więcej 400 tys. osób. Dużo, bo tegoroczni maturzyści są liczniejsi niż ci z 2025 r. Jest ich ponad 280 tys. To młodzież kumulacyjna, którą częściowo objęła wygaszona później reforma wysyłająca do szkół sześciolatki. Do tej grupy dochodzi ok. 100 tys. starszych, startujących np. po przerwie od matury albo „pierwszoroczniaków z odzysku", po drop-oucie, czyli zakończeniu przygody z wybranym kierunkiem przed ukończeniem studiów. Dropoutuje się w Polsce ok. 30 proc. studentów. Z perspektywy systemu i szkół wyższych uznaje się to za alarmujący problem (bo faktycznie oznacza duże koszty finansowe i organizacyjne kłopoty). Ale wygląda na to, że pozostanie stałą częścią życia uczelni i studentów.

Prof. Agnieszka Dziedziczak-Foltyn, socjolog edukacji wyższej z Wydziału Ekonomiczno-Socjologicznego Uniwersytetu Łódzkiego, podkreśla, że młodzi ludzie próbują dziś wybierać kierunki studiów na podstawie licznych, a przy tym wciąż niepełnych danych, ograniczeni uwarunkowaniami, na które nie zawsze mają wpływ (np. pieniądze), w bardzo niepewnych czasach. – *Chyba każdy się zastanawia, czy będzie żył w sytuacji pokoju, czy nie. Co przyniesie rozwój technologii? Czy AI zabierze nam pracę?*

Profesorka sama jest pozytywnie zaskoczona optymizmem, jaki ujawniają młodzi w rozmaitych badaniach, i ich determinacją, by próbować planować kolejne lata. Na przykład w opublikowanym rok temu raporcie NASK „Aspiracje edukacyjne i zawodowe uczniów szkół średnich", na podstawie ankiet 17 tys. uczniów i uczennic ostatnich klas szkół ponadpodstawowych, aż trzy czwarte pytanych oceniło pozytywnie swoją przyszłość zawodową. 44 proc. badanych chciało po szkole kontynuować naukę i jednocześnie pracować. Po 20 proc. nastolatków chciało tylko pracować lub tylko się uczyć, najchętniej na uniwersytetach – Warszawskim, Jagiellońskim lub Wrocławskim.

Mapa trzyma kontur

Mapa studiów oglądana z lotu ptaka wydaje się przez dekady przekształcać powoli. Najtłumniej zaludnione obszary to, jak przed laty, biznes, administracja i prawo. Według danych GUS 22 proc. przyszłych licencjatów i magistrów w ubiegłym ▶

eprasa.pl b8c08e3ae2

▶ roku akademickim kształciło się właśnie w tych dziedzinach. Niecałe 15 proc. studiowało kierunki z grupy zdrowie i opieka społeczna, m.in. medycynę, pielęgniarstwo czy fizjoterapię. Prawie tyle samo uczyło się psychologii, socjologii, komunikacji czy kryminalistyki (grupa nauki społeczne, dziennikarstwo i informacja). Ponad 12 proc. było na studiach z budownictwa, automatyki, mechaniki i budowy maszyn (grupa technika, przemysł, budownictwo).

– *Młodych ludzi wciąż interesuje wszystko, co związane z sektorem IT, komputerami, sztuczną inteligencją* – relacjonuje prof.dr hab. Bogumiła Kaniewska, rektorka Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu oraz przewodnicząca Konferencji Rektorów Akademickich Szkół Polskich. – *Nieustannie popularne są filologie, choć tu obserwujemy przetasowania. Utrzymuje się zainteresowanie filologią angielską, ale maleje chęć studiowania filologii francuskiej czy germańskiej. Ich miejsce zajmuje iberystyka, a także kierunki dotyczące języków azjatyckich – koreańskiego i chińskiego.*

Stoi za tym szał na K-pop, ale też pragmatyzm. Osoby z koreańskim są rozchwytywane przez liczne firmy z Seulu działające w Europie. Z chińskim jest jeszcze ciekawiej. – *W ostatnich latach wiele młodych osób z Europy, także z Polski, wyjeżdża do Chin do pracy – np. w roli lektorów angielskiego albo trenerów sportowych. Tamtejszy ogromny rynek stwarza bardzo liczne możliwości zatrudnienia* – podkreśla prof. Kaniewska. Dodaje, że wciąż aktualne jest szukanie przede wszystkim takiego wykształcenia, które pozwoli zarobić. – *Ale jeszcze 10 lat temu młodzi myśleli o studiach pozwalających „dostać pracę". Dziś częściej mówią, że chcą założyć firmę, stworzyć start-up, rozwinąć własną działalność.* We wspomnianych badaniach NASK taki plan ujawniała ponad połowa pytanych. Przy tym nie zaginęła zupełnie idea, żeby studiować „z miłości", zwłaszcza kierunki mniej praktyczne, jak archeologia (w tym podwodna) czy historia sztuki, lub żeby eksplorować nisze, np. na inżynierskich studiach z zielarstwa i terapii roślinnych, zoofizjoterapii albo ichtiologii.

Utrapienie w koleinach

Zmieniają się też zasady i techniki poruszania się po akademicko-studenckiej mapie. Prof. dr hab. Marek Kuch, prorektor ds. studenckich i kształcenia Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego, obserwuje, że na tej uczelni mniej niż w przeszłości jest osób, które wybrały studia dlatego, że „rodzice kazali". – *Widać najwyraźniej na kierunkach lekarskim czy lekarsko-dentystycznym, że część studentów wybiera te studia ze względu na zainteresowanie lub wręcz pasję, a część zapewne z nadzieją na wysokie zarobki. Ale niemal wszyscy to ludzie, którzy wybrali studia świadomie – sami.*

Nikt z kilkunastu naszych rozmówców nie mówił, że rodzice mieli wpływ na wybór. Masowa strategia decyzyjna streszcza się w haśle „iść za ciosem". Tak było z Jackiem i geologią poszukiwawczą, jakoś tam logiczną po profilu mat-geo. Tomasz był na profilu humanistycznym i dobrze się uczył, więc poszedł na prawo. Na drugim roku dobrał do tego zaoczną psychologię, a potem zmienił prawo na dzienną pedagogikę specjalną. I uznaje, że teraz dopiero wycelował w dziesiątkę. Większość naszych rozmówców przeklina koleiny profili – ustalane w liceum zbyt wcześnie.

– *Moja mama była w latach 90. w klasie ogólnej z rozszerzonym angielskim i potem mogła zdawać na studia, jakie chciała. Ja musiałam wybrać profil w wieku 13 lat, bo poszłam do szkoły jako sześciolatka* – porównuje Eliza. – *Wybrałam human, ale zainteresowania ciągle mi się zmieniały. A takie kierunki jak fizyka albo matematyka przez ten mój profil od początku były dla mnie zamknięte.*

Jak długo działały gimnazja, decyzje o tym, co rozszerzać w liceach, podejmowała o rok–dwa lata starsza młodzież. Dziś – ocenia Eliza – nawet po maturze większość osób nie ma jasnych pomysłów, czego chce. Ona sama nie dziwi się tym, którzy składają aplikacje na 30 kierunków w obrębie jednego uniwersytetu, jak tegoroczni rekordziści na UW.

Oczywiście nie jest też tak, że nikt nic nie wie. Antonina, która zaczyna prawo i stosunki międzynarodowe, oraz Hanna, też startująca na prawie, wybierały studia precyzyjnie i z przekonaniem. Ale obie są działaczkami społecznymi. Od kilku lat współtworzą Akcję Uczniowską i to doświadczenie ukształtowało je w większym stopniu niż lekcje i matura. Nasuwa się wniosek, że dziś, aby wiedzieć, co studiować, trzeba pożyć. – *We wrześniu chodzę zwykle ze studentami po górach, żeby na spokojnie się poznać. I na przykład w tym roku rozmawiałem z młodą kobietą, która studiuje u nas zarządzanie, a równocześnie jest wybitną studentką Uniwersytetu Muzycznego Fryderyka Chopina w klasie harfy* – opowiada prof. Grzegorz Mazurek, rektor Akademii Leona Koźmińskiego. Ocenia, że to roztropne zestawienie, które otwiera szerokie możliwości pracy – i w roli muzyka rozumiejącego realia rozmaitych branż, i w roli menedżera znającego wyzwania życia artysty.

Wykładowcy mają jedną dość zaskakującą obserwację. Wielu ludzi zaczynających naukę na uczelniach nie bardzo ma pojęcie, czym są studia.



Wykład na drugą zmianę

Mapa studiów bardzo zmienia się też w szczegółach. Choćby wspomniane zarządzanie, od dekad kształcące tłumy (co wywołuje ironiczne pytania, skąd wziąć podwładnych dla setek tysięcy wyszkolonych w zarządzaniu). Rektor Mazurek podkreśla, że pod niezmienioną nazwą kryją się liczne inne treści i umiejętności niż przekazywane dekadę temu. – *Od dwóch lat każdy student zarządzania w Koźmińskim uczestniczy na początku studiów w pięciogodzinnych zajęciach warsztatowych wprowadzających do sztucznej inteligencji, w tym dużych modeli językowych, czyli LLM, oraz jej zastosowań w biznesie. Wcześniej takich zajęć nie było, choć kierunek nazywał się tak samo.*

Na kierunkach technicznych również przestawiają się zwrotnice. Co oczywiste, maleje zainteresowanie tradycyjnymi kierunkami związanymi np. z górnictwem. – *To efekt głębokich zmian rynku pracy i transformacji gospodarczej regionu. Większy nacisk kładziemy na inżynierię bezpieczeństwa, automatykę przemysłową, transformację energetyczną oraz technologie przyszłości. Dzięki temu nasi absolwenci znajdują zatrudnienie* – podkreśla prof.

eprasa.pl b8c08e3ae2

dr hab. Anna Chrobok, prorektor ds. studenckich PŚ. Studenci mogą wybrać specjalność z energetyki jądrowej na studiach inżynierskich, na magisterskich energetyka jądrowa to nawet oddzielny kierunek. Lecz przekonują się do niego powoli. Tak samo jak – co trochę dziwne – do nauki tzw. kompetencji zielonych. Na uczelni są kierunki „zielone technologie", „zrównoważona konsumpcja i produkcja" czy „rewitalizacja terenów poprzemysłowych", ale chętnych przyciągają dużo słabiej niż nauka narzędzi i umiejętności cyfrowych. Może dlatego, że dla ekspertów od zielonej transformacji praca będzie za chwilę, a dla speców od AI jest już. Pracuje co drugi student PŚ. Dlatego osobom z kierunków stacjonarnych uczelnia umożliwia naukę popołudniami i w weekendy, w formule podobnej do dawnych studiów wieczorowych.

Na medycynie również codzienność wygląda inaczej niż kiedyś, choć akurat naukę z pracą zarobkową tu łączy się rzadziej niż na innych uczelniach. – *Jest natomiast widoczne, jak bardzo przyspiesza tempo pracy. Studenci mają do opanowania więcej materiału niż 10–15 lat temu – więcej z poszczególnych przedmiotów, a przedmiotów też przybywa* – podkreśla prorektor Marek Kuch. Ma wrażenie, że osoby kształcące się na WUM są – mówiąc ogólnie – bardziej zdeterminowane i przekonane do nauki niż kiedyś ich starsi koledzy i koleżanki. – *Widzę także, że przy kolejnych katedrach i klinikach powstają coraz to nowe koła naukowe.* Młodzi chcą być dobrze wykształceni i uczą się dużo.

W którą stronę taniej?

Ponownie patrząc z lotu ptaka na realia większości kierunków, trudno uwierzyć, że jeszcze 20–30 lat temu oblany egzamin czy niezaliczony rok miewał rangę dramatu. Fakt, że rekrutacja stała się dziecinnie prosta, też sprzyja studiowaniu na próbę.

Stałym wyzwaniem studenckiego losu na przestrzeni dekad pozostają za to pieniądze. Według raportu Związku Banków Polskich i Warszawskiego Instytutu Bankowości „Portfel studenta 2026" średnie miesięczne wydatki na studiach wynoszą 4 tys. zł. Kto uczy się stacjonarnie, wydaje trochę mniej – 3,5 tys. zł, ale ma dużo bardziej ograniczone możliwości zarobku. A układanie planów pod pracujących – jak na Politechnice Śląskiej – wciąż jeszcze nie jest normą. Z opracowanego na zlecenie Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego raportu „Zjawisko drop-outu na polskich uczelniach" wynika, że 17 proc. studentów rozważało rezygnację albo zmianę formuły studiów z powodów finansowych.

Paulina zaczęła studia na polonistyce, ale rodzinny budżet się nie spinał i dochodów musiała szukać prędzej, niż sądziła.

Stałym wyzwaniem studenckiego losu od dziesięcioleci pozostają pieniądze. Koszt studiowania obliczono na 3,5–4 tys. zł miesięcznie.



– *Przy studiach dziennych realna jest praca tylko w gastronomii albo w Żabce, a ja załapałam się do agencji reklamowej, więc przeszłam na studia zaoczne.* Teraz w weekendy Paulina studiuje, a w tygodniu zarabia dużo więcej, niż musi dopłacić za czesne. Formalnie jej krok liczy się jako drop-out, choć nie rzuciła ani nie zmieniła kierunku kształcenia. Uważa natomiast, że rezygnacja z dziennych to najlepsze, co w życiu zrobiła.

Wykładowcy mają jeszcze jedną, dość zaskakującą obserwację. Wielu ludzi za czynających naukę na uczelniach nie bardzo ma pojęcie, czym są studia. Na przykład przytłacza ich tłum, nie rozumieją zasad organizacji zajęć. Część także z tego powodu ucieka na tzw. studia hybrydowe, gdzie większość nauki sprowadza się do odsłuchiwania nagrań przez internet. Część oczywiście ten wariant wybiera po prostu, żeby szybko dostać papier i się nie namęczyć. Część zapisuje się na studia wyłącznie po to, by zyskać status studenta, a kierunki i uczelnie zmienia, kierując się wyłącznie ceną. Na przykład na Społecznej Akademii Nauk można studiować już za 365 zł za miesiąc.

Tutor mógłby pomóc

Prorektor Anna Chrobok z Politechniki Śląskiej podkreśla, że wyzwania związane z decyzyjnością studentów nie omijają najlepszych uczelni globu. – *Odwiedzałam niedawno Uniwersytet w Helsinkach, który jest w światowej pierwszej setce. Mają średnio po ośmiu kandydatów na miejsce i drop-out na poziomie 30 proc. Finowie uznali, że skoro nie mają całkowitego wpływu na decyzje studentów, to jeszcze troskliwiej zajmą się każdym, kto po pierwszym roku zostanie na uczelni.* PŚ jednak stara się zatrzymać początkujących, plan zajęć też został przepracowany tak, żeby na początku nie było zbyt trudno.

Prof. Agnieszka Dziedziczak-Foltyn zwraca uwagę, że wiele pożytków przyniosłoby upowszechnienie tutoringu. Nauczanie w bezpośrednim kontakcie uczeń–mistrz wygląda jak remedium na wiele wyzwań. – *Od października obejmiemy opieką tutorską kilkuset uczniów szkół ponadpodstawowych. Będziemy z nimi pracować indywidualnie, realizować zadania, także uczyć ich języków, dzięki czemu te osoby nabiorą orientacji w tym, co się robi na studiach, oswoją się z nauczycielami akademickimi, sprawdzą, co im odpowiada, i będą mogły podjąć bardziej świadomą decyzję o dalszej nauce.* Jednak wszelkie próby szerszego wprowadzania podobnych modeli rozbijają się o ograniczenia finansowe. To też stały punkt na mapie studiów.

W przyszłym roku jako echo rozbitej na części reformy sześciolatków na uczelnie znów zgłosi się liczniejsza grupa kandydatów i liczniejsza na nich pozostanie. Potem zacznie się niż. Czytaj – kłopoty uczelni, bo nie dla wszystkich starczy studentów. Prof. dr hab. Bogumiła Kaniewska: – *Mamy dwa lata, żeby zastanowić się, co robić.*

Jednym z tropów jest przestawianie akcentów w uczelnianej dydaktyce na kształcenie dorosłych, w krótszych formach. I tak będą to wymuszać zmiany na rynku pracy. Już teraz część uczelni oferuje kilkudziesięciogodzinne szkolenia kończące się wydaniem certyfikatów konkretnych umiejętności jak „Analiza danych biznesowych w systemie Python" albo „Komunikacja kryzysowa". A co z utożsamianym z uniwersytetami i studiami poszerzaniem perspektyw, pogłębianiem rozumienia rzeczywistości, siebie i świata? Pewnie wciąż pozostanie w ofercie. Dla tych, którzy wiedzą, że tego właśnie chcą.

JOANNA CIEŚLA

eprasa.pl b8c08e3ae2



Oby z tego wyrosło dobro

Po tragedii w Jarosławiu z ambony padł apel o przebaczenie i niestosowanie zbiorowej odpowiedzialności, bo zbrodni dokonał konkretny człowiek, a nie naród ukraiński. Ale atmosfera w miasteczku jest gęsta. Przeszedł marsz milczenia, a narodowcy zapowiadają kolejny – już niemilczący.

KATARZYNA KACZOROWSKA

W Jarosławiu czuć jesień, choć słońce jeszcze grzeje. Zaraz po wyjściu z dworca kolejowego przyjezdnych wita kebab Mustafa. Sympatyczna nastolatka nie umie doradzić, jak dojść do opactwa benedyktyńskiego, gdzie dwa tygodnie temu zamordowano ks. Stanisława Zbojnowicza, a ks. Marek Pieńkowski został ciężko ranny. To szef Rady Fundacji Duszpasterskiej Troski o Rodzinę, która zajmuje się pomocą uchodźcom z Ukrainy. – *Ja tu tylko przyjeżdżam do szkoły* – mówi dziewczyna przepraszająco.

Drogę bez wahania wskazuje za to uśmiechnięta 70-latka w różowym sweterku. – *A skąd to, kochana, przyjechałaś?* – pyta. I zaczyna opowiadać, że co prawda w Jarosławiu nie mieszka, ale często tu zagląda, w opactwie nieraz się modliła, a ta tragedia to straszna rzecz, która od razu jej się z Wołyniem skojarzyła.

– *Kto to wie, co ten człowiek miał w głowie. Może chory, a może księży nienawidzi? No, ale my, Polacy, znamy historię i dużo złego się tu wydarzyło w czasie wojny* – mówi, żywo zainteresowana kimś, kto pierwszy raz jest w Jarosławiu. Ona też jeździła w święte miejsca. Jak choćby do Oławy, gdzie na działkach było słynne objawienie. Jeszcze za komuny.

W ciągu ulicznym przyjezdny co chwila mija jakąś tablicę na ścianie lub pomnik. Jest Pomnik Walk i Męczeństwa pamięci ofiar drugiej wojny światowej. Jakieś 200 m w dół ul. Słowackiego tablice na kamienicy z lat 30. ubiegłego wieku przypominają, że w czasie okupacji była tu siedziba gestapo, a w piwnicach nazistowska katownia. Na skrzyżowaniu trzeba skręcić w Grunwaldzką. I iść w kierunku rynku. Kilkanaście metrów przed Kościołem św. Ducha uwagę przykuwa figura ze złotą koroną – stoi tu od 1999 r., postawiona przez społeczność miasta i powiatu w hołdzie Chrystusowi Królowi „dla upamiętnienia intronizacji" oraz „zawierzenia Jarosławia i okolic jego boskiemu sercu w dniu 31 maja 1998 roku".

Nekrolog ks. Stanisława Zbojnowicza jest jednym z czterech, które wiszą na tablicy na wprost wejścia do niewielkiej barokowej świątyni, niegdyś szpitalnej kaplicy. Na trasie do opactwa będzie tych nekrologów jeszcze kilka. Z niewielkiej kartki z czarną obwódką przechodzień dowie się, że zamordowany 24 września ksiądz był kapłanem archidiecezji przemyskiej, pełnił posługę kapłańską w Woli Zarczyckiej, Rogach, Domostawie, Rzeszowie – parafii pw. Podwyższenia Krzyża Świętego, Przeworsku Farze i Wojewódzkim Szpitalu w Krośnie.

U Św. Ducha modli się kilka kobiet. Starszy ksiądz skończył spowiedź. Porozmawiać porozmawia, ale bez nazwiska. – *Każda śmierć budzi lęk. I zostawia nas z pytaniami, na które nie znamy odpowiedzi. Ale może ta tragedia stała się po coś? Może śmierć ks. Stanisława ma nam pokazać, że za dużo między nami nienawiści? Że za dużo hejtu na Kościół i księży? Że coś złego dzieje się z tymi dwoma narodami, które żyją obok siebie?* – zastanawia się. – *Jan Paweł II po zamordowaniu ks. Jerzego powiedział: „Oby z tej śmierci wyrosło dobro". Proszę przeczytać homilię ks. Adriana. Tam jest wszystko to, co ważne.*

© PAP/PIOTR POLAK

eprasa.pl b8c08e3ae2

Tę homilię 27 września wygłosił w kościele w opactwie benedyktyńskim ks. Adrian Mantykiewicz. „Nie będę ukrywał, że dla mnie to kazanie jest trudne. Nie będę ukrywał, że ten czas, który ostatnio przeżywamy w sposób szczególny, dla mnie jest ciężki. Ale wiem jedno, że jestem uczniem Jezusa Chrystusa. Jestem uczniem mojego Mistrza, jestem uczniem mojego Pana. A Chrystus uczy mnie miłości. Miłości, która dała się ukrzyżować. Miłości, która oddała życie za swoich nieprzyjaciół".

Opactwo leży na skarpie. Jest cicho, zielono, sielsko. O tragicznych zajściach przypomina czarna wstążka na biało-czerwonej fladze wiszącej nad wejściem do klasztoru benedyktynek. Po drugiej stronie placu jest kościół, Ośrodek Kultury i Formacji Chrześcijańskiej z Domem Pielgrzyma i Kawiarenką Benedyktyńską, otwieraną wtedy, kiedy dom wypełniają goście. Żeby wejść do środka, trzeba nacisnąć dzwonek. Ks. Adrian rozmawiać nie będzie: – *Wszystko, co miałem powiedzieć, powiedziałem w kazaniu.*

Katia z Dnipro, która do Jarosławia przyjechała krótko po wybuchu wojny w Ukrainie, wciąż nie może uwierzyć w to, co się wydarzyło w tamten czwartek, kiedy Ihor M. wszedł do kuchni. Podobno chciał się napić wody. Ks. Adrian poprosił go, żeby wyszedł z pomieszczenia, w którym mogą przebywać tylko osoby, które tam pracują. 31-latek wpadł w szał. Złapał jakieś naczynie, uderzył księdza w głowę. I chwycił nóż. Zaatakował ks. Stanisława, który trzymał w ręku klucz do tabernakulum. I ks. Marka, który atak przeżył, ale w ciężkim stanie jest w szpitalu.

Ihor M. jechał z Niemiec do Ukrainy, ale na przejściu w Korczowej zatrzymano jego auto, bo nie miał wykupionego OC. Samochód przewieziono na lawecie do Jarosławia, a Ihora M. do miasta podrzucił jakiś kierowca.

– *Podobno powiedział mu, że w klasztorze są Ukraińcy, bo tu uchodźców przyjmowano* – mówi Katia, która wiadomości sprawdza codziennie, choć nie wie, ile w nich prawdy, a ile kłamstw. Gdzieś wyczytała, że Ihor M., zanim zaatakował w kościele, zerwał siostrze zakonnej krzyżyk z szyi. A pierwszego dnia w jednej z telewizji tragedię komentował starszy mężczyzna, którego nigdy w opactwie nie widziała. I powtarzał, że Ukraińcy teraz zrobią Polakom drugi Wołyń.

– *Jaki Wołyń? Ja nic o Wołyniu nie słyszałam, dopiero ks. Marek mi wszystko wytłumaczył, jak już zaczęłam tu jakoś żyć* – Katia przyznaje, że woli mówić po polsku, bo z ukraińskim u niej słabo. Pochodzi z rosyjskojęzycznej części Ukrainy.

Najpierw uciekła do Warszawy. A stamtąd dotarła do Jarosławia, do opactwa. Po polsku nie znała ani słowa. Ale księża w opactwie opiekowali się wszystkimi. Ona, żeby nie zwariować, zaczęła pomagać w kuchni. Bo jak człowiek ma zajęcie, to nie myśli o tym, co się dzieje wokół. Aż ks. Marek zapytał, czy by została. Pracę jej da. Więc została. Katia co chwila mruga szklącymi się oczami, jakby wciąż nie wierząc w to, co się zdarzyło. – *Przecież my tu jesteśmy jak rodzina. Każdy miał tu coś do zrobienia. A od tego czwartku, jak się spotykamy, to każdy każdego pyta, jak się czuje. Bo przecież dom musi działać, istnieć, żyć. Dla nas wszystkich.*

Od blisko dwóch tygodni Katia nie posyła syna do szkoły. Sama też nie wychodzi poza mury opactwa. Nie wie, jak zachowają się ludzie, których spotka na ulicy. Kiedy przyjechała rodzina ks. Marka, któremu zawdzięcza pracę i dom, powiedziała jego siostrze, że jak ją do niego wpuszczą na salę, to niech mu powie, żeby wracał, bo tu wszyscy na niego czekają. Kto to widział tyle czasu leżeć w łóżku? Obie zaczęły się wtedy śmiać, ale po chwili uśmiech znika z twarzy Katii: – *Wojna, od której uciekłam, i ta śmierć, którą tutaj zobaczyłam, te tragedie dwie pokazują, że nikt z nas nie wie, ile mu czasu zostało. A jak nie wie, to niech nie marnuje życia na zło.*

W czasie swojej pierwszej mszy po dramatycznych zajściach w opactwie ks. Adrian mówił: „Kiedy wybuchła wojna w Ukrainie, to wy dobrze pamiętacie, co się w naszym opactwie działo. Że byliśmy otwarci na ludzi, którzy tutaj przychodzili. Ludzi, którzy potrzebowali pomocy, wsparcia, troski, miłości, czasami po prostu ludzkiej, zwykłej życzliwości. I dobrze wiecie, że tutaj nikt nie pozostał bez pomocy. Pracowaliśmy ze wszystkich sił, często nawet nocami, nie śpiąc po wiele godzin. Dlatego proszę was, aby ta nasza praca, nasz wysiłek i nasz trud nie poszły na marne".

I zaapelował o modlitwę za zamordowanego ks. Stanisława, walczącego o powrót do zdrowia ks. Marka i za Ihora M. „Jemu ta modlitwa jest najbardziej potrzebna. Bo nieważne, co się wydarzyło. Zło, które się wydarzyło tutaj, w naszym opactwie, my musimy przezwyciężyć dobrem, miłością i przebaczeniem". Powiedział też, by nie winić narodu, „z którego był oprawca, bo zła dokonał konkretny człowiek, zła dokonała konkretna osoba, która ma swoje imię, swoje życie, która odpowiada za swoje czyny".

Z opactwa do rynku jest kilka minut. Można przysiąść na chwilę w słońcu na ławce, poczuć zapach świeżego chleba z piekarni, gdzie uśmiechnięta dziewczyna poleca cebulaki, lokalny przysmak. W kawiarni na rynku pięć starszych pań prowadzi ożywioną dyskusję. O ciastkach do kawy, kolorze guzików do żakietu, pogodzie. Spotykają się tu codziennie, by – jak mówią – zabić czas.

– *Nic nie wiedziałam. Córka zadzwoniła do mnie z Ameryki i pyta: „Mamo, co tam się u was za tragedia stała?"* – mówi jedna z pań. I opowiada, że ks. Stanisław to sad miał. Jeździł pielęgnować stare drzewa, a owoce rozdawał ludziom.

– *I tak Jarosław stał się znany w świecie* – kręci głową kolejna.

– *A po córce to siostra zadzwoniła z Kanady. Ona jest za PiS, ale mówi, że to wszystko przez Morawieckiego, bo tylu czarnych do Polski wpuścił.*

– *Błagam cię, tylko nie polityka* – odzywa się inna zdecydowanym głosem. I od razu dodaje, że w mieście po tym zabójstwie był marsz milczenia, ale ona na niego nie poszła. Po zmroku z domu nie wychodzi.

Marsz zorganizowali narodowcy. Dołączyli do nich mieszkańcy. I rzeczywiście szedł w milczeniu. Teraz narodowcy szykują w mieście kolejny – 10 października. Tym razem już niemilczący. Ma to być manifestacja krzyku i postulatów o „odpowiedzialną politykę migracyjną", jak zapowiedział lider Konfederacji Ruchu Narodowego na południu Podkarpacia Marcin Kowalski, który w jednej ze swoich medialnych wypowiedzi tak skomentował homilię ks. Adriana nawołującą do przebaczenia: „To typowa postawa dla duchownego. Nie mamy takich tradycji, jak nasi sąsiedzi zza wschodniej granicy, gdzie księża greckokatoliccy błogosławili widły, które później służyły do mordowania Polaków".

Ihor M. przebywa na więziennym oddziale psychiatrycznym w stanie ostrej psychozy. Po tygodniu odosobnienia prokuratura zleciła jego ponowne badanie, by biegli ocenili, czy może już uczestniczyć w postępowaniu. ■

eprasa.pl b8c08e3ae2

Rekordowej kwoty, ponad 22 mln zł zadośćuczynienia, domaga się Robert Janczewski – skazany na dożywocie za zabójstwo w głośnej sprawie „skóry”, a po latach uniewinniony. Prokurator, który go oskarżał, domaga się od ministra podważenia tego wyroku. Chodzi o pieniądze czy o sprawiedliwość?

Sprawa bez końca

VIOLETTA KRASNOWSKA



Obrońca Roberta Janczewskiego, adwokat dr Łukasz Chojniak, mówi, że to nieludzkie, by mimo wyroków uniewinniających – sądu apelacyjnego, który później podtrzymał Sąd Najwyższy – prokuratura nadal badała związek jego klienta z zabójstwem 23-letniej Katarzyny Zowady, której ciało zostało obdarte ze skóry i poćwiartowane, a następnie wrzucone do Wisły.

Prokuratorowi Piotrowi Krupińskiemu, który oskarżał Janczewskiego, zarzuca zatracenie granic w uporczywym dążeniu do osiągnięcia celu, by bez względu na fakty za wszelką cenę go skazać. – Przez ćwierć wieku prokuratura i policja koncentrowały się na Robercie, szukały dowodów na jego winę, choć nie było nic. To jest gnębienie człowieka, bo Robert ma prawo do spokoju. Koniec, proces się skończył – mówi Chojniak.

Ale nie dla prokuratora Krupińskiego. Po odrzuconej przez Sąd Najwyższy kasacji od wyroku uniewinniającego teraz chce, by Waldemar Żurek jako prokurator generalny złożył skargę nadzwyczajną w tej sprawie. To nadzwyczajny i ostateczny w tej sytuacji środek zaskarżenia pozwalający wzruszyć prawomocne wyroki. Tyle że nie dość, że wprowadzony przez Zbigniewa Ziobrę, to jeszcze rozpatrywany przez utworzoną przez niego i nieuznawaną przez TSUE i ministra Żurka Izbę Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych. Ale procedura ruszyła.

eprasa.pl b8c08e3ae2

Jak tłumaczy prokurator Andrzej Janecki, dyrektor Departamentu Postępowań Sądowych Prokuratury Krajowej, Krupiński po odrzuceniu jego kasacji napisał notatkę służbową, że nie zgadza się z Sądem Najwyższym i w jego ocenie są podstawy do złożenia skargi nadzwyczajnej i wnosi o zbadanie takiej możliwości. Janecki zgodził się, żeby, jak mówi, wyczerpać wszystkie środki, wszystko do końca wyjaśnić. Tyle że sprawę ma teraz zbadać inny już prokurator. W ten sposób wymiar sprawiedliwości chce obronić się przed zarzutami, że duet śledczych – prokurator Piotr Krupiński i policjant Bogdan Michalec – to ludzie „zafiksowani" na winie Roberta Janczewskiego.

Warto przypomnieć, jak 61-letni dziś Robert Janczewski, chory na schizofrenię rencista, znalazł się w ogóle w kręgu podejrzeń – z donosu.

Bukiet winnych róż

Śledztwo zaczęło się 6 stycznia 1999 r., wtedy załoga pchacza „Łoś" wyłowiła z Wisły na wysokości Krakowa wielki płat ludzkiej skóry – z klatką piersiową, plecami, częściami intymnymi, małżowiną uszną – który okręcił się wokół śruby napędowej. W wyniku badań genetycznych ustalono, że to ciało zaginionej prawie dwa miesiące wcześniej 23-letniej Katarzyny Zowady – zamkniętej w sobie studentki religioznawstwa UJ. 12 listopada 1998 r. wyszła z domu, mówiąc mamie (ojciec nie żył), że idzie na uczelnię. Ale tam nie poszła. Okazało się później, że już od dłuższego czasu nie chodziła na uczelnię. A gdzie, nie ustalono. Tego dnia była umówiona z mamą na godz. 18, ale nie przyszła na spotkanie, jej telefon milczał, nie wróciła do domu. Mama od razu zgłosiła zaginięcie córki. Sama szukała jej też przez detektywa, ale bez rezultatu.

Kiedy krakowska policja bezskutecznie szukała zabójcy 23-letniej Katarzyny Zowady, ktoś zadzwonił na komisariat. Rozmówca powiedział, że sprawcą może być jego znajomy Robert Janczewski, bo znęca się nad zwierzętami i nienawidzi kobiet. Tak to się zaczęło.

Policjant Bogdan Michalec pamiętał doskonale, kiedy pojechał do niego pierwszy raz. Był to 21 marca 2000 r. „Nie było decyzji procesowej o zatrzymaniu Roberta Janczewskiego jako podejrzanego. Został on poproszony o natychmiastowe stawienie się w Wydziale Dochodzeniowo-Śledczym KWP" – zeznał później. Tam, jak mówił, „przeprowadziłem z nim rozmowę na okoliczność przedmiotowej sprawy. W toku tej rozmowy Robert Janczewski zaprzeczył, że ma jakikolwiek związek z tą sprawą, ale jednocześnie wskazał pewne informacje, które mnie zainteresowały". Powiedział, że prowadzi zapiski, i przekazał mu je. Policjant nazywał to „spowiedzią życia". Zeznał: „Z tego co przypominam sobie, to w tej spowiedzi było szereg różnych ciekawych wypowiedzi, ale moją uwagę w kontekście tej sprawy przykuły takie sformułowania jak: »seks kabiny«, pięć kobiet, obnażanie się nad Wisłą, »pogódź się z kimś kto leży u Edwarda na stole«, a także słabo czytelny zapis który zwrócił moją szczególną uwagę, a który odczytałem jako »wór skórny«".

To za mało na aresztowanie. Ale jak mówił policjant: „czynności były kontynuowane, bo Janczewski przychodził z własnej inicjatywy, bez wzywania. Mówił, że przez to przeszukanie myśmy mu tę sprawę »wdrukowali« do głowy i on nie może się od niej uwolnić". Jedna z takich wizyt zdecydowała o jego dalszym losie.

Michalec pamięta ją doskonale. Tak zeznał przed prokuratorem Krupińskim: „Szczególnie jedna nie zapowiedziana wizyta przykuła moją uwagę ponieważ przyniósł on olbrzymi bukiet kwiatów oraz książki o charakterze religijnym i chyba różaniec prosząc, żeby przekazał je matce Katarzyny Zowady". Policjant od razu zaznaczył, że nie nakłaniał go do tego gestu, choć Janczewski tak to przedstawiał. „Mówił, że ja go namówiłem, ale to, by wyeliminować mnie" – tłumaczył. Ale to ten bukiet właśnie, jak wynika z zeznań Michalca, przekonał go, że Robert Janczewski jest zabójcą. Zeznał: „Ponieważ wówczas wiedziałem jakie są dochody Roberta Janczewskiego i oceniając, że tak duży bukiet kwiatów musiał go znacznie kosztować, przy jego skromnej rencie nabrałem dalszego przekonania, że ma on bezpośredni związek ze sprawą zabójstwa Katarzyny Zowady, a kwiaty przekazał w ramach ekspiacji, to jest, zadośćuczynienia matce pokrzywdzonej". Tu wspomniał o swojej teorii o „śladach na duszy". Polega m.in. na tym, że czyn objawia się choćby poprzez zachowanie. Według policjanta ten bukiet dla matki ofiary to taki „ślad". Jak mówił: „wyraźny dowód behawioralny, który zmaterializował się poprzez zadanie sobie trudu, wydania dużej kwoty finansowej, wyboru rodzaju kwiatów i przeproszenia matki za pośrednictwem Policji".

Najbardziej podejrzane stało się dla policjanta to, że przy niskich dochodach jednak wykosztował się na bukiet. „Nie uważam tego za rycerski gest wobec matki, ponieważ gdyby miał to być rycerski gest wystarczyłaby jedna róża, a nie stosunkowo drogi bukiet. Jednoznacznie uznałem, że Robert Janczewski jest ściśle związany ze sprawą zabójstwa Katarzyny Zowady" – zeznał. Teoria „śladów na duszy" opierała się, jak tłumaczył Michalec, na teorii względności Einsteina i Biblii (przypowieść o wdowim groszu). Wspomniał też, że gdy w komendzie pokazali Janczewskiemu nagranie z matką ofiary, to ukląkł przed telewizorem i przez szkło całował jej dłonie.

Policjant powiedział na koniec: „Pamiętam, że po umorzeniu śledztwa powiedziałem mu, że może oszukać prokuratora, ale mnie nie oszuka, bo ja wiem, że to on jest zabójcą". Sędzia Domański powie później w ustnym uzasadnieniu uniewinnienia, że właśnie przez to, że sprawa była prowadzona przez człowieka wyznającego takie teorie, to tym bardziej należało podchodzić ostrożnie do materiałów śledztwa.

Zbieranie dowodów

Śledztwo umorzono po roku, bo typowani sprawcy byli jeden po drugim wykluczani. Ale odżyło, gdy szefem wydziału zamiejscowego Prokuratury Krajowej w Krakowie został Piotr Krupiński. Za swoją determinację i zaciekłość stał się ulubieńcem Zbigniewa Ziobry. Za nową okoliczność, co jest niezbędne do wznowienia, wystarczyło to, że ojciec Janczewskiego zeznawał, że nie dysponuje działką w okolicach Krakowa, tymczasem ustalono, że miał klucze do domku znajomego. Jak zeznał Bogdan Michalec, który w międzyczasie awansował na szefa krakowskiego Archiwum X i z Krupińskim stanowili w tej sprawie duet: „Ponieważ kłamstwo jest najczęstszym śladem na duszy spotykanym w procesie wykrywczym, postanowiliśmy zweryfikować tę działkę".

Na działce nie znaleziono żadnych śladów, które można by połączyć z zabójstwem. Ale w październiku 2017 r. z udziałem antyterrorystów i w obecności kamer zatrzymano Janczewskiego. Choć, jak zaznacza adwokat dr Chojniak, wszystkie „dowody", które potem stały się trzonem oskarżenia, zgromadzono, gdy on już siedział w areszcie. Wtedy rozkuto mieszkanie, które zajmował z matką. Pod wanną znaleziono fragment włosa, ▶

© PRZEMYSŁAW GLUMA/SUPER EXPRESS/EAST NEWS

eprasa.pl b8c08e3ae2

▶ na płytce PCV mikroślad o podobnym składzie chemicznym, jaki miał zegarek, który nosiła na ręce ofiara. Pod wersalką kilka granulek styropianu, jak znalezione na wyłowionej z Wisły skórze. Znaleziono też świadków, którzy anonimowo złożyli zeznania, że widzieli go z późniejszą ofiarą. W areszcie Janczewski był traktowany jako więzień niebezpieczny, przez trzy lata Krupiński nie zgadzał się, by odwiedzili go rodzice. – *Na jego polecenie poddawany był uwłaczającym i – jak stwierdził Lew-Starowicz – bezsensowym po takich latach od zbrodni eksperymentom. Według wyroków Europejskiego Trybunału Praw Człowieka można to uznać za nieludzkie traktowanie. Zabroniono mu się też strzyc i golić, by w razie potrzeby był materiał porównawczy do badań* – wylicza adwokat Chojniak.



© KWP W KRAKOWIE

Katarzyna Zowada, fotografia tuż sprzed zaginięcia

Poddawano go badaniom, zlecano jego profilowanie pod kątem sprawcy. Choć przecież profilowanie robi się, mówi mec. Chojniak, by ustalić, kim może być sprawca, a nie czy Robert Janczewski do tego obrazu pasuje. Chojniak pisał do przełożonych o zmianę prokuratora. Beata Marczak, której podlegał Krupiński, dziś zastępca Prokuratora Generalnego, odpisała, że to bardzo dobry śledczy.

Tajny proces

Na początku procesu, który ruszył 12 lutego 2020 r., mama Katarzyny Zowady mówiła: „21 lat czekałam na ten dzień i cieszę się, że ten proces wreszcie ruszył". Ale od razu dodała: „Nie wiem, czy na ławie oskarżonych siedzi właściwa osoba. Ten proces nie przyniesie mi ulgi. Mam nadzieję, że przyniesie odpowiedź, kto to zrobił".

Przewodnicząca składu Sądu Okręgowego w Krakowie sędzia Beata Marczewska na wniosek Krupińskiego, który powołał się na ważny interes państwa, utajniła proces. Pozwoliła jedynie, by w obecności kamer prokurator odczytał zarzut zabójstwa opisujący detalicznie, jak Katarzyna Zowada miała być pozbawiona życia. – *Tylko po to, żeby podkręcić atmosferę grozy, bo w tych aktach nie ma nic bardziej ostrego i dramatycznego niż opis zarzutu, który skonstruował prokurator. Taki był chyba zamysł, żeby w opinii publicznej utrwalił się wizerunek Roberta bestii* – mówi mec. Chojniak. Dodaje: – *Wywalczyliśmy wtedy tyle, żeby Robert mógł jeszcze powiedzieć publicznie, przy kamerach, że się nie przyznaje. Na nic więcej sąd pierwszej instancji się nie zgadzał.*

Wyłączona jawność procesu uniemożliwiła publiczną dyskusję o dowodach. Na koniec usłyszeliśmy tylko wyrok – winny, i kara – dożywocie. Co działo się za zamkniętymi drzwiami, odsłonił dopiero sąd apelacyjny, który badał, czy właściwie zostały ocenione dowody w tamtym procesie. „Nie do zaakceptowania" sąd nazwał to, że w uzasadnieniu wyroku praktycznie przepisano akt oskarżenia. „Nie tylko słowo w słowo, ale również, bez zmiany choćby miejsca pogrubienia tekstu – obszernych, przedstawionych tam również opisów »ustaleń faktów« poczynionych przez prokuratora dla potrzeby uzasadnienia zawartego w akcie oskarżenia zarzutu". A do tego, pisał, te „ustalenia faktyczne" prokuratora bazują wyłącznie na jego przypuszczeniach i domysłach i nie mają oparcia w żadnym z przeprowadzonych w sprawie dowodów". – *Sąd pierwszej instancji w uzasadnieniu wyroku napisał na przykład, że Robert chciał zabić jakąś inną kobietę, ale ona wyjechała z Polski, dlatego tylko cudem uniknęła śmierci. Jakieś wymysły. Że w Krakowie plotkowano, że Robert jest zabójcą, albo że jego ojciec napisał wiersz i sąd okręgowy z tego wiersza widzi, że ojciec przewidział zabójstwo. Sąd pod przewodnictwem sędzi Marczewskiej skazał niewinnego człowieka. Mimo że w aktach nie było cienia wiarygodnego dowodu* – podsumowuje mecenas Łukasz Chojniak.

Jakie były dowody, pokazał na koniec sąd apelacyjny, gdy już jawnie postanowił przesłuchać świadków anonimowych. Z protokołu ich zeznań wynikało, że widziały Janczewskiego z ofiarą na klatce schodowej idących do jego mieszkania. Po przesłuchaniu sąd uznał ich zeznania za niewiarygodne. Zwlekały 19 lat ze zgłoszeniem się na policję i przedstawiały różne wersje. Do tego, zwrócono uwagę, jedna z nich miała wtedy 7 lat. Jak 7-letnia dziewczynka mogła dokładnie zapamiętać osobę, którą widziała przez krótką chwilę, i jak zeznała „nie zwracała na nią uwagi" – wątpił sąd. Inny świadek incognito zeznał, że widział Janczewskiego z ofiarą dwukrotnie jesienią 1998 r., jak szli w kierunku jego mieszkania. Sąd uznał je za niewiarygodne, bo sam świadek przyznał, że skojarzył, że to Janczewskiego widział po 20 latach, gdy przeczytał artykuł o tej zbrodni i zobaczył zdjęcie kobiety. Do tego nie pamiętał ani jej stroju, ani żadnych cech jej wyglądu. Zresztą wiarygodność zeznań innych świadków anonimowych też dla sądu była bezwartościowa.

Co do dowodów czy raczej poszlak sąd apelacyjny piętrzył wątpliwości. Włos znaleziony pod wanną? Nie ustalono, do kogo należał. Piórka znalezione na skórze ofiary i w mieszkaniu Janczewskiego? Biegły mógł stwierdzić tylko, że należą do bażanta, nic ponad to. Takie same włókna zdjęte ze skóry i z mieszkania? Zbyt powszechne, by łączyć to z wyłącznie mieszkaniem Janczewskiego. Kulki styropianowe zebrane z wyłowionej skóry i znalezione w mieszkaniu? Tylko podobne. Zebrane z piwnicy larwy, wylinki i owady żerujące na zwłokach miały być poszlaką, że ofiara po zabójstwie mogła być w tej piwnicy. Wykryto w nich DNA, ale zbyt mało, by udało się ustalić czyje. Sąd wątpił, w jaki sposób te larwy miałyby świadczyć o tym, że 19 lat wcześniej przetrzymywano tam ciało ofiary. Ostatecznie sąd apelacyjny uznał, że przedstawione poszlaki nie pozwalają przyjąć bez żadnych wątpliwości, że żadna inna wersja przebiegu wydarzeń nie może wchodzić w grę. Uniewinnił Janczewskiego i kazał, po siedmiu latach, zwolnić z aresztu.

Zeznania świadka

Prokurator Piotr Krupiński, dziś w wydziale sądowym Prokuratury Krajowej w Warszawie, oświadczył, że z wyrokiem się nie zgadza. Napisał kasację tego wyroku do Sądu Najwyższego na 298 stron. I dołączył świeże, bo z 2025 r., zeznanie świadka anonimowego, tego, który miał widzieć Janczewskiego

eprasa.pl b8c08e3ae2

z ofiarą, ale ze śledztwa w sprawie „pomocnictwa przy zabójstwie Katarzyny Zowady", które również toczy się w Krakowie. – *Okazało się, że już po wyroku uniewinniającym Roberta przesłuchano świadka anonimowego, poza głównym postępowaniem i bez udziału obrony. Treść przesłuchania tego świadka wskazuje, że było to przesłuchanie wprost wymierzone przeciwko Robertowi. Czyli mimo wyroku uniewinniającego prokuratura prowadzi nadal śledztwo przeciwko Robertowi. To działanie bezprawne i nękanie człowieka* – mówi Chojniak.

Sąd Najwyższy odrzucił kasację prokuratora. Na 115 stronie uzasadnienia przypomniał naczelną zasadę, że nieudowodnionych zarzutów nie można przypisać oskarżonemu. Pisał: „Nie oznacza to bynajmniej stanowczego ustalenia, że oskarżony zarzucanego czynu nie popełnił. Rzecz w tym, że warunkiem skazania oskarżonego jest udowodnienie popełnienia przezeń czynu przestępczego, co w sytuacji braku jednoznaczności dowodów zgromadzonych w sprawie okazało się niemożliwe".



© PAP/PAWEŁ SUPERNAK

Łukasz Chojniak, obrońca Roberta Janczewskiego

Nowe i stare śledztwa

Mamy Katarzyny Zowady nie było w Sądzie Najwyższym. Jej pełnomocnik adwokat Jan Znamiec już wcześniej mówił, że świadomie izoluje się, by pogodzić się z tym wszystkim. I jest jej bardzo trudno. Mówił: „Moja klientka żyje w wielkiej traumie związanej ze stratą córki i brakiem nadziei na to, że prokuratura ustali sprawcę, a jest to coraz mniej realne. Dla niej ta sprawa oznacza brak jakiegokolwiek poczucia sprawiedliwości, przecież do tej pory nie ujawniono, kto jest mordercą. Minęło już 28 lat". Proces o odszkodowanie jest, ale właściwie stoi w miejscu. Sąd musi zapoznać się z 560 aktami sprawy. Zresztą stoi po nie kolejka prokuratorek ze sprawy odszkodowawczej, czeka na nie również prokuratura w Zielonej Górze, która wszczęła śledztwo z zawiadomienia Janczewskiego o przekroczeniu uprawnień przez Krupińskiego. Plus teraz prokurator w kwestii zasadności złożenia skargi nadzwyczajnej. To może zająć całe lata. Adwokat Chojniak pyta, czy nie chodzi o to, aby wydłużyć, ile się da, wypłatę odszkodowania dla Janczewskiego.

Prokuratura Krajowa zaś znowu szuka sprawcy zabójstwa Katarzyny. Jak zaznacza naczelnik wydziału prokurator Eryk Stasielak: – *Obecny stan procesowy tego postępowania przedstawia się w ten sposób, że potwierdzony ponad wszelką wątpliwość został czyn zabójstwa pokrzywdzonej, natomiast nie pociągnięto do odpowiedzialności jego sprawcy. Stąd też obecnie postępowanie wraca niejako do punktu wyjścia, mając na celu ustalenie sprawcy tej zbrodni* – mówi. I zastrzega: – *Z oczywistych względów, przy prawomocnym uniewinnieniu, czynności procesowe nie mogą dotyczyć i nie dotyczą osoby Roberta Janczewskiego.*

Dziennikarka Monika Góra przeprowadziła i opisała swoje śledztwo w książce pt. „Kryptonim Skóra". Zwracała w niej uwagę na będącą w aktach opinię patologa. Stwierdził, na podstawie badań wyłowionej z Wisły skóry, że obrażenia wyglądały, jakby powstały w wyniku wypadku, na przykład potrącenia przez samochód, lub upadku z wysokości, a nie zabójstwa. Góra wskazała także na prawdopodobnego, jej zdaniem, sprawcę. To ten sam człowiek, który zadzwonił na komisariat, kierując uwagę policji na Roberta Janczewskiego. No ale, jak to ustaliła, on już zmarł.

VIOLETTA KRASNOWSKA

REKLAMA

PI SPACE

POLITYKA INSIGHT

Newsletter o branży kosmicznej w Polsce, Europie i na świecie - nie tylko dla ekspertów

dołącz do grona czytelników



politykainsight.pl/pi-space

eprasa.pl b8c08e3ae2

Wakacje z dronami

Biura podróży i linie lotnicze zgodnie ostrzegają: jeśli ropa szybko nie stanieje, wyjazdy znacząco podrożeją. Lepiej zatem nie odkładać marzeń na potem. Tylko gdzie jest jeszcze bezpiecznie?

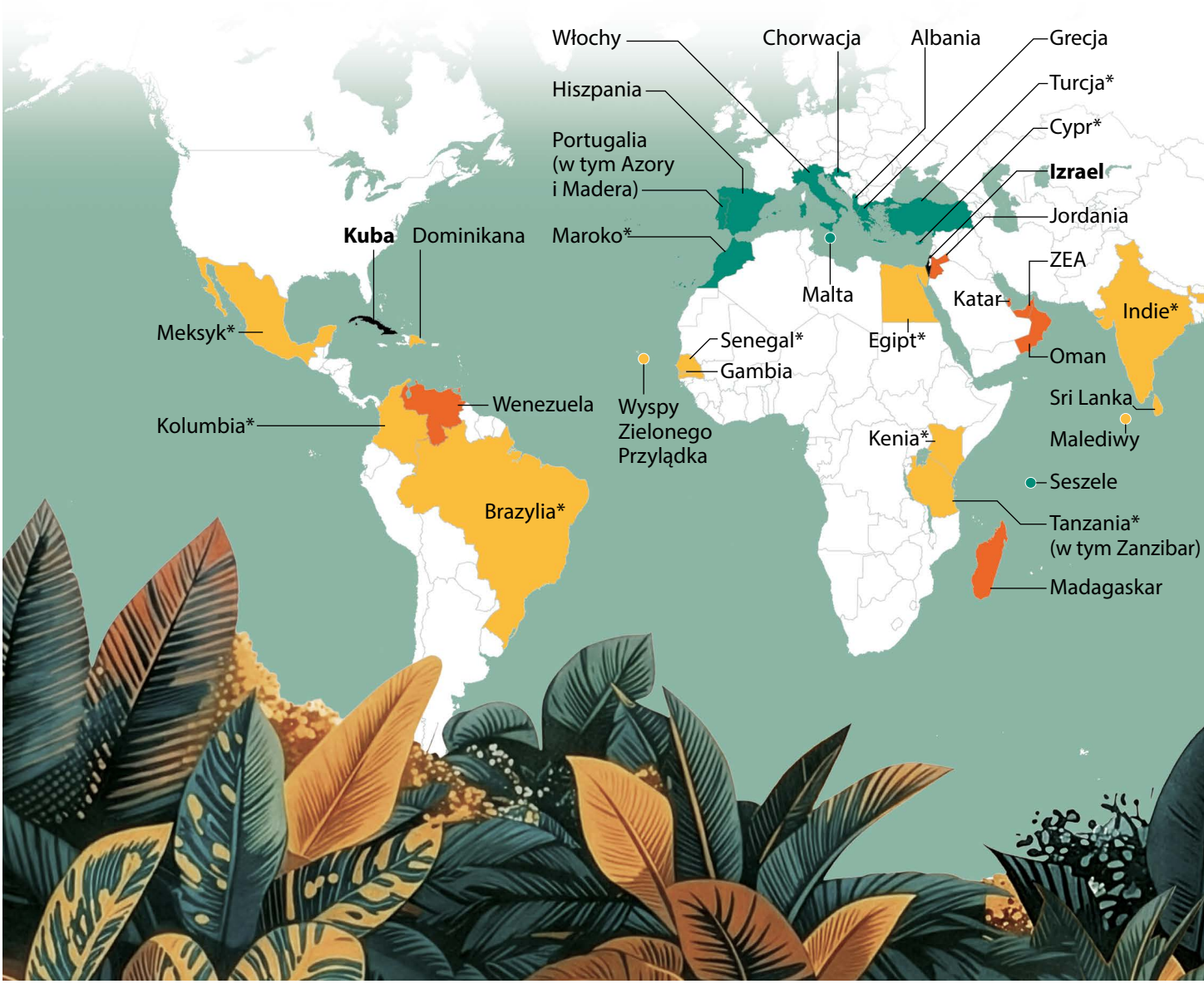
Jechać? Nie jechać?

Poziom ostrzeżenia dla najbardziej popularnych kierunków turystycznych:
Na mapie nie uwzględniliśmy krajów, do których już od dawna nie są organizowane wyjazdy turystyczne (np. Irak, Iran czy Ukraina)

zwykła ostrożność · szczególna ostrożność · unikaj podróży · nie jedź

*Niektóre obszary kraju są objęte wyższym poziomem ostrzeżenia

ŹRÓDŁO: MSZ



ILUSTRACJA **LECH MAZURCZYK**

eprasa.pl b8c08e3ae2

CEZARY KOWANDA

Odyseusz to nie tylko antyczny bohater, ale też nazwa serwisu Ministerstwa Spraw Zagranicznych dla podróżujących. Każdy kraj jest w nim oceniany pod kątem bezpieczeństwa. Pierwszy stopień („zwykła ostrożność") ostrzega przed ryzykami związanymi głównie z masową turystyką, drugi („szczególna ostrożność") to już poważniejsze ostrzeżenie dotyczące osobistego bezpieczeństwa. Najwyższy, czwarty poziom oznacza, że MSZ odradza jakiekolwiek podróże do takiego państwa. Tak są klasyfikowane obecnie na przykład Irak, Iran, Izrael, Liban, Ukraina, Rosja czy Białoruś. Trzeci poziom dotyczy państw, do których według MSZ jeździć można, ale tylko w ważnych sprawach zawodowych czy rodzinnych. Turystyka do tych kategorii nie należy.



I właśnie ten trzeci poziom budzi spore kontrowersje, bo obejmuje także kraje, do których nasze biura podróży chętnie znowu wysyłałyby klientów. Chodzi przede wszystkim o państwa Bliskiego Wschodu, takie jak Oman, Zjednoczone Emiraty Arabskie czy Jordania, w których przypadku koniec października to początek zimowego sezonu trwającego do końca marca. Właśnie w tym czasie tradycyjnie organizowanych jest do takich miejsc najwięcej wycieczek dla spragnionych ciepła i słońca. Ostatni wysoki sezon w tych miejscach zakończył się przedwcześnie, gdy pod koniec lutego Stany Zjednoczone i Izrael zaatakowały Iran, a ten w odwecie zaczął ostrzeliwać kraje regionu.

Ten konflikt trwa, ale z różną intensywnością. Iran zaprzestał na razie ataków na swoich sąsiadów, chociaż nowy problem to uderzenia sprzymierzonych z Teheranem jemeńskich rebeliantów Huti na Arabię Saudyjską. Czy zatem turyści z Polski wrócą tej zimy na Bliski Wschód? Biura podróży nie mają wspólnego stanowiska i zwracają uwagę na to, że rekomendacje MSZ nie są dla nich wiążące. Samo Ministerstwo przyznaje: to każdy podróżny i każdy touroperator sami podejmują decyzje. Poza tym MSZ zastrzega, że jego sugestie nie mogą stanowić podstawy do jakichkolwiek roszczeń. Kto zatem ma jechać na wycieczkę zagraniczną, która mimo podwyższonego stopnia ostrzeżenia nie zostanie odwołana, nie może liczyć na to, że w przypadku rezygnacji państwo zwróci mu pieniądze za rezerwację. Pozostaje wykupić ubezpieczenie od rezygnacji, ale te zazwyczaj dotyczą konkretnych przypadków losowych, takich jak choroba, śmierć bliskiej osoby czy utrata pracy. Nie obejmują takiej kategorii jak strach.

Nieoficjalnie touroperatorzy narzekają, że MSZ zbyt rzadko aktualizuje swoje ostrzeżenia i zbyt późno obniża ich poziom. Przez wiele miesięcy urzędnicy odradzali wakacje na Cyprze, chociaż doszło tam wiosną tylko do jednego incydentu z dronem, który zaatakował brytyjską bazę i nie wyrządził istotnych szkód. Biura podróży wskazują, że w Omanie czy w Emiratach życie toczy się normalnie, ale nasze ministerstwo utrzymuje dla tych krajów trzeci poziom zagrożenia. A Katar do 24 września należał nawet do krajów objętych poziomem czwartym – na równi z Iranem. Co ważne, MSZ nie różnicuje pomiędzy dłuższym pobytem w Katarze czy Emiratach a krótką przesiadką na lotniskach w tych krajach. Poziom ostrzeżeń jest taki sam w obu przypadkach.

Położenie biur podróży utrudnia fakt, że rezerwują one hotele nawet na kilka lat naprzód. Dla ich lokalnych kontrahentów rekomendacje wydane przez polski rząd nie są żadnym argumentem, aby zgodzić się na bezkosztowe odwołanie takich rezerwacji. Zwłaszcza gdy na miejscu nie ma żadnych ograniczeń dla turystyki. Niektóre biura wolą jednak dmuchać na zimne. ▶

eprasa.pl b8c08e3ae2

▶ Do krajów objętych nie tylko czwartym, ale też trzecim stopniem zagrożenia według MSZ nie planują tej zimy żadnych wyjazdów.

– *Odwołaliśmy na przykład zaplanowaną w październiku wycieczkę do Jordanii. W przypadku wyjazdów na Daleki Wschód mieliśmy wcześniej w ofercie krótkie pobyty w celu zwiedzania Dubaju podczas przesiadki, ale też z nich zrezygnowaliśmy. Co więcej, staramy się unikać latania przez Dubaj czy Dohę, nawet jeśli oznacza to wyższe koszty. Szczególnie bolesna jest dla nas sytuacja w Izraelu, który był ważnym celem wycieczek, ale na razie nawet nie myślimy o powrocie do tego kraju* – podkreśla Wioletta Drozdowska-Malicka, kierowniczka polskiego oddziału biura Albatros Travel, specjalizującego się w turystyce objazdowej.

Inni na razie sprzedają wycieczki na Bliski Wschód z wylotami od początku listopada, chociaż zastrzegają, że na bieżąco monitorują sytuację. – *Korzystamy z informacji od partnerów na miejscu i analizujemy wszelkie sygnały. Planujemy tej zimy loty czarterowe do Omanu, chociaż na pewno w dużo mniejszym zakresie niż w poprzednim sezonie. Zarówno w przypadku Omanu, jak i Emiratów zainteresowanie klientów jest zdecydowanie mniejsze niż rok temu, ale powoli rośnie. Jeśli chodzi o wycieczki na Daleki Wschód, korzystamy głównie z bezpośrednich połączeń Lotu oraz z oferty Turkish Airlines z przesiadkami w Stambule* – mówi Piotr Henicz, wiceprezes Itaki, największego polskiego biura podróży.

Rynek nie znosi próżni: spadek zainteresowania Bliskim Wschodem wykorzystują szybko inne państwa. – *Tego lata obserwowaliśmy przesunięcie preferencji klientów z części wschodniej do zachodniej basenu Morza Śródziemnego. Beneficjentem ostatnich wydarzeń jest z pewnością Maroko, które staje się dla Polaków kierunkiem całorocznym, łączącym zwiedzanie i odpoczynek. A w przypadku linii lotniczych wykorzystujemy do dalszych lotów – jako alternatywę dla Emirates czy Qatar Airways – przede wszystkim Turkish Airlines, Enter Air, ale także Ethiopian Airlines, umożliwiające wygodne przesiadki w Addis Abebie. Dzięki temu mamy dodatkową trasę przykładowo na Seszele, omijającą region Zatoki Perskiej* – mówi Maciej Nykiel, prezes biura podróży Nekera.

Zamiast Bliskiego Wschodu biura stawiają na kierunki już znane klientom, ale także na nowości. – *Wprowadzamy w tym sezonie zimowym wycieczki na Porto Santo (w archipelagu Madery) i do Senegalu. Więcej będzie połączeń na Dominikanę czy Wyspy Kanaryjskie. Mimo wszelkich zagrożeń i niepewności Polacy bardzo chcą podróżować. Co więcej, jesteśmy – w porównaniu z innymi narodami europejskimi – bardziej odporni na negatywne informacje i racjonalnie oceniamy poziom zagrożenia. Równocześnie wybieramy coraz częściej rozszerzone pakiety ubezpieczeń podróżnych* – podkreśla Piotr Henicz, wiceprezes Itaki.

Jednak z punktu widzenia biur podróży i linii lotniczych to nie sytuacja na Bliskim Wschodzie jest największym problemem. Dużo bardziej branżę martwi drogie paliwo lotnicze. Kosztuje ono w Europie (na innych kontynentach jest zresztą podobnie) ok. 1,6 tys. dol. za tonę. To mniej więcej dwa razy tyle, ile jeszcze w lutym, przed wybuchem wojny z Iranem. Cena paliwa wzrosła nawet bardziej niż samej ropy i nic nie wskazuje na to, żeby w najbliższym czasie miało zacząć tanieć. Z punktu widzenia zwykłych podróżnych ten problem dotąd prawie nie był odczuwalny. – *Biura podróży w przypadku lotów czarterowych płacą za faktyczne zużycie paliwa cenę z dnia rejsu, ale do tej pory częściowo było zabezpieczone kontraktami hedgingowymi. Oznacza to, że kupowały paliwo jeszcze po starych, znacznie niższych stawkach. Jednak ta ochrona zaczyna wygasać. W najbliższym sezonie zimowym kierunki egzotyczne podrożeją średnio o ok. 6–7 proc. Jednak jeśli paliwo lotnicze nie zacznie tanieć, to w przyszłym roku trzeba będzie mocniej podnieść ceny wycieczek* – przewiduje Maciej Nykiel, prezes Nekery.

Przedstawiciele touroperatorów mówią, że w tym roku przewiozą więcej klientów niż w poprzednim (średnio o 10 proc.), bijąc często rekordy, ale równocześnie zarobią mniej, bo nieplanowane wydatki na paliwo zabiorą im część marży. Przedstawiają przy tym dość proste wyliczenia. Przeciętnie sam przelot to ok. 40 proc. całego kosztu wycieczki. A w ramach przelotu ok. 40 proc. to cena paliwa. Zatem paliwo stanowi mniej więcej 15–20 proc. całkowitej ceny wyjazdu. Jeśli drożeje ono dwukrotnie, to cena wycieczki powinna pójść do góry też o 15–20 proc. Tymczasem na razie wyjazdy z biurami podróży zdrożały o kilka procent. Cudów nie ma – przyszłoroczne wakacje prawdopodobnie będą już wyraźnie droższe.

Kto sam organizował sobie wyjazdy, też do tej pory nie miał powodów do narzekania. – *Średnie ceny tego lata były na poziomie ubiegłorocznym albo nawet nieco niższym, ale mieliśmy zabezpieczenie kontraktami hedgingowymi dla 80 proc. zużywanego przez nas paliwa. Ta ochrona wkrótce wygaśnie i zaczniemy płacić stawki rynkowe. W systemach rezerwacyjnych widać, że ceny biletów na zimę zaczynają powoli rosnąć. W niewielkim stopniu zmniejszyliśmy liczbę planowanych lotów, zwłaszcza w styczniu, gdy popyt jest najmniejszy, i czekamy, co będzie dalej. Zakładamy maksymalny rozkład na lato, w pełni wykorzystujący możliwości naszej floty, ale jeśli cena paliwa nie spadnie, z pewnością wielu naszych konkurentów ograniczy swoją ofertę* – mówi Michał Kaczmarzyk, prezes linii Buzz należącej do Grupy Ryanair.

Szef całej grupy Michael O'Leary przyznał podczas niedawnej konferencji w Warszawie, że latanie kolejnego lata może być dużo droższe, jeśli ropa, a w ślad za nią paliwo, nie zacznie znacząco tanieć. O'Leary mówi o podwyżkach cen biletów rzędu 15 proc., jednocześnie ostrzegając, że część przewoźników nie przetrwa kłopotów. Pierwszy kandydat do bankructwa to łotewskie linie AirBaltic, które negocjują z wierzycielami i szukają pomocy u łotewskiego państwa.

W tym zalewie ostrzeżeń, niepewności i widma coraz wyższych cen jest tylko jedna dobra informacja dla turystów. Jeszcze wiosną nie brakowało scenariuszy przewidujących braki paliwa lotniczego w Europie. Do niedawna znaczna jego część była importowana z regionu Zatoki Perskiej. Obawy pozostały jednak tylko obawami – nawet w szczycie letniego sezonu paliwa do tankowania samolotów nie zabrakło i także w najbliższych miesiącach nie powinno być problemu z jego dostępnością. Wzrosły produkcja w Europie i import z innych części świata. Paliwo jest – tyle że bardzo drogie. W najbliższych miesiącach zarówno linie, jak i biura podróży będą testować próg bólu klientów. I szukać odpowiedzi na pytanie, ile więcej jesteśmy skłonni zapłacić za wyjazdy, skoro mimo wszelkich przeciwności tak bardzo chcemy podróżować.

CEZARY KOWANDA

eprasa.pl b8c08e3ae2

Nie ma cudów

Dr Sławomir Dudek, przewodniczący Rady Fiskalnej, o tym, jakie są skutki tego, że kolejne ekipy rządzące ukrywają, na co nasze państwo naprawdę stać.



Sławomir Dudek – doktor ekonomii, wykładowca Instytutu Gospodarczego SGH, uznawany za wybitnego znawcę finansów publicznych, ma też za sobą 25-letni staż w Ministerstwie Finansów. Twórca niezależnego Instytutu Finansów Państwa, obecnie przewodniczy Radzie Fiskalnej.

JOANNA SOLSKA: **– Zawiódł pan ministra finansów Andrzeja Domańskiego krytyczną opinią Rady Fiskalnej na temat projektu budżetu 2027. To on wskazał pana na przewodniczącego Rady.**

SŁAWOMIR DUDEK: – Ale najpierw był konkurs, a potem wybrał mnie parlament, w Sejmie otrzymałem 99 proc. głosów. Polska była ostatnim krajem Unii, który powołał Radę Fiskalną, byliśmy spóźnieni o jakieś 15 lat. Gdybym postrzegał swoją funkcję w kategoriach podobania się tej czy innej władzy, nigdy bym się jej nie podjął. Byłoby to zaprzeczenie sensu istnienia niezależnej Rady Fiskalnej.

Żadna ekipa rządząca nie chciała organu, który będzie pilnie śledził, jak wydajemy publiczne pieniądze, i ostrzegał o konsekwencjach, które w przyszłości spowodują kolejne „prezenty", jakimi obdarowują nas politycy.

Ministerstwo Finansów zareagowało już kilka godzin po opublikowaniu opinii Rady Fiskalnej na temat projektu budżetu na 2027 r., chociaż pod ostrym komunikatem nikt się nie podpisał. Anonimowy autor zaleca nam, abyśmy nałożyli klapki na oczy i patrzyli tylko na 2027 r., nie widząc najbliższych kolejnych lat.

Może dlatego MF nie chce, żebyście oceniali projekt na rok 2028 i kolejne lata, bo po przyszłorocznych wyborach rząd może się zmienić.

Nawet jeśli rząd się zmieni, to problemy pozostaną i konsekwencji obecnych i wcześniejszych złych decyzji w najbliższej przyszłości nie unikniemy. Najbardziej boleśnie odczujemy je właśnie w okresie, którego Rada miałaby nie dostrzegać, może dlatego MF oczekuje, że nałożymy sobie klapki na oczy. Tak jak robiły to przez ostatnie 10 lat obie ekipy rządzące. Obecny fatalny stan finansów państwa jest konsekwencją wielu złych decyzji, ale nie tylko obecnego rządu, jak twierdzą jego oponenci, lecz także dwóch kadencji rządów Prawa i Sprawiedliwości. Nie możemy więc patrzeć tylko na projekt budżetu przyszłorocznego, nie ostrzegając przed tym, co będzie się działo zaraz potem. Skutki złych decyzji się kumulują.

Obecnemu rządowi wasza opinia jednak nie przysporzy popularności, woli, żebyśmy się przed wyborami nad finansami państwa nie pochylali. O skutkach dowiemy się po wyborach.

Gdybyśmy mieli Radę Fiskalną wcześniej, może uniknęlibyśmy obecnych i przyszłych kłopotów.

Chyba pan przecenia waszą rolę, Węgrzy ją mieli także za Orbána, a rząd robił, co chciał.

Mam inne argumenty. Muszę przypomnieć projekt budżetu na 2024 r., czyli przygotowany przed wyborami przez rząd PiS, kierowany przez premiera Mateusza Morawieckiego. Byłem wtedy szefem niezależnego think tanku Instytutu Finansów Publicznych i dokładnie ten projekt przeanalizowałem. Wyliczyłem, że nasz dług publiczny w najbliższych latach przekroczy dopuszczalną granicę 60 proc. PKB, mimo że w projekcie budżetu było zapewnienie, że skądże. Jednak w tym samym dokumencie, tylko niżej ▶

© LESZEK SZYMAŃSKI/PAP

eprasa.pl b8c08e3ae2

▶ i drobnym drukiem, dopisano, że dopuszczalna granica długu nie zostanie przekroczona, pod warunkiem że deficyt państwa od 2025 r. w kolejnych trzech latach każdego roku będzie o 1 proc. niższy. Czyli o 40 mld zł niższy niż rok wcześniej. Mówiąc ludzkim językiem, już w 2025 r. poprzedni rząd musiałby zlikwidować np. program 500 plus, a w kolejnym roku trzynastkę i czternastkę dla emerytów i coś jeszcze, bo byłoby za mało. Ja w mojej analizie podsumowałem, że jeśli się tego ograniczenia wydatków lub wzrostu podatków nie przeprowadzi, to w 2027 r. dług urośnie do 67 proc. Nikt się tą analizą nie przejął.

PiS stracił władzę, a koalicja 15 października żadnych cięć w wydatkach państwa nie zrobiła. Obecnie ostro krytykuje Tuska za deficyt Mateusz Morawiecki, podczas gdy to on wyprowadził setki miliardów złotych poza budżet, do Banku Gospodarstwa Krajowego. Ta sztuczka księgowa nie zmienia jednak faktu, że te sumy powiększają nasz dług.

Koalicja 15 października nic z tym nie robi. Nawet dołożyła kolejne prezenty: renty wdowie, babciowe... W rezultacie dług narastał, w 2027 r., liczony rzetelnie według metodologii unijnej, przekroczy 70 proc. PKB. Dług liczony „po krajowemu" ma nie przekroczyć granicy 55 proc. PKB. Sytuacja się powtarza.

Ma pan odpowiedź, dlaczego tak długo zwlekaliśmy z powołaniem Rady Fiskalnej. Zresztą ona niczego by nie zmieniła, nie ma żadnej mocy sprawczej. Jest jak kamień w bucie – tylko uwiera.

Ale by głośno ostrzegała, zmuszałaby do debaty publicznej. W Polsce takiej debaty nie ma, nikt się nad rzeczywistym stanem finansów państwa, ich stabilnością, nie zastanawia. Rząd zapewnia, że budżet jest odpowiedzialny, gospodarka rośnie najszybciej w Europie, jesteśmy 20. gospodarką świata, a nasza siła nabywcza jest większa niż Japończyków. Jest super! Skoro jesteśmy tak bogaci, że stać nas na 800 zł dla każdej rodziny z dzieckiem, to dlaczego usługi publiczne są na żenująco niskim poziomie? Czy tak by je sobie wyobrażał przywódca lewicowej partii, gdyby 10 lat temu usłyszał, że Polska na wydatki socjalne będzie przeznaczać tyle ile Szwecja?

Opozycja kreuje inny obraz Polski, twierdzi, że Tusk zadłużył kraj i stoimy na skraju przepaści, wróciły mafie, a wraz z nimi luka vatowska, i dlatego państwu znów brakuje pieniędzy.

I mimo to żąda podniesienia progu podatkowego w PIT ze 120 do 200 tys. zł. Prezydent też alarmuje, że jest to najgorszy z rządów,2 i straszy rosnącym zadłużeniem, a sam proponuje ustawy, które wydatki państwa powiększą, wystarczy lepiej rządzić, uszczelnić system podatkowy. Obie strony tego politycznego klinczu wyrobiły w Polakach przekonanie, że państwo stać na wszystko, tylko trzeba je do tego zmusić. Jesteśmy ogłupiali, a wojna coraz bliżej. Żaden z tych obrazów nie jest prawdziwy.

Opozycja kłamie, a koalicja 15 października ukrywa prawdę.

PiS, dochodząc do władzy, zapewniał, że „wystarczy nie kraść" i będzie na wszystko, a potem, że rozbuchane wydatki socjalne zostały sfinansowane z pieniędzy, z których nie okradły nas mafie vatowskie, bo je zlikwidował. Jakieś uszczelnianie na początku było, ale też wprowadzono wiele nowych podatków i składek, i mimo to państwo zaczęło się błyskawicznie zadłużać. Od 2021 r. dochody i wydatki państwa błyskawicznie się rozjeżdżają. Teza opozycji i prezydenta, że wróciły mafie i gdyby obecny rząd je zlikwidował, to znów wystarczyłoby na wszystko, jest kłamstwem. Dochody państwa, także dzięki pobudzającym gospodarkę rekordowo dużym środkom unijnym, nigdy wcześniej nie były tak wysokie. Obecnie wynoszą 44 proc. naszego PKB, są najwyższe od trzech dekad.

Wydatki też!

I w tym leży sedno problemu. Gdybyśmy rozsądnie gospodarowali publicznymi pieniędzmi, nie byłoby powodów do obaw. Tymczasem wydatki naszego państwa wynoszą aż 51 proc. PKB. Nożyce między dochodami a wydatkami państwa rozwierają się coraz bardziej, deficyt wynosi ponad 7 proc. I nie jest to deficyt jednoroczny, tylko uporczywy, tak wielka dziura w finansach państwa jest w obecnym roku i będzie w następnych latach. Tym, co Radę Fiskalną niepokoi najbardziej, jest brak jakichkolwiek propozycji w projekcie budżetu na zmniejszenie tego uporczywego deficytu. Idziemy w złą stronę.

W przyszłym roku czekają nas wybory parlamentarne. Opozycja rozpocznie licytację na prezenty wyborcze. Trzeba uczciwie przyznać, że w rządowym projekcie budżetu kiełbasy wyborczej nie ma.

Są jednak inne rzeczy, które nas niepokoją. Dochody państwa są przeszacowane o jakieś 15 mld zł. Rząd twierdzi, że zarobi 39 mld na prywatyzacji, ale co to za prywatyzacja, która polega na tym, że kontrolowany przez państwo Orlen wykupi pakiet udziałów państwowej Polskiej Grupy Zbrojeniowej i obie firmy nadal pozostaną pod kontrolą państwa? Na prawdziwą prywatyzację rząd się nie decyduje, chociaż jest właścicielem m.in. fabryki cukierków, sklejki czy hoteli. Poza tym do dochodów wpisano pozycje z podatków, które już raz prezydent zawetował, i może to zrobić po raz kolejny. Z drugiej strony niedoszacowane są wydatki, np. NFZ. Już teraz wiadomo, że pod koniec przyszłego roku zabraknie pieniędzy na publiczne lecznictwo i trzeba będzie ich dosypać. Oceniamy więc, że taki budżet jest mało realny i rząd liczy na szczęście, którego może nie mieć.

Co wtedy?

Przekroczymy dozwolony próg zadłużenia i w kolejnym, 2028 r., którego Rada ma nie widzieć, trzeba będzie gwałtownie ciąć wydatki.

A jak nie, to co?

Złamiemy prawo.

PiS łamał konstytucję i do tej pory pozostaje bezkarny. Poza tym Polska nie jest najbardziej zadłużonym krajem w Unii, kilka krajów ma dług o wiele większy, Francja ponad 110 proc. PKB.

Nie możemy się porównywać, oni są na innym poziomie rozwoju. Pięć globalnych marek francuskich wymienimy bez trudu, Polska nie ma żadnej. Poza tym ich dług rośnie wolniej niż nasz, oni są w strefie euro, pożyczają taniej. Ich społeczeństwo wie, że jest problem, miota się w niezgodzie, czy rozwiąże go skrajna prawica czy lewica, nasze nie jest nawet tego świadome. Tempo narastania polskiego długu jest już najszybsze w Europie, dlatego zamiast cieszyć się wzrostem i inwestować jego część w badania i rozwój, już 107 mld zł przeznaczymy na spłatę odsetek od pożyczonych pieniędzy. Więc jeśli mamy się z kimś porównywać, to raczej z Rumunią, która też zachowała swoją walutę. Ten kraj płaci już 7,67 proc. odsetek rocznie od pożyczanych pieniędzy, my już prawie 6,5. Na razie rynki mają do nas zaufanie, broni nas wysoki wzrost gospodarczy, ale to się w każdej chwili może zmienić.

Węgrzy też mają ogromny dług, a płacą niższe koszty jego obsługi.

Przed wyborami płacili więcej niż my. Teraz rynki uwierzyły w ich reformy,

eprasa.pl b8c08e3ae2

chęć przyjęcia wspólnej waluty. Węgrzy pokazują program wyjścia, my go nie mamy. Tkwimy w politycznym klinczu, żadna ze stron nie ma odwagi powiedzieć prawdy o stanie finansów państwa, żeby nie stracić szansy na wygranie wyborów. W tej sytuacji żadne reformy nie są możliwe.

Wybory może wygrać ta partia, która obieca więcej albo jeszcze nie rządziła. Powie, że dopuszczalną granicę zadłużenia można przesunąć.

I zderzy się ze ścianą, bo dług nie przestanie rosnąć, manipulacje przy liczniku go nie zmniejszą. Rada chce uświadomić społeczeństwu, jak wielki mamy problem.

Nowa władza może się uciekać do sposobów, które stosował Morawiecki: pokaże nieprawdziwy projekt budżetu, wypychając większą część wydatków do np. funduszu covidowego w BGK, którego Koalicja nie zlikwidowała.

Już nie może, bo agencje ratingowe to śledzą, doskonale wiedzą, że dług, nieuwzględniony w ustawie budżetowej, a zaciągnięty przez BGK, wynosi już 450 mld zł. I właśnie jedna z nich obniżyła rating Polski, co jest ostrzeżeniem, że dłużej z takim deficytem nie ujedziemy. Tracimy wiarygodność w oczach rynków finansowych, a to oznacza, że będziemy musieli pożyczać coraz drożej. Nie możemy dłużej liczyć na to, że tolerancja rynków wobec naszego uporczywego deficytu będzie trwała, bo już otrzymaliśmy bardzo wyraźne sygnały, że to się w każdej chwili może zmienić.

Jest pan autorem powiedzenia, że nie można mieć szwedzkich wydatków bez szwedzkich podatków. Czyli mówiąc po ludzku, co trzeba zrobić?

Dla ekonomistów wybór jest prosty. Albo wysokość wydatków dostosowujemy do wielkości dochodów, albo skoro chcemy utrzymać wysokość transferów, trzeba znaleźć dla nich finansowanie w podatkach. Skoro tak zależy nam na transferach, chociaż w naszym przypadku są często bardzo źle adresowane, to przypatrzmy się szwedzkim podatkom. Tam stawka VAT wynosi 25 proc., u nas 23, ale cała żywność i wiele innych towarów objęte są stawkami niższymi, preferencyjnymi, i obejmują prawie 40 proc. konsumpcji. W Szwecji stawka preferencyjna jest dużo wyższa i dotyczy tylko 25 proc. konsumpcji. 50-procentowy próg podatku od dochodów osobistych przekraczają osoby o średnich dochodach, ale bogaci płacą więcej.

U nas państwo otworzyło bogatym możliwość niepłacenia podatków, jeśli utworzą fundacje rodzinne. Natomiast MF nawet nie wie albo celowo utajnia, jakie sumy traci na tym budżet.

W Szwecji nie mają podobnych i o takiej skali preferencji podatkowych dla bogatych ani dla jednoosobowych przedsiębiorców czy rolników. Żeby zachować wysokość dotychczasowych wydatków publicznych, musielibyśmy sporządzić coś w rodzaju menu, którego pozycje pokazywałyby, skąd wziąć na nie środki. Tak jak zrobił to obecny rząd, pokazując, że obniżenie progów podatkowych w PIT kosztuje i trzeba je sfinansować np. z podwyżki CIT i podwyżki dla ryczałtowców.

Zróbmy menu wydatków, pokażmy, na co wydajemy najwięcej. Wydatków na zbrojenia raczej w obecnej sytuacji nie zredukujemy.

Nie jest jednak prawdą, że to one są główną przyczyną rozwarcia nożyc między dochodami a wydatkami państwa, one się do tego dołożyły w 25 proc. Tyle samo ważą programy 800 plus, trzynastki, czternastki, dotacje do emerytur oraz babciowe i renty wdowie razem wzięte. Trzecie 25 proc. wzrostu spowodowała waloryzacja płac w budżetówce, a ostatnią ćwiartkę – koszty obsługi zadłużenia. Chciałbym zwrócić uwagę, że jeśli nie zaczniemy spowalniać tempa wzrostu wydatków, to właśnie koszty obsługi zadłużenia będą rosły najszybciej. One nas zaduszą, bo na wszystko inne państwu coraz bardziej będzie brakowało pieniędzy. W 2027 r. na same odsetki będziemy wydawać dwa razy więcej niż na 800 plus. Prawie tyle ile Grecja, której dług wynosi 140 proc. PKB.

Mówi pan o sytuacji, jeśli unikniemy gwałtownego załamania? Kiedy może do niego dojść?

W każdej chwili. Stabilności świata, a zwłaszcza Polski, zagrażają dwie wojny – na Bliskim Wschodzie i w Ukrainie. Wystarczy drobny impuls, żeby nasz świat zaczął się walić. Może nim być bardziej gwałtowny atak dronów przy naszej granicy albo powrót do obietnicy kwoty wolnej od podatku w wysokości 60 tys. zł.

ROZMAWIAŁA JOANNA SOLSKA

REKLAMA

AGENCJA PERPEKTYWY PREZENTUJE







Bilety: www.agencjaperspektywy.pl



Pożar w centrum Kijowa po rosyjskim ataku dronowym

Wojna codzienna

Rozmowa z Mykołą Kniażyckim, ukraińskim posłem, znawcą Polski, o konieczności sojuszu ponad uprzedzeniami, a także o czym zapomniał Kaczyński i dlaczego Zełenski to nie cała Ukraina.

PAWEŁ RESZKA, ALBINA TRUBENKOVA: **– Jaki jest stan stosunków polsko-ukraińskich?**

MYKOŁA KNIAŻYCKI: – Tak kiepski, że czasem mnie kusi, żeby powiedzieć: zaczynamy od zera. Ale wtedy przypominam sobie miliony Polaków, którzy przyjmowali Ukraińców na początku pełnoskalowej inwazji. Oni przecież nie zniknęli. Jest też ponad milion Ukraińców mieszkających w Polsce. Pracują, płacą podatki, dokładają się solidnie do budżetu. Są już częścią polskiego społeczeństwa i budują tu swoją przyszłość.

W Polsce co chwila słyszymy o agresji. Ostatnio o zamordowaniu księdza przez ukraińskiego nożownika. Wcześniej o pobiciach uchodźców z Ukrainy.

Warto podkreślić, że polski rząd podchodzi do tego poważnie. Policja reaguje, sprawcy są ścigani. Jednak jest coś jeszcze: pod każdą taką informacją – np. o pobiciu Ukraińców w Polsce – czytam liczne komentarze w ukraińskim internecie w stylu „Polacy nas nienawidzą". Polemizuję z takimi poglądami, piszę posty, argumentuję. Czasem orientuję się, że po drugiej stronie tej polemiki jest zaprogramowany przez rosyjską propagandę bot.

Jak reaguje na to Ukraina poza internetem?

Stosunek Ukraińców do Polaków jest ciągle bardzo pozytywny. Był poważny spadek sympatii, kiedy Polacy blokowali granicę na przełomie 2023 i 2024 r., ale później nastąpiło odbicie. Mimo burz w mediach większość Ukraińców nadal uważa Polaków za przyjaciół.

A poziom polityczny naszych relacji? Zacznijmy od tego, co dzieje się w Polsce.

Polska polityka zachorowała na krótkowzroczność. Nie chodzi mi tu o przedstawicieli Konfederacji, polityków takich jak Grzegorz Braun, ale o działaczy tradycyjnych partii, takich jak PiS.

Gdy zaczęła się inwazja w 2022 r., cała klasa polityczna, z PiS na czele, rzuciła się na pomoc Ukrainie.

Prawda, że to paradoks? Prezydent Andrzej Duda, rząd PiS, cała opozycja. Fantastyczna, bezwarunkowa pomoc dla mojego kraju. Wszyscy czuli, jak wielkie jest zagrożenie. Dziś interes strategiczny schodzi na drugi plan. Ważna zaczyna być bieżąca polityka. A wróg jest silny i nadchodzi ciężka zima.

eprasa.pl b8c08e3ae2

Retoryka antyukraińska zrobiła się modna?

Jest częścią czegoś większego. W całej Europie rośnie poparcie dla sił skrajnie prawicowych: antyukraińskich, antysemickich, antyeuropejskich. A tamą dla rosyjskiej agresji jest teraz przede wszystkim zjednoczona Europa. Dlatego Rosja gra na podział kontynentu – wie, że bez pomocy UE Ukraina przegra. Wtedy pójdą dalej. Dziwi mnie, że niektórzy rozsądni politycy tego nie widzą.

Kogo pan ma na myśli?

Na przykład Jarosława Kaczyńskiego. Czasem brzmi tak, jakby zapomniał słowa swojego brata w Tbilisi w 2008 r. w czasie rosyjskiej agresji: „Dziś Gruzja, jutro Ukraina, pojutrze państwa bałtyckie, a później być może przyjdzie czas na mój kraj, na Polskę". Podczas rewolucji godności był na moje zaproszenie na Majdanie w Kijowie. Wygłosił piękne proeuropejskie przemówienie. Oklaskiwały go miliony Ukraińców, którzy chcieli być częścią zjednoczonej Europy. Z Michałem Dworczykiem odsłanialiśmy pomniki ku czci Piłsudskiego i Petlury. Teraz mam wrażenie, że wszyscy oni chcą konkurować z Konfederacją. Politycy chcą się przymilać do skrajnego elektoratu, co w moim przekonaniu jest drogą do porażki.

Krótkowzroczność zapanowała tylko po polskiej stronie?

O nie. U nas także jest to popularna choroba. Wielu ukraińskich polityków uważa, że musimy Polakom coś „pokazać", „udowodnić". Oni grzeszą postsowieckim sposobem myślenia, nie doceniają Polski. Nie dociera do nich, że jeśli znajdziemy wspólny język z Polakami, nasze szanse dostania się do UE znacznie się zwiększą. W samej Unii, działając wspólnie, będziemy wielką siłą. A proszę zobaczyć, jak dziś się układają nasze relacje gospodarcze.

Układają się niemrawo.

Właśnie. W Ukrainie powinno być wielu Polaków inwestujących np. w przemysł obronny. A w porównaniu z Niemcami czy Brytyjczykami jest ich jak na lekarstwo.

Z Niemcami i Brytyjczykami rywalizujemy też o ukraińskich pracowników.

Żyjemy w świecie absurdu. Polska ma bardzo niski wskaźnik urodzeń, Ukraina – katastrofę demograficzną. Rynek potrzebuje rąk do pracy. Jeśli Ukraińcy wyjadą z Polski, trzeba będzie szukać pracowników dalej, w Afryce czy Azji, gdzie bariera kulturowa jest większa. Tymczasem w Polsce są politycy, którzy mówią, że Ukraińców jest tu za dużo.

Po drugiej stronie granicy bywa podobnie. Proponowałem urząd do spraw polityki demograficznej, który zajmowałby się ponad 5 mln uchodźców i kilkoma milionami emigrantów, głównie zarobkowych. Ustawa nie przeszła. Gdy młodzi wyszli protestować przeciw ograniczaniu niezależności instytucji antykorupcyjnych, władza pozwoliła im wyjeżdżać za granicę. Jakby wolała, by wyjechali za chlebem, niż siedzieli tutaj i protestowali.

Wyjeżdżają do Unii Europejskiej.

Właśnie. Wejście do UE ma dla nas znaczenie egzystencjalne – jako gwarancja zakotwiczenia w Europie, bezpieczeństwa i dobrobytu. Z Warszawy natomiast często słyszymy: „Z Banderą nie wejdziecie", „Nie macie szans, dopóki nie uwzględnicie interesów naszych rolników i przewoźników".



Mykoła Kniażycki (rocznik 1968) pochodzi ze Lwowa. Był dziennikarzem, jest posłem do Rady Najwyższej Ukrainy z opozycyjnej partii Europejska Solidarność, a także współprzewodniczącym grupy ds. międzyparlamentarnych kontaktów z Polską.

I co chcecie z tym zrobić?

Powinniśmy zrobić to, co kiedyś Polska. Kiedy wchodziliście do UE, nie wszyscy byli zachwyceni. Ale Polacy starali się – szczególnie w rozmowach z Niemcami – zyskać przychylność najważniejszych graczy. Ukraina tego nie robi: „Przyjmą nas, bo walczymy, bronimy Europy". Niestety tak to nie działa. Trzeba się reformować, zmieniać prawo i zacząć dogadywać z partnerami z UE. Zacząć realizować wspólne interesy z Polską w gospodarce i otwarcie mówić o historii.

Rozmów o historii ostatnio nam nie brakuje…

Wielkim błędem było to, że przez pewien czas nie prowadzono ekshumacji (polskich ofiar w Ukrainie – przyp. red.). Ale to już za nami. Równolegle liczymy, że ukraińskie miejsca pamięci w Polsce nie będą niszczone, a robiący to ludzie, pokroju pana Brauna, zostaną pociągnięci do odpowiedzialności.

Ale można było się spodziewać, że nadanie jednostce wojskowej imienia Bohaterów UPA wywoła dyskusję w Polsce i ukraińską reakcję w stylu: „Nie będziecie nam wybierać bohaterów".

Sądzę, że dla strony ukraińskiej ostra reakcja była jednak zaskakująca. Przecież w wielu miastach jest ulica Bohaterów UPA. Mamy oddziały noszące imię Kłyma Sawura – człowieka, który bezpośrednio dowodził mordami na Wołyniu. Nie doprowadzało to do tak wielkich napięć.

Jak Ukraińcy patrzą na historię?

Z dużo mniejszą uwagą niż Polacy. Stepan Bandera i UPA są postrzegani jako ci, którzy walczyli o niepodległość Ukrainy, a ich przeciwnikiem był Związek Sowiecki. Podziemne oddziały UPA kryły się w lasach do początku lat 60. Ci, których pojmano, wzniecali bunty w stalinowskich obozach. Według rachunków samych Sowietów w latach 1944–52 w zachodniej Ukrainie represjom poddano do pół miliona osób związanych z OUN i UPA. Ponad 150 tys. zabito, ponad 130 tys. aresztowano. W zachodniej Ukrainie trudno byłoby znaleźć rodzinę, która nie odczuła skutków tej kampanii.

A Stepan Bandera…

…to dziś synonim bojownika o niepodległość Ukrainy. Jeżeli chcesz pokazać, że walczysz o niepodległość Ukrainy, musisz powiedzieć: „Jestem jak Bandera. Gotów [na] jego los". A los jego i całej jego rodziny był tragiczny. Ojca rozstrzelało NKWD. Dwóch braci zginęło w Auschwitz. Siostry zesłano na Syberię. On sam też został zamordowany przez KGB. Bandera dobrze nadaje się na symbol, szczególnie podczas wojny.

Mniej dostrzegana jest mroczna część historii UPA.

Tak, dla wielu Ukraińców wszystko, co działo się na Wołyniu i w zachodniej Ukrainie, jest czymś nieznanym. Nie bardzo więc wiedzą, o co chodzi Polakom. Polska nie kojarzy się z Wołyniem, ale z sukcesem transformacji.

Ukrainę czeka rozmowa o bohaterach?

Czeka. Kogoś uznajemy za bohatera, bo walczył, zginął, poświęcił się. Jeśli jednak wzywał do eksterminacji ludności cywilnej, to nie można o tym milczeć. To dla nas bolesne i nie jesteśmy jeszcze do tego zdolni. Mamy też bohaterów niedocenianych. Na przykład Wasyl Mudry, który ▶

© NIKOLETTA STOYANOVA/GETTY IMAGES, DAWID ŻUCHOWICZ/AGENCJA WYBORCZA.PL

eprasa.pl b8c08e3ae2

▶ był wicemarszałkiem polskiego Sejmu (1938–39). Później rozmawiał z Brytyjczykami, a nie z Niemcami, jak OUN. Wzywał do normalizacji stosunków z Polską. I co? W Polsce nikt nie wie o Mudrym, w Ukrainie nie ma ani jednej tablicy pamiątkowej.

A jak ta historia działa w Polsce?

Mam wrażenie, że w Polsce nie nagłaśniano tego, co określane jest mianem „akcji odwetowych" (po Wołyniu – przyp. red.). Ja rozumiem ich mechanizm. Polskie podziemie chciało się bronić, jego członkowie wiedzieli, że ich rodziny padły ofiarą mordów. Ale w rezultacie szli zabijać ukraińskich cywilów. Grupa profesora Uniwersytetu Gdańskiego Ihora Hałagidy, która pracuje na Ukraińskim Uniwersytecie Katolickim, w większości zidentyfikowała ukraińskich cywilów, którzy w tamtym okresie zginęli z rąk Polaków. A teraz identyfikują Polaków zabitych przez Ukraińców. To bardzo szlachetna postawa. Trzeba pamiętać, że potomkowie pomordowanych są po obu stronach i odczuwają taki sam ból.

Co z tym robić?

Prezydent Petro Poroszenko klękał przed Pomnikiem Rzezi Wołyńskiej w Warszawie. Nie udajemy, że tego nie było, ale mówimy o tym za mało. Tak samo jak w Polsce za mało mówi się o zabitych Ukraińcach. Zaproponowałem, by postawić na Wołyniu memoriał z nazwiskami wszystkich zabitych Polaków i Ukraińców. Wspólnie powinniśmy pokazać całej Europie, że Ukraińcy i Polacy potrafią przezwyciężyć dramatyczne karty z przeszłości. Przez pierwszych 20 lat naszej wolności prezydenci, wielu intelektualistów, Kościoły i w szczególności Jan Paweł II wzywali nas do powtórzenia wezwania: „Przebaczamy i prosimy o przebaczenie". Myśląc o naszej wspólnej teraźniejszości i przyszłości, po prostu musimy to zrobić.

Ukraińcy irytują się tym, że znów wracamy do historii?

Walczymy właśnie o przetrwanie, mamy inną perspektywę. Często ludzie pytają: „O co tym Polakom chodzi? Przecież Moskale chcą wymordować nas, a potem wziąć się za nich". To otwiera pole do spekulacji, spiskowej teorii dziejów.

Czyli?

A może Polacy mają w tym jakiś interes? Może chcą nam odebrać ziemie? Rosyjska propaganda to podsyca. A niektórzy polscy politycy próbują zdobyć przy okazji tanią popularność, jak tych 22 posłów, którzy chcą zorganizować marsz w rocznicę 11 listopada we Lwowie. Może zróbmy ten marsz w Kramatorsku? Tam w okopach są żołnierze, w tym polscy ochotnicy. Walczą o naszą i o waszą niepodległość.

Ostatnio we Lwowie odbyła się dyskusja historyków Grzegorza Motyki i Wołodymyra Wiatrowycza. Byli dalecy od konsensu, delikatnie mówiąc.

Znam ich obu. Siedziałem z nimi przy stole, kiedy pili polską wódkę i rozmawiali jak najlepsi przyjaciele. Jeden z literaturoznawców żartował, że byłoby naturalniej ze względu na brzmienie nazwisk, żeby Motyka był ukraińskim historykiem, a Wiatrowycz polskim.

Może historią nie powinni się zajmować polscy i ukraińscy historycy, tylko po prostu historycy?

Tu się zgodzę. Podczas wojny w ogóle powinniśmy zapomnieć o historii. Trzeba zapisać nazwisko każdej z ofiar, pomodlić się za każdego zamordowanego, prosić o wybaczenie. Dobrze byłoby postawić wspólny memoriał i skoncentrować się na wspólnej produkcji broni.

To jakoś nie idzie. Polscy politycy są chyba pogniewani na prezydenta Wołodymyra Zełenskiego.

Jako polityk opozycji nie zgadzam się z nim w wielu sprawach. Mamy skandale korupcyjne, niezadowolenie społeczne. Ale Zełenski jest tylko politykiem. Dziś jest, jutro może go nie być. W czasie wojny największą rolę odgrywa armia – niezależna od polityki i w dużym stopniu ochotnicza. W okopach wojskowi debatują, spierają się o politykę, a potem walczą ramię w ramię.

Pana syn walczy?

Od 2023 r. na froncie w obwodzie donieckim. Jest oficerem, odpowiada za rozpoznanie dla artylerii.

To co pan myśli, słysząc: „Wojna? Tam w Ukrainie ludzie piją kawę, chodzą na koncerty".

Tej nocy na Kijów spadło pięć rakiet, to już stały element życia. Jedzie trolejbus, ludzie siedzą w kawiarni, nad nimi drony. Jedne zestrzelone, wybuchają w powietrzu, inne uderzają w bloki mieszkalne. Czytamy: „Zginęli ludzie". Okazuje się, że wśród nich są nasi znajomi. Idziemy na pogrzeb. Przywożą poległych z frontu. Znów pogrzeb. Wracamy do domu i żyjemy dalej. Dzieci rano idą do szkoły. Jak jest nalot, lekcje przenoszą się do piwnicy. Tak tu jest.

Ma pan poczucie niesprawiedliwości, że pana syn walczy, a wielu innych ucieka przed powołaniem do wojska?

Nie mogę zrozumieć, dlaczego władze nie wzywają Ukraińców do walki. Dziś front trzyma się na żołnierzach, którzy walczą od lat i nie wiedzą, kiedy wrócą do domu. Nie ma bowiem terminu demobilizacji. Mamy więc dwa równoległe społeczeństwa. Jedni wojują, inni uważają, że jakoś to będzie, i wolą, żeby ktoś inny walczył w ich imieniu. Władza uśmiecha się do tych drugich, bo pierwsi i tak już są na froncie.

Ukrainą w ostatnim czasie wstrząsają skandale korupcyjne, sondaże nie są korzystne dla prezydenta i partii władzy. W demokracji można to skorygować za pomocą wyborów. A co robić, gdy demokracja jest w stanie wojny?

Wybory w Ukrainie są dziś niemożliwe. Nie da się zapewnić równego prawa głosu żołnierzom, uchodźcom i osobom wewnętrznie przesiedlonym. Co robić? Winston Churchill podczas drugiej wojny światowej powołał na swojego zastępcę przedstawiciela partii opozycyjnej. Potrzebny jest nam dialog ponad podziałami politycznymi, ale władza nie jest na to gotowa. A sytuacja robi się krytyczna.

Dlaczego?

Rosja niszczy metalurgię, port w Odessie jest zablokowany. Zostaliśmy odcięci od głównych źródeł dochodu: eksportu produktów metalurgicznych i rolnych. W budżecie mamy ogromną dziurę, której nie pokrywa 90 mld euro przyznanych przez UE. Z pozyskiwaniem środków jest zresztą problem, ponieważ nie realizujemy zaleceń, w tym dotyczących walki z korupcją. Stoimy u progu zimy i bardzo dużego kryzysu wewnętrznego.

Pan doskonale zna Polskę, mówi pan po polsku. Co chciałby pan powiedzieć politykom, Polakom?

Polska, która ma znacznie większe doświadczenie polityczne i jest dużo silniejsza gospodarczo niż Ukraina, powinna być prawdziwym liderem Europy Środkowej. Ukraina może tu wnieść doświadczenie obronne, armię, przemysł zbrojeniowy. Może zabezpieczać nasze wspólne interesy. To byłby dobry wspólny projekt.

Możemy myśleć o najsilniejszym sojuszu w Europie. Do tego właśnie zachęcałbym zarówno ukraińskich, jak i polskich polityków.

ROZMAWIALI PAWEŁ RESZKA I ALBINA TRUBENKOVA

eprasa.pl b8c08e3ae2

Na każdy temat z każdej strony

Poranek TOK FM

Aleksandra Karasińska



tokfm

Ściągnij app i słuchaj.

eprasa.pl b8c08e3ae2



Centrum strachu

Czy karmiące sztuczną inteligencję centra danych to szansa rozwojowa? A może raczej szerzące się jak plaga żarłoczne potwory, wywołujące kryzysy i wpływające na wyniki wyborów?

JĘDRZEJ WINIECKI

„To była taka spokojna okolica” – smuci się podczas rozmowy z BBC Amanda Young, mieszkanka walijskiego Newport. „Nawet nie można usiąść na zewnątrz” – mówią reporterowi „New York Timesa” Kelley i Michael Ivy, właściciele burgerowni z Hillsboro w Teksasie. „Powiedzieli, że to będzie zwykły magazyn” – żalą się „Kathmandu Post” mieszkańcy Patanu, miasta spod nepalskiej stolicy. Amandzie Young widok z okien zasłania wysoka ściana, blaszana szarość wyrosła tuż za płotem. Kelley i Michael Ivy próbują obsługiwać gości w tumanach kurzu wzbijanego przez ciężarówki zapatrujące pobliską budowę. Patańczyków też pokrywa kurz, bo u nich również się buduje. Dodatkowym powodem ich zmartwień jest to, że centrum danych już działa i generuje hałas, dodatkowe ciepło oraz – kto wie? – może nawet jakieś promieniowanie.

Wznoszone na wszystkich zamieszkanych kontynentach centra danych są najbardziej widocznym znakiem wirtualnej rewolucji technologicznej. Z zewnątrz wyglądają niepozornie, przypominają rozległe magazyny firm logistycznych lub ascetyczne fabryczne hale. W środku stoją rzędy półek z komputerami. Ich zadaniem jest podtrzymywanie internetu przy życiu. To dzięki nim oglądamy seriale, sprawdzamy stan kont bankowych i romansujemy ze sztuczną inteligencją. Są jak respiratory, które tłoczą cyfrowy tlen w płuca globalnej gospodarki. A nie ma już chyba branży, która nie byłaby podłączona do usług sieciowych dostarczanych przez tzw. big techy, zwłaszcza te z kalifornijskiej Doliny Krzemowej. Firma doradcza PwC prognozuje, że do połowy wieku na ich budowę, utrzymanie i okresową wymianę sprzętu pójdzie jakieś 31,6 bln dol. I to jeszcze nie jest pełna cena postępu.

Dane niezdatne do picia

Są stworzeniami coraz liczniejszymi, wielkimi i żarłocznymi. Planowana pojedyncza instalacja Microsoftu w Kenii ma zużywać jedną trzecią produkowanego w tym kraju prądu. W Irlandii w ubiegłym roku centra odpowiadały za 23 proc. zużycia energii elektrycznej. Tymczasem właśnie ogłoszono, że Google za 13 mld euro zbuduje w Finlandii trzy centra – a do ich zasilania kupi połowę prądu wytwarzanego przez jedną z dwóch fińskich elektrowni atomowych. I tak powstanie największa inwestycja Google w Europie.

Podparyska gmina Fouju, licząca ok. 650 mieszkańców, będzie adresem hal

eprasa.pl b8c08e3ae2



Gigantyczne centrum danych w Abilene w Teksasie, stworzone w ramach projektu Stargate, wspólnego przedsięwzięcia m.in. OpenAI i Oracle, promowanego przez Donalda Trumpa. Poniżej: **wnętrze centrum Amazona w New Carlisle w Indianie.**



przepalających tyle prądu ile niemały przecież Hawr. Podobna historia czeka szkockie Auchtertool, tej samej wielkości co Fouju. I japońską wieś Higaszidori. Albo tylko nieco większe Boling w Teksasie, gdzie komputery staną na 1,2 tys. ha – tyle zajmuje kwadrat o boku długim na niespełna 3,5 km. Centra powstają na prowincji, w miejscach, gdzie ziemia jest najtańsza. Co więcej, same też wpływają na ceny nieruchomości wokół – ciągną je w dół.

Centra danych pracują bez przerwy i łatwo się nagrzewają. Chłodzi się je wodą płynącą specjalnymi instalacjami. Najlepiej sprawdza się zimna i czysta, np. pobierana spod ziemi – też w ilościach przemysłowych, odpowiadających potrzebom całych miejscowości. Pobierano by jej mniej, gdyby krążyła w obiegu zamkniętym. Ale w takim wypadku trzeba by ją schładzać, co byłoby bardzo energożerne.

„Nie napijesz się danymi" – m.in. takim transparentem w maju machali przeciwnicy przedsięwzięcia z Utah. Chodzi o firmowany przez O'Leary Digital projekt Stratos, zatwierdzony już przez lokalnych urzędników. Ma być największy na świecie i objąć 16 tys. ha – dwukrotną powierzchnię Manhattanu albo kwadrat o boku 12,6 km. Będzie potrzebował dwa razy więcej prądu, niż zużywa cały stan z 3,5 mln mieszkańców. Prąd ma powstawać w budowanych od podstaw elektrowniach na gaz, co ma uchronić przed awariami zasilania i wyższymi rachunkami za energię elektryczną.

Tylko gdzie tu sens, skoro region jest naznaczony suszą? Leżące po sąsiedzku Wielkie Jezioro Słone to amerykańska wersja Morza Aralskiego. Szybko wysycha, bo woda z wpadających do niego rzek zabierana jest do podlewania pól. Tafla się kurczy, odsłania się dno, a wiatry wzniecają toksyczne pyły, którymi oddychają mieszkańcy pobliskiego Salt Lake City. Stratos tylko się dołoży do tego kryzysu ekologicznego. Ciepło wypluwane z jego wywietrzników – które też chłodzą centra – może podnieść temperaturę nawet o 2 st. C za dnia i aż o 6 st. w nocy.

Ty datacentrowcu!

Nic dziwnego, że spłynęły tysiące protestów. Niektóre miały zawierać groźby śmierci skierowane do członków lokalnych władz. Jeśli do zawłaszczania często sielskiego krajobrazu doda się pobór prądu i wody, wibracje wiatraków i okresowe burczenie awaryjnych generatorów, niższą wartość nieruchomości oraz kokosy zbijane przez miliarderów z branży, to wychodzi prosta obserwacja: centra danych są do bani.

Ta konstatacja stała się źródłem globalnej emocji. Tak silnej, że organizującej politykę – w tym kampanię przed listopadowymi wyborami połówkowymi do Kongresu USA oraz do władz stanowych. Bo jeśli podzieleni na wiele sposobów Amerykanie potrafią się dziś w czymś porozumieć, to właśnie w negatywnym odbiorze centrów danych.

Badaczom z University of California i California Institute of Technology wyszło, że emisje związane z rosnącym zapotrzebowaniem energetycznym tylko w Stanach mogą do końca dekady powodować ok. 1,3 tys. przedwczesnych zgonów rocznie. Nie ma podstaw, by wliczać w to pole elektromagnetyczne, fale radiowe czy jakieś „promieniowanie", o którym mówią miejskie i wiejskie legendy. Szacunek obejmuje głównie skutki zanieczyszczenia powietrza w wyniku produkcji dodatkowej energii, zwłaszcza pracy silników spalinowych generatorów włączanych przy spadku zasilania.

Nic dziwnego, że demokratyczny kandydat na gubernatora Florydy ogłasza w swoim spocie: „Nie chcemy przestępczości i centrów danych". W języku amerykańskiej polityki sformułowanie „data center" funkcjonuje jak bolesna obelga. Można powiedzieć o kimś, że jest „datacentrowy". Tak demokratycznego rywala stara się umniejszać republikański kandydat na gubernatora Wisconsin.

Nie wypada centrów popierać. Kto to robił, musi się teraz od swojej datacentrowej przeszłości odciąć. Dotyczy to także Republikanów. Ci, walczący o swoje polityczne życie w terenie, nie oglądają się na Donalda Trumpa, który zachwyca się perspektywami rozwoju sztucznej inteligencji i każe ją nazywać superinteligencją. Znają sondaże i w nosie mają pouczenia, że nie można porzucać planowanych projektów i budów, bo za chwilę w tej wrażliwej dziedzinie Stany zobaczą plecy goniących je Chin. I jeśli jeszcze zupełnie niedawno republikański gubernator Teksasu Greg Abbott rysował świetlaną przyszłość stanu wybrukowaną serwerami, to teraz twierdzi, że ich budowa to wcale nie jest taki dobry pomysł.

W USA centrów danych najwięcej działa w Virginii i właśnie w Teksasie. Od nich zależy koniunktura tego ostatniego stanu, w ciągu najbliższych trzech lat to tam ma być zainstalowana połowa nowej mocy ▶

© KYLE GRILLOT/BLOOMBERG/GETTY IMAGES; NOAH BERGER/GETTY IMAGES

eprasa.pl b8c08e3ae2

▶ obliczeniowej kraju. Tyle że Teksańczykom przestały się podobać i hale, i nowe linie energetyczne, które miałyby serwerownie zasilać prądem. Miejscowi Republikanie liczą się z tym, że właśnie przez zamieszanie wokół centrów danych mogą nie utrzymać władzy w stanie, w którym rządzą od ponad 30 lat.

Symbol dominacji

Wybory w wielu krajach wygrywa się nawet nie tyle w takich Końskich, ile na wsi. W Stanach Demokraci mają nadzieję, że powstające głównie na prowincji centra obrzydzą tam Republikanów. Z sondaży wynika, że ledwie co czwartemu mieszkańcowi teksańskiej wsi podoba się budowanie hal. Zresztą republikańscy aktywiści doraźnie dołączają do tych demokratycznych, by wspólnie oprotestować konkretne inwestycje. Wkurzeni są nie tylko ludzie mieszkający najbliżej. Bo są i tacy, których centra kłują w oczy jako namacalny dowód nadużyć gigantów technologicznych i chciwości ich właścicieli. Gdyby nie było hal, nie byłoby serwisów społecznościowych i uzależnionych od nich dzieci.

Ostatnio podobne poruszenie wśród Amerykanów wywoływały perspektywy związane z eksploatacją gazu łupkowego – też miała dewastować środowisko. Europa mierzyła się z takim napięciem jeszcze wcześniej – na tle rozwoju energetyki jądrowej i w kontekście katastrofy w Czarnobylu. Dla wielu części świata, w tym Afryki, Ameryki Płd. i Azji, to zderzenie zupełnie nowe.

W zeszłym roku w całych Stanach skutecznie oprotestowano lub zablokowano inwestycje za 156 mld dol. Irlandia i Holandia wprowadziły daleko idące ograniczenia dotyczące budowania centrów. W lipcu roczne moratorium na wydawanie pozwoleń środowiskowych dla dużych centrów w całym stanie wprowadziła gubernatorka Nowego Jorku. We wrześniu Tajlandia wstrzymała stawianie 166 obiektów w różnych fazach zaawansowania. W tym samym czasie premier Andy Burnham wykluczył wstrzymanie podobnych inwestycji w Wielkiej Brytanii. Zapowiedział, że dopilnuje, by sąsiedzi centrów odczuli korzyści z ich istnienia.

Powszechnej i wciąż rosnącej niechęci nie mogą ignorować cyfrowi giganci. Budowy finansowane są m.in. za pośrednictwem giełdy. Miały być wzrosty i zyski dla inwestorów, a są trudności. Trzeba było trąbić – suflują niezadowoleni doradcy – o szerokich pożytkach z technologii i o dobrodziejstwach dla lokalnych społeczności. Zamiast tego centra danych stały się symbolem dominacji technologicznej elity i zmanierowanej klasy coraz bogatszych krezusów.

Tęgie umysły próbują szukać odniesień, z czym mamy do czynienia. Maszyny stają się ważniejsze niż potrzeby ludzi czy zwierząt. Ważniejsze wydają się też czynności wcale nie pierwszej potrzeby – gdyby na pstryk wyłączyć sztuczną inteligencję, świat by się przecież nie skończył. Ponadto ziemia rolna, produkująca dobra jak najbardziej materialne, zostaje zamieniona w rezerwuar czegoś, czego nie można wziąć do ręki, a plony zamiast w buszlach na akr czy kwintalach z hektara wyrażane są w tajemniczo wyglądającej liczbie operacji matematycznych na sekundę.

Skoro big techy zawłaszczają terytorium, to może jest to jakaś forma kolonializmu? Niby zapewniają, że tworzą miejsca pracy, ale przecież ich centra są wybitnie zautomatyzowane, więc proporcja etatów i zleceń w stosunku do wykorzystanych zasobów i faktycznych kosztów ponoszonych przez społeczności nie bilansuje się szczególnie zachęcająco. Miejscowi nie potrzebują przecież linii przesyłowych o pojemności, które wielokrotnie przewyższają moc niezbędną dla lokalnych szpitali, urzędów, szkół czy biznesów. Są one niezbędne dla producentów kryptowalut i serwisów sztucznej inteligencji.

Technokolonializm

Czy więc stawiający centra nie oferują paciorków i nie powielają historii z organizacją kolonialnych przyczółków, które kiedyś służyły do plądrowania interioru? Przecież z faktu, że jakaś wieś, gmina czy kraj pozwoliły postawić u siebie hale z serwerami i wzięły na siebie dolegliwości wynikające z ich funkcjonowania, wcale nie wynika, że przejęły know-how produkcji mikroczipów, że kontrolują słane nimi dane oraz że zbudowały własną „suwerenność cyfrową".

Spójrzmy na przykład Nepalu. Tamtejszy rząd został wyniesiony wiosennymi protestami najmłodszych obywateli, niezadowolonych z marazmu starszych pokoleń. Nowa ekipa pod wodzą popularnego rapera Balendry Shaha miała wszystko zmienić. Ale akurat w kwestii rozwoju centrów danych wajchy nie przestawiła. Choćby dlatego, że w Nepalu, na pierwszy rzut oka, efekt tak lubianej przez wielki biznes „synergii" wydaje się gwarantowany. Bo skoro centra potrzebują chłodzenia, to warto je wznosić w chłodnych miejscach, np. wyżej w górach. Potrzebują energii, najlepiej odnawialnej? Nepal prawie cały swój prąd produkuje w hydroelektrowniach na górskich rzekach. Wystarczy postawić więcej zapór. Pomogą przepisy, które nie przewidziały, że może powstać coś takiego jak centra danych i tu – w przeciwieństwie choćby do Unii Europejskiej – inwestorzy nie muszą przedstawiać analiz, jak taki obiekt wpłynie na środowisko.

Tak to przynajmniej wygląda na planie, bo w rzeczywistości zaczynają się schody. Począwszy od spraw tak trywialnych jak fakt, że Nepal nie zakończył jeszcze elektryfikacji i ponad milion obywateli – czy też kilka procent gospodarstw domowych – wciąż czeka na dociągnięcie kabla z prądem. Owszem, kraj miewa elektryczne nadwyżki, bo eksport do Indii i Bangladeszu idzie głównie w okresie monsunowych deszczów, gdy gwałtownie podnosi się poziom i przepływ górskich rzek. Ale numer z zamienieniem eksportu prądu na eksport mocy obliczeniowej może być trudny do utrzymania w okresach bezdeszczowych, gdy Nepal zmaga się z brakami wody do... produkcji prądu.

Nie można też zapominać o geopolitycznym suple: zasilające głównie amerykańskie komputery nepalskie elektrownie wodne stoją blisko chińskiej granicy, budowane są za chińskie pieniądze i z wykorzystaniem chińskich technologii. Poza tym Nepal jako kraj na dorobku uzależniony jest od rolnictwa obejmującego znaczną część gospodarki. Jak coś się nie uda podczas żniw, to będzie problem z wyżywieniem blisko 30-milionowej populacji. Z kolei rolnictwo ściśle zależy od kondycji środowiska naturalnego, bardzo wrażliwego na zaburzenia (m.in. od formy lasów, które stabilizują gleby na stromych zboczach i chronią przed erozją).

Tego lata widzieliśmy, z czym może się wiązać topnienie lodowców, a sierpniowa lawina spustoszyła system dolin raptem jednej rzeki – nepalskich lodowców i dolin jest więcej. Jedna z powstałych teorii spiskowych powiązała katastrofę z przebudzeniem potężnych stworzeń kryjących się we wnętrzu góry. W ich roli wystąpiły chińskie centra danych, które jakoby ogrzały pobliski lodowiec i doprowadziły – jak to potwory – do jego załamania.

JĘDRZEJ WINIECKI

eprasa.pl b8c08e3ae2



© PEDRO MATTEY/AFP/EAST NEWS, ALEJANDRO BETANCOURT.COM

Naftowy chłopiec

Mało znany biznesmen Alejandro Betancourt zawarł niedawno z Donaldem Trumpem „największą umowę naftową w historii". I stał się najważniejszym człowiekiem w Wenezueli.

ŁUKASZ WÓJCIK

Kryzys po sfałszowanych wyborach prezydenckich w 2018 r., a w samym środku wydarzeń Alejandro Betancourt. Amerykanie w styczniu tego roku porywają prezydenta Nicolasa Maduro, Betancourt trzyma rękę na pulsie. Donald Trump ogłasza „największą umowę naftową w historii świata" – oczywiście zawartą z Betancourtem. Cały czas mówimy o jednej osobie, której głosu nawet nie sposób odnaleźć w mediach czy w internecie. Jak to się stało, że ten nieznany szerzej 46-latek z Caracas stał się najpotężniejszą osobą w Wenezueli?

W pierwszym przypadku chodziło o zwykłe oszustwo. Chwiejący się reżim Maduro zorganizował nibygłosowanie, przed którym powsadzał opozycjonistów do więzień, rozpętał kampanię oszczerstw w państwowych mediach, a na koniec i tak musiał sfałszować wyniki wyborów. Gdy w styczniu 2019 r. Maduro został zaprzysiężony na kolejną kadencję, kontrolowany przez opozycję parlament uznał go za uzurpatora, a kilka dni później szef parlamentu Juan Guaidó ogłosił, że przejmuje obowiązki prezydenta. Tak zaczęły się krytyczne dla Wenezueli trzy miesiące dwuwładzy.

I tu pojawia się Betancourt. Beneficjent kilku już ustawionych kontraktów rządowych, o których jeszcze później, występuje w roli pośrednika między opozycją i Maduro. Leci nawet do Moskwy, by prosić Władimira Putina o rozładowanie napięcia w Wenezueli. Początkowo reżim idzie na taki układ, uznając Betancourta za „swojego człowieka". I początkowo Betancourt chyba rzeczywiście tak o sobie myślał – do czasu, aż kolejne państwa, w tym Stany Zjednoczone, zaczęły uznawać Guaidó za prezydenta. Jak pisze „Washington Post", Betancourt nagle stał się sponsorem opozycji, prawdopodobnie nie za swoje pieniądze. Gdy Maduro zorientował się, że pośrednik zmienił strony, dał mu wybór: albo wyjazd, albo więzienie. Po kilku dniach Betancourta nie było już w kraju.

Teraz przenosimy się siedem lat do przodu. Trump ustawia wzdłuż wenezuelskich wybrzeży prawdziwą armadę – ponad 20 okrętów, z lotniskowcem USS „Gerald R. Ford" na czele. Napięcie rośnie przez cały grudzień, Amerykanie zatapiają kilkanaście wenezuelskich statków, oskarżając rybaków o przemyt narkotyków. 3 stycznia 2026 r. nad ranem miejscowego czasu Trump daje rozkaz do ataku. Po półgodzinnym bombardowaniu w samym środku Caracas, nieopodal prezydenckiej willi Fuerte Tiuna, lądują amerykańscy żołnierze z Delta Force. Gdy już jaśnieje, Trump ogłasza, że Maduro został porwany i wkrótce wyląduje w USA, gdzie zostanie oskarżony o „narkoterroryzm".

Nie odbyło się to bez udziału Betancourta. Po sprawie z opozycją tułał się po świecie, ale wkrótce do ojczyzny ściągnęła go wiceprezydent Delcy Rodríguez, odpowiedzialna za sprawy gospodarcze – uważa Betancourta za speca od przemysłu naftowego, który uratuje ten sektor z zapaści (przy okazji – jak twierdzi dziennikarka śledcza „El País" María Martín – Rodríguez właśnie wtedy zbiła fortunę na łapówkach od amerykańskiego koncernu naftowego Chevron, w czym pośredniczył wiadomo kto). To się skończyło, gdy Betancourt musiał wyjechać ▶

eprasa.pl b8c08e3ae2

▶ z kraju, aby ratować swój europejski majątek, o czym zaraz. Ale z Delcy byli w nieprzerwanym kontakcie.

„Wall Street Journal" pisze, że w ostatnich dniach przed porwaniem Maduro Betancourt i Rodríguez rozmawiali codziennie, w trakcie kluczowej nocy – co najmniej siedmiokrotnie. Według amerykańskiej gazety Betancourt dostał z Waszyngtonu dwa zadania: zadbać o stan psychiczny wiceprezydent w czasie kryzysu i wybadać ją w sprawie, a być może i skłonić do współpracy z Amerykanami. Tej nocy Delcy Rodríguez przechodzi prawdziwą metamorfozę – z zagorzałej Maduro-patriotki staje się potulną wykonawczynią amerykańskich życzeń.

Alejandro Betancourt López rodzi się w 1980 r. w Caracas. Rodzina z klasy średniej, można by rzec: inteligencja. Ojciec jest lekarzem i pianistą amatorem, matka zajmuje się projektowaniem biżuterii. Jeden z przodków Alejandro w XIX w. był nawet prezydentem Wenezueli. Rodziców stać, aby syn chodził do najlepszych szkół. Najpierw jest więc elitarny Instituto Cumbres, prowadzony w Caracas przez Legion Chrystusa. Potem Suffolk University w Bostonie i w końcu Oxford.

Jednocześnie Wenezuela przeżywa swoje najlepsze naftowe lata. Kraj ten już w 1929 r. był największym producentem ropy na świecie, ale był też w praktyce amerykańską kolonią – niemal wszystkie zyski z tego biznesu szły do USA. Po wojnie nieco się to zmieniło na korzyść Wenezuelczyków, a w 1976 r. prezydent Carlos Andrés Pérez znacjonalizował cały sektor naftowy. Amerykanie na początku spanikowali, ale po kilku latach wrócili – już jako kontrahenci. Na lata 80. i 90. przypada szczyt wenezuelskiego wydobycia przy zgodnej współpracy amerykańskich nafciarzy i lokalnych elit, ale zasadniczo bez udziału w zyskach po stronie reszty społeczeństwa. Wtedy pojawia się Hugo Chávez z planem wielkiej rewolucji socjalnej – rewolucji boliwariańskiej – zasilanej pieniędzmi z ropy.

Chávez potrzebuje młodych, przedsiębiorczych Wenezuelczyków, nieumoczonych w stare układy. Wtedy do kraju, świeżo po oksfordzkich studiach, wraca Alejandro. Wpada w wir pracy dla państwowych koncernów, w tym dla wenezuelskiego Orlenu, czyli PDVSA. Zostaje Bolichico – Boli od rewolucji boliwariańskiej Cháveza i chico, czyli chłopiec. To grupa młodych, często wykształconych za granicą przedsiębiorców, zazwyczaj wywodzących się z wyższych klas, którzy dorobili się na kontraktach rządowych przyznawanych w niejasnych okolicznościach. „Chávez zrobił wiele dla biednych, ale musiał też opłacić się elitom" – pisze María Martín.

Betancourt najlepiej uosabia Bolichico. Najpierw w niejasnych okolicznościach zaczyna własny biznes – handluje turbinami wiatrowymi. W 2009 r. jego założona kilka tygodni wcześniej firma Derwick Associates dostaje od państwa kontrakt na budowę 12 elektrowni. Wenezuela, mimo swojego energetycznego bogactwa, doświadcza wtedy regularnych black-outów. Z zamówionych elektrowni powstaje tylko siedem, i to po wieloletnich opóźnieniach. Amerykański think tank ProEnergy ocenia, że kwota, jaką państwo zapłaciło za te elektrownie, była niemal dwukrotnie wyższa od rynkowej. A to był tylko pierwszy z wielkich rządowych kontraktów, które trafiły do kieszeni Betancourta.

Co można zrobić z tak zarobionym majątkiem? Tu nasz bohater również wpisuje się we wzorzec Bolichico – zaczyna wyprowadzać pieniądze za granicę, kupując za nie ekskluzywne nieruchomości. Można je długo wyliczać: zamek El Alamin pod Toledo w Hiszpanii (1440 ha), trzy apartamenty w Madrycie, dwa w londyńskiej dzielnicy Chelsea, willa w Oxfordshire, dwupoziomowe mieszkanie na Manhattanie itd. Do tego kilka firm niezwiązanych z biznesem energetycznym, np. jedna z najpotężniejszych marek okularów przeciwsłonecznych Hawkers.

Wszystkie te majętności zwracają w końcu uwagę prokuratorów. Tak się zaczyna sądowa epopeja Betancourta – szwajcarskie śledztwo w sprawie prania brudnych pieniędzy i korupcji, przeszukania w hiszpańskich nieruchomościach. W końcu dochodzenie amerykańskiego Departamentu Sprawiedliwości, w rozmowach z którym Betancourta reprezentuje dwoje znanych z wielkiej polityki prawników: Rudy Giuliani, legendarny burmistrz Nowego Jorku, blisko związany z Partią Republikańską i z samym Trumpem, oraz Pam Bondi, która kilka lat później za sprawą Trumpa zostanie prokurator generalną USA. Ostatecznie Szwajcarzy wystawiają za Betancourtem list gończy, który zatrzyma go w Wielkiej Brytanii (brytyjskie obywatelstwo załatwił sobie już wcześniej) – kilkanaście miesięcy spędza tam w swoim ekskluzywnym areszcie domowym.

Aż przychodzi 2026 r. i porwanie Maduro. Pierwsza część planu – zastąpienie porwanego prezydenta kimś uległym (Delcy Rodríguez) – udaje się Amerykanom śpiewająco. W drugiej części Waszyngton postanawia wyciągnąć korzyści z tak ryzykownej akcji. Prezydent Trump jeszcze w styczniu zaczyna prywatnie, a zaraz potem publicznie przekonywać big oil, czyli takich amerykańskich gigantów naftowych, jak ExxonMobile, ConocoPhillips czy wspomnianego Chevrona, do inwestycji w Wenezueli, która miała się stać naftowym eldorado.

Słabo to idzie, firmy big oil dobrze pamiętają, jak się skończyła ich ostatnia przygoda w tym kraju, kiedy w 2007 r. Hugo Chávez bezceremonialnie wymusił na nich oddanie wenezuelskich oddziałów bez odszkodowania. Został tylko Chevron, godząc się na straty – tym większe, że w latach 2019–23 za sprawą Trumpa Stany Zjednoczone w ogóle nie kupowały ropy z Wenezueli. Dziś amerykańscy nafciarze twierdzą, że niewiele się zmieniło. Zapuszczona infrastruktura wymaga miliardowych inwestycji. System korupcyjny nie zniknął z kraju wraz z Maduro. Sytuacja polityczna w końcu też nie jest jasna. Trump więc nalegał i czekał, aż w końcu postanowił załatwić sprawę po swojemu.

I tu pojawia się kto? Kierowana przez Pam Bondi amerykańska prokuratura już na początku lutego bieżącego roku skierowała list do Szwajcarów, aby ci odpuścili Betancourtowi i wycofali list gończy. Amerykanka miała przekonywać, że chodzi o bezpieczeństwo narodowe USA. Szwajcarzy odpuścili w maju, w czerwcu Betancourt był już w Waszyngtonie, według niektórych źródeł miał nawet odwiedzić Biały Dom. A 28 sierpnia Trump, z pominięciem big oil, ogłosił „największą umowę naftową w historii świata" – i nie zgadniecie, kto okazał się bezpośrednim kontrahentem amerykańskiego rządu...

Najpierw jednak, co jest w tej umowie. Do końca nie wiadomo, nie została w całości opublikowana. Ale obraz, jaki się wyłania ze strzępków, które trafiły do mediów (chwalili się głównie ludzie z administracji Trumpa, Wenezuelczycy próbowali ukrywać szczegóły tego kolonialnego dyktatu), i z naszych rozmów,

eprasa.pl b8c08e3ae2



Sekretarz energii USA Chris Wright z p.o. prezydentem Wenezueli Delcy Rodríguez podczas konferencji prasowej w Caracas na temat wielkiej umowy naftowej; nie wspomniano przy tej okazji, że na sto lat.

jest następujący. Amerykanie – kto konkretnie, o tym zaraz – mają kupić 35 proc. udziałów w firmie North America Blue Energy Partners (NABEP), należącej do niejakiego Alejandro Betancourta. W efekcie zyskają prawo do zakupu 20 proc. jej naftowej produkcji po kosztach, czyli w wenezuelskim przypadku ok. 30 dol. za baryłkę (przy rynkowej cenie ok. 100 dol.). Będą też mieli prawo pierwokupu pozostałej produkcji NABEP po cenach „ustalanych bilateralnie", czyli zapewne również niższych od rynkowych.

O jakiej skali mówimy? USA, dziś największy producent ropy naftowej na świecie, mają zasoby tego surowca oceniane na ponad 80 mld baryłek. Wenezuela – udowodnione zasoby 300 mld baryłek – najwięcej na świecie, druga w tym zestawieniu jest Arabia Saudyjska – prawie 270 mld baryłek. A 17 wenezuelskich złóż, na które firma Betancourta dostała właśnie koncesję, zawiera ponad 65 mld baryłek, czyli niewiele mniej niż wszystkie amerykańskie złoża. Wokół rozmiarów wenezuelskich złóż jest sporo kontrowersji, część geologów podważa najnowsze dane, inni wskazują, że często chodzi o tzw. ciężką ropę, która jest droższa w wydobyciu i przerobie. Niemniej jednak chodzi o fortunę czekającą na ekstrakcję.

Teraz o stronach tej transakcji. Amerykański rząd zgodnie z prawem nie może się finansowo angażować w tego typu przedsięwzięcia. Trump znalazł jednak furtkę. W Pentagonie, zarządzanym radośnie przez Pete'a Hegsetha, jest komórka, która nazywa się Office of Strategic Capital (OSC, Biuro Kapitału Strategicznego) i za cel stawia sobie „przyciąganie i wspieranie prywatnych inwestycji w krytyczne technologie i łańcuchy dostaw związane z bezpieczeństwem narodowym" (cytat ze strony OSC). Ale niedawno w tym Biurze wymieniono cały dział prawny i ten nowy uznał, że rządowa inwestycja w szemrany biznes naftowy z Wenezueli jakoś mieści się w tej definicji.

Równie barwnie jest po drugiej stronie tej transakcji. Wenezuela ma historyczną traumę związaną z udzielaniem Amerykanom koncesji na wydobycie ropy naftowej. Koncesje na poszukiwanie ropy, przyznane w 1907 r. wenezuelskim pośrednikom, trafiły ostatecznie w amerykańskie ręce na 50 lat i wywołały bunt społeczny, który z czasem stał się aktem założycielskim demokratycznej opozycji. W związku z tym w wenezuelskiej konstytucji jest zapis wprost zakazujący przyznawania takich koncesji na okres dłuższy niż 25 lat.

Nie przypadkiem Delcy Rodríguez, powiadamiając rodaków o „najlepszej umowie naftowej w historii świata", nie wspomniała, że opiewa ona na 100 lat. A jako zawarta formalnie z wenezuelskim podmiotem prywatnym (choć w podatkowej jurysdykcji Barbados) – czyli z firmą Betancourta – nie podlega analizie i zatwierdzeniu przez parlament. We wspomnianym powiadomieniu Delcy Rodríguez trzykrotnie wspomniała natomiast o „100 mld dol.", jakie w zamian Amerykanie mają zainwestować w wenezuelską gospodarkę (teraz proszę sobie wyobrazić te wieloletnie plany inwestycyjne, nad którymi Trump siedział po nocach i wyszło mu akurat 100 mld dol.).

Trump, powiadamiając swoich rodaków o umowie z Betancourtem, tłumaczył, że musiał tak zrobić, bo wcześniej czy później wenezuelską ropą mogli się zainteresować np. Chińczycy. Nie wiemy, jakie jest w tej sprawie zdanie Betancourta, bo ten wciąż milczy. Ale to zrozumiałe, bo ma zapewne dużo do zarobienia i do stracenia. Przecież zawsze można poprosić Szwajcarów, aby znów wysłali za Bolichico list gończy.

Betancourt wkroczył na niebezpieczną drogę – stał się latynoamerykańskim odpowiednikiem rosyjskich oligarchów z lat 90. To znany już mechanizm: słabe państwo powierza swe klejnoty surowcowe sprawnym „menedżerom", którzy mogą nimi obracać i zarabiać krocie, ale muszą też oddawać państwu stosowny procent. W ten sposób często podtrzymują reżim, który prędzej czy później się nimi zainteresuje.

Tym bardziej że w interesie korzystających z tej okazji Amerykanów jest zabetonowanie układu politycznego, który pozwala na grabież majątku narodowego w zamian za utrzymanie władzy. Trudno więc liczyć na demokratyzację Wenezueli, jeśli Amerykanie dalej mają kupować tam ropę naftową po kosztach. Bo gdyby do takiej demokratyzacji doszło, zaczęłyby się pytania o „największą umowę naftową w historii świata", a być może i jej rewizja.

Na razie jednak Betancourt korzysta z kolejnej okazji, jaką dał mu los, czyli prezydent USA – w Wenezueli mówią już na niego Trumpochico, chłopiec Trumpa. W amerykańskim porcie Houston na transport morski do Wenezueli czeka już 60 instalacji wiertniczych. A obsługą prawną tego przedsięwzięcia mają się zająć trzy prawniczki, które jeszcze w marcu pracowały dla brytyjskiej prokuratury w Serious Fraud Office (Biuro ds. Poważnych Oszustw). Wcześniej Sara Chouraqui, Elizabeth Collery i Victoria Jacobson zajmowały się m.in. śledztwem w sprawie prania brudnych pieniędzy przez firmę Betancourta, gdy ten jeszcze przebywał w londyńskim areszcie domowym. Dziś same pracują w firmie Betancourta.

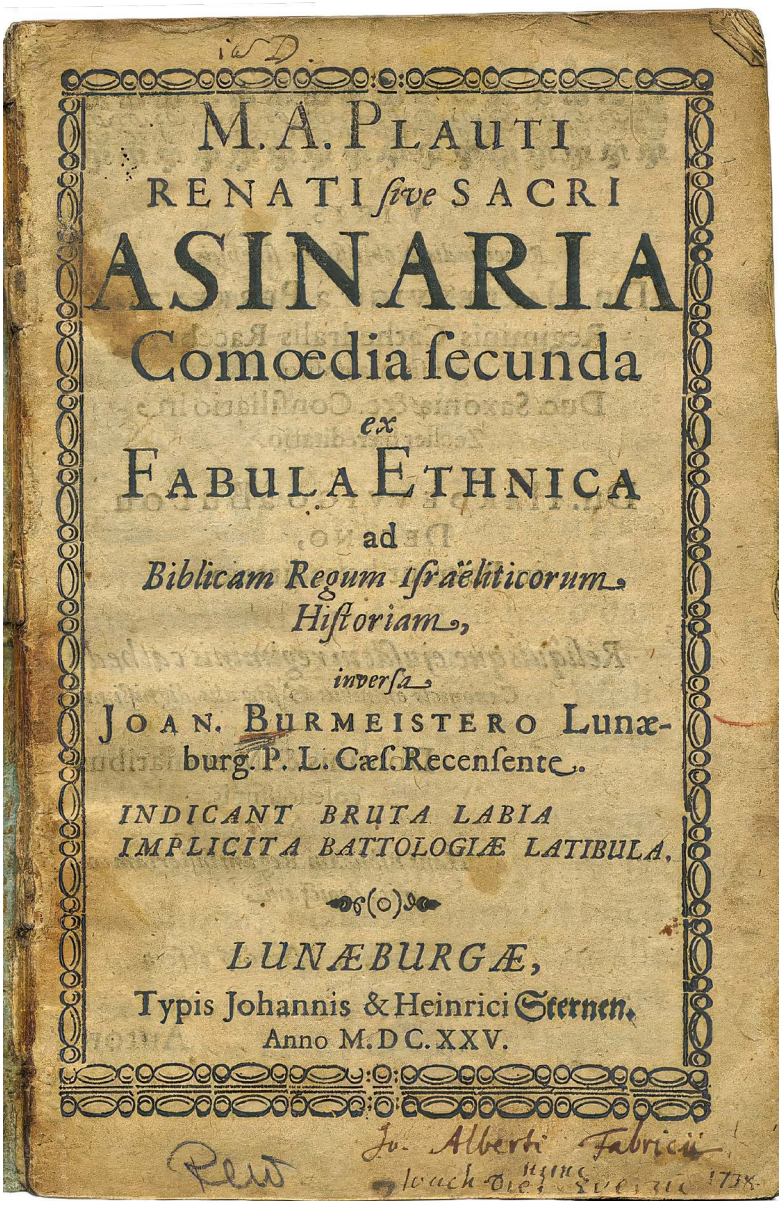
ŁUKASZ WÓJCIKW

© LEONARDO FERNANDEZ VILORIA/REUTERS/FORUM

eprasa.pl b8c08e3ae2

Sacrum na sterydach

Sprośna komedia Plauta najpierw stała się opowieścią biblijną. Później jej egzemplarz wędrował po Europie, aż w końcu zniknął. Na szczęście stało się to w warszawskiej Bibliotece Narodowej.


M. A. PLAUTI
RENATI *sive* SACRI
ASINARIA
Comœdia secunda
ex
FABULA ETHNICA
ad
Biblicam Regum Israëliticorum Historiam,
inversa
JOAN. BURMEISTERO Lunæburg. P. L. Cæs. Recensente.
INDICANT BRUTA LABIA
IMPLICITA BATTOLOGIÆ LATIBULA.
LUNÆBURGÆ,
Typis Johannis & Heinrici Sternen.
Anno M. D C. XXV.
Ex Libris Joh. Alberti Fabricii

Strona tytułowa „Asinarii" Plauta z przełomu III i II w. p.n.e. przerobionej w 1625 r. przez pastora Johannesa Burmeistera z Lüneburga, który ukrył w łacińskim cytacie inicjały I.B.L. Na dole sygnatury właścicieli tomu.

AGNIESZKA KRZEMIŃSKA

Tymoteusz Mikołajczak z Zakładu Starych Druków zajmował się przenoszeniem informacji ze starych kart katalogowych książek z XVII w. do elektronicznej bazy, przy okazji sprawdzając i uzupełniając opisy, gdy trafił na wydaną w 1625 r. w Lüneburgu, liczącą 27 kart książeczkę „Asinaria". Tytuł i nazwisko autora, Johannesa Burmeistera, niewiele mu mówiły. W katalogach europejskich znalazł niektóre dzieła tego XVII-wiecznego łacińskojęzycznego niemieckiego poety, ale po jego przeróbkach komedii Plauta ślad niemal się urywał. – *Szukając informacji w nowszej literaturze, trafiłem na monografię o Burmeisterze autorstwa znanego mi prof. Mike'a Fontaine'a, dzięki której zorientowałem się w potencjalnej doniosłości odkrycia dla XVII-wiecznej literatury nowołacińskiej* – mówi bibliotekarz. – *Nie miałem jednak pewności, czy nasz egzemplarz pochodzi z biblioteki Johanna Alberta Fabriciusa, o którym pisał amerykański badacz, ani czy ostatnio nie odnaleziono innego jej egzemplarza. Napisałem więc do niego.*

7 września wiadomość dotarła za ocean. – *Kiedy przeczytałem maila, odstawiłem drinka i wpatrywałem się w stronę tytułową skanu, myśląc: „Więc ta książka naprawdę istnieje!"* – wspomina Fontaine. Trudno mu się dziwić. Od kilkunastu lat tropił zaginione komedie Burmeistera – jedną odnalazł w Kopenhadze, drugiej szukał bezskutecznie, dlatego w książce wydanej w 2015 r. spróbował zrekonstruować tekst, którego nie znał, formułując 33 przewidywania dotyczące fabuły, postaci i języka. Nie przypuszczał, że kiedyś przyjdzie mu sprawdzić, ile z nich było trafnych. Tymczasem odpowiedź od lat leżała w Warszawie. Dzięki prawdopodobnie jedynemu zachowanemu egzemplarzowi „Asinarii" Fontaine dostał szansę, o jakiej badacz zaginionego tekstu może tylko marzyć – skonfrontowania własnych domysłów z oryginałem.

Żeby zrozumieć ekscytację filologa z Cornell University, trzeba wyjaśnić, dlaczego luterański pastor 400 lat temu postanowił przerobić sprośną rzymską komedię na historię biblijną.

Titus Maccius Plautus, jeden z najważniejszych rzymskich komediopisarzy, żył na przełomie III i II w. p.n.e. Jego bohaterowie oszukują, piją, pożądają cudzych żon i kochanek, wyłudzają pieniądze, a sprytni niewolnicy wodzą za nos panów. Fabuły czerpał z greckiej komedii i przerabiał je dla rzymskiej

eprasa.pl b8c08e3ae2

publiczności. Jego sztuki stały się jednym ze źródeł europejskiej komedii – inspirowali się nimi choćby Szekspir czy Molier.



Rzymianin Plaut miał wielu naśladowców. Byli wśród nich i Szekspir, i Molier.

Nawróceni rozpustnicy

„Asinaria", czyli „Komedia o osłach", należy do tych bezwstydnych. Młody Argyrippus zakochuje się w prostytutce Philaenium, ale żeby zapewnić sobie jej względy na rok, potrzebuje 20 min (starożytnych jednostek pieniężnych). Pieniędzy nie ma, pomaga mu więc ojciec, który w zamian chce spędzić noc z dziewczyną. Do tego dochodzą chciwa stręczycielka, zakochany rywal i żona, która w końcu się dowiaduje, co wyprawia jej mąż. Seks, pieniądze, oszustwo i małżeńska katastrofa – trudno o materiał bardziej odległy od budującej literatury religijnej. Johannes Burmeister uważał inaczej.

Dla luterańskiego pastora, nauczyciela i łacińskiego poety znajomość autorów antycznych była podstawą wykształcenia. Tak jak inni humaniści przerabiał klasyków, by opowiadać historie chrześcijańskie. Poszedł jednak dalej, stosując metodę inversio, która polegała na zachowaniu konstrukcji pierwowzoru, metrum, odpowiedników postaci i języka. – *To była parodia sacra na sterydach* – żartuje Fontaine. – *Burmeister uwielbiał gry słowne, ale to nie była wyłącznie zabawa, bo z innych jego tekstów wynika, że religię traktował poważnie. W przedmowie do przeróbki „Aulularii" Plauta pisał, że pragnie rozwijać chrześcijańską pobożność swoich uczniów. Inversio była więc jednocześnie komedią, religijną dydaktyką, ćwiczeniem z łaciny i popisem językowej wirtuozerii.*

W przypadku „Asinarii" Burmeister wykorzystał motyw z Pierwszej Księgi Samuela, w której Dawid pragnie poślubić Michal, córkę Saula, a król w zamian żąda od niego stu napletków Filistynów, licząc, że niewygodny zalotnik zginie z rąk wroga. Dawid wraca żywy – i przynosi ich aż dwieście. U Burmeistera Argyrippus stał się Dawidem, Philaenium to Michal, a seksualno-finansowa intryga rzymskiej farsy została przeniesiona na dwór Saula i w realia wojny z Filistynami. – *Myślę, że interesowała go też ludzka natura. Chciwość, zazdrość, ambicja i nadużywanie władzy pozostawały te same* – podkreśla amerykański badacz. – *Sztuka prowadzi zresztą historię Dawida i Michal znacznie dalej, przez ich rozłąkę i małżeństwo Michal z Phaltielem aż po ponowne spotkanie małżonków.* Fontaine sądził, że znając Plauta, Biblię i inne dzieła Burmeistera, może przewidzieć, jak pastor dokonał tej transformacji. Mylił się częściej, niż przypuszczał.

Gdy ochłonął po otrzymaniu skanów z Warszawy, sprawdził dwuwierszowe motto, jakim Burmeister opatrywał swoje dzieła, z charakterystycznymi inicjałami I–B–L. Potem przeskoczył do końca pierwszej sceny pierwszego aktu, gdzie znajdowały się trzy wersy, co do których rekonstrukcji był szczególnie pewny. Wszystkie trzy przewidział źle. – *Nie mogę jeszcze podać ostatecznego wyniku, ale pomyliłem się w ponad połowie moich 33 przewidywań* – przyznaje bez żalu.

Jedna z najbardziej spektakularnych pomyłek dotyczyła napletków. Fontaine wiedział, że Burmeister musi jakoś połączyć 20 min z komedii Plauta z osobliwą ceną, jakiej Saul zażądał za rękę córki. Sądził, że zamiast prawdziwych trofeów bohaterowie sporządzą fałszywe ze zwierzęcych skór. Burmeister wymyślił jednak inne oszustwo – Dawid zdobywa w walce 200 prawdziwych napletków Filistynów, a jego rywal Phaltiel kupuje od żołnierzy kolejnych sto, za co płaci 20 min z Plauta, i próbuje przedstawić cudze trofea jako dowód własnej waleczności. – *Napletki okazały się prawdziwe, fałszywe jest bohaterstwo* – śmieje się Fontaine.

Radosne błądzenie

W sumie w sztuce pojawia się 300 napletków, o których bohaterowie rozmawiają bez większego skrępowania. Burmeister do historii o seksie i pieniądzach wprowadził wojsko, zdobywanie trofeów, ambicję i kupowanie cudzej chwały. Polityki jest tu zresztą znacznie więcej. Jeden z zawiedzionych zalotników mówi, że król powinien podlegać prawu, traktować bogatych i biednych jednakowo oraz wysłuchać obu stron, zanim wyda wyrok. Według Fontaine'a piszący podczas wojny trzydziestoletniej Burmeister mógł komentować w ten sposób współczesne problemy władzy i wojennej sławy.

Czasami zmiany są niezwykle subtelne. Plaut porównuje interes prostytutek do łapania ptaków: kobiety są przynętą, a mężczyźni ptakami, które należy zwabić i oskubać. Burmeister przeniósł metaforę na dwór królewski – przynętą stała się łaska władcy, a ptakami są dworzanie zabiegający o jego względy. – *Każdy, kto zna układy biurowe i podlizywanie się szefowi, nadal doskonale rozumie ten dowcip* – mówi filolog i podsumowuje: – *Spektakularnie myliłem się w szczegółach, miałem jednak rację co do tego, jak pracował.*

Ta konfrontacja rekonstrukcji z oryginałem ma szersze znaczenie. Historycy, archeolodzy i filolodzy nieustannie próbują odtwarzać z fragmentarycznych źródeł wydarzenia, teksty czy sposób myślenia ludzi z przeszłości. Przypadek „Asinarii" przypomina, jak ostrożnie trzeba traktować te rekonstrukcje. XVII-wieczny pastor okazał się bardziej pomysłowy, przewrotny i nieprzewidywalny niż badacz, który poświęcił mu lata, był w stanie sobie wyobrazić.

Burmeister większość seksualnych żartów Plauta z „Asinarii" usunął, co przy przerabianiu rzymskiej farsy na historię biblijną nie powinno specjalnie dziwić. Ale do odziedziczonego po Plaucie tekstu dopisał dwie własne sceny, z których jedna jest zdaniem Fontaine'a bardziej obsceniczna niż cokolwiek w antycznym pierwowzorze. – *Żona gospodarza zaczyna się dobierać do żołnierza, powstrzymuje własnego męża, wytyka mu impotencję i grozi, że jeśli nie spełni małżeńskich* ▶

© BIBLIOTEKA NARODOWA, BETTMANN ARCHIVE/GETTY IMAGES

eprasa.pl b8c08e3ae2

▶ *obowiązków, w łóżku zastąpi go żołnierz. Wszystko okraszone jest seksualnymi grami słów. I to napisał luterański pastor? Co to właściwie był za facet? Chciałbym go spotkać* – śmieje sie Fontaine.

Najwyraźniej jednak dla autora nie czyniło to z tekstu niestosownej lektury dla chrześcijańskiego odbiorcy, skoro „Asinarię" zadedykował dwóm członkom kapituły katedralnej w Ratzeburgu. Poza tym teatr łaciński był ważnym elementem XVII-wiecznej edukacji. Sztuka pomyślana była zresztą z myślą o wystawieniu – ma listę postaci, prolog, podział na akty i sceny. – *Jeśli pokazywano ją w męskiej szkole, kobiece postacie musieli grać chłopcy. Nie ma jednak dokumentu potwierdzającego, że którakolwiek z komedii Burmeistera rzeczywiście trafiła na scenę. Sam chętnie bym ją zobaczył. Najlepiej w Warszawie* – żartuje Fontaine. Badacz chce teraz przygotować krytyczne wydanie odnalezionej sztuki i jej przekład. Najpierw jednak zamierza dokładnie przebadać książeczkę, która ma własną historię, niemniej niezwykłą niż tekst, który zawiera.

Zwyczajna niewidzialność

Habent sua fata libelli (Książki mają swoje losy) – głosi łacińska sentencja. Warszawska „Asinaria" jest tego wyjątkowo dobrym przykładem. Ma zaledwie 27 nienumerowanych kart, ale jest kompletna i w dobrym stanie. Nie ma w niej podkreśleń, dopisków ani marginaliów, które zdradzałyby, co myśleli o niej dawni czytelnicy, są za to inne ślady pozwalające odtworzyć jej niezwykłą wędrówkę po Europie. – *W prawym dolnym rogu strony tytułowej zapisano nazwiska właścicieli, Johanna Alberta Fabriciusa i Joachima Dietricha Eversa. Na wewnętrznej stronie przedniej oprawy zachowała się naklejka z Biblioteki Cesarskiej w Petersburgu, dwie wcześniejsze sygnatury, z których jedna pochodzi prawdopodobnie z Biblioteki Załuskich, a na stronie tytułowej oznaczenie „Rew.", świadczące, że książka wróciła do Polski w ramach rewindykacji zbiorów wywiezionych do Rosji* – wylicza Mikołajczak.

Te niepozorne znaki są streszczeniem historii książki, która najpierw należała do niemieckich uczonych, by potem trafić do zbiorów braci Załuskich, czyli jednej z największych bibliotek XVIII-wiecznej Europy, liczącej u schyłku istnienia ok. 400 tys. woluminów. Po upadku insurekcji kościuszkowskiej Rosjanie wywieźli jej zbiory do Petersburga. Część książek zaginęła już podczas transportu, inne przez ponad sto lat pozostawały w Rosji. „Asinaria" miała szczęście, bo po odzyskaniu przez Polskę niepodległości wróciła do Warszawy na mocy traktatu ryskiego z 1921 r.

Największa próba przyszła podczas drugiej wojny światowej, kiedy Niemcy systematycznie niszczyli warszawskie biblioteki i archiwa. Jedyny znany dziś egzemplarz „Asinarii" uniknął tego losu być może dlatego, że nie był polonicum. Jako obcy druk mógł znaleźć się poza zespołami najcenniejszych zbiorów specjalnych zgromadzonych w gmachu Biblioteki Ordynacji Krasińskich przy ul. Okólnik i spalonych przez Niemców po upadku powstania warszawskiego.

To samo, co być może pomogło książce przetrwać, mogło później sprawić, że tak długo pozostawała niewidoczna dla badaczy. – *Głównym kryterium zarówno w gromadzeniu zbiorów, jak i udostępnianiu informacji o nich jest możliwość uznania publikacji za polonicum* – tłumaczy Mikołajczak. Obce druki z XVII i XVIII w. musiały więc znacznie dłużej czekać na przeniesienie opisów z kart do elektronicznego katalogu. Ich liczba jest tak duża i trudna do oszacowania, że nienotowane w wielkich bazach i katalogach pamflety z tego okresu, dysertacje czy druki okolicznościowe, zdarzają się niemal co tydzień. Unikatowe dzieło, jak jedyny egzemplarz sztuki Burmeistera, to prawdziwy biblioteczny rarytas.

Stracony lunch

W historii „Asinarii" jest jeszcze jeden przewrotny epizod. W 2011 r. Fontaine przyjechał do Europy tropem autora przeróbek Plauta. W Kopenhadze oglądał odnaleziony egzemplarz „Aulularii", odwiedził związane z nim miejsca w Niemczech, a potem pojechał do Warszawy na konferencję. Opowiadał tam o kopenhaskim odkryciu i o osobliwej metodzie inversio. Wiedział już, że Burmeister przerobił także „Asinarię", którą uważał za zaginioną. – *A w tym czasie książka była kilka kilometrów ode mnie. Mogłem wsiąść do taksówki, pojechać do Biblioteki Narodowej i przeczytać ją podczas przerwy na lunch* – uśmiecha się.

„Asinaria" istniała więc w dwóch światach. Dla bibliotekarzy była jednym z ogromnej liczby starych druków, którego dawna karta katalogowa czekała na pełne opracowanie. Dla badacza – utraconym dziełem znanym jedynie z dawnych wzmianek. Dopiero teraz te dwa światy zostały połączone. „Zaginione" nie zawsze oznacza bowiem „nieistniejące". Książka może stać na półce, mieć sygnaturę i kartę katalogową, a mimo to nie istnieje. Odkryciem nie jest znalezienie, lecz rozpoznanie, czym jest i jakie ma znaczenie.

Odnalezienie tego dzieła nie sprawi, że trzeba będzie przepisać historię europejskiej literatury. Eksperymenty Burmeistera okazały się ślepą uliczką, w dodatku pastor tworzył w czasach, gdy literatura europejska zaczęła porzucać łacinę na rzecz języków narodowych. A jednak jego inversio należy do tradycji, która okazała się wyjątkowo żywotna. On nakładał Biblię na Plauta, a dziś pisarze, dramaturdzy i filmowcy wracają do Homera, tragedii greckich czy mitów, zmieniając perspektywę i szukając w starych fabułach problemów własnej epoki.

Fontaine zamierza wziąć do ręki książeczkę Burmeistera. Przywołuje historię opowiedzianą przez Pliniusza Młodszego o człowieku, który przybył z Kadyksu do Rzymu tylko po to, by zobaczyć słynnego Liwiusza, a gdy go zobaczył, zawrócił i pojechał do domu. – *Czuję się jak ten Hiszpan, tylko zamierzam zostać w Warszawie nieco dłużej niż on, by spotkać Tymoteusza i ludzi z biblioteki, dzięki którym mogłem poznać „Asinarię"*.

Tymczasem rozgląda się za kolejnym zaginionym dziełem Burmeistera. Chodzi o „Mater-Virgo" („Matkę-Dziewicę"). To być może najbardziej karkołomny z jego eksperymentów, ponieważ „Amfitriona" Plauta – komedię, w której Jowisz przybiera postać męża Alkmeny, by dostać się do jej łóżka – przerobił na historię narodzenia Chrystusa.

Egzemplarz „Mater-Virgo" znajdował się niegdyś w Berlinie, ale zaginął po drugiej wojnie światowej. Fontaine podejrzewa, że mógł trafić do Rosji, choć nie ma na to żadnego dowodu. Jeszcze niedawno szanse na odnalezienie wydawały się niewielkie. Tyle że przez lata dokładnie to samo myślał o „Asinarii". – *Nauczyłem się, że ogłaszanie książki zaginioną jest ryzykowne. Czasami po prostu czeka na właściwą osobę, która otworzy katalog.*

AGNIESZKA KRZEMIŃSKA

eprasa.pl b8c08e3ae2

Ten serial dokumentalny ogląda się jak thriller. Jest on jednak przede wszystkim przerażającym obrazem siły populizmu w epoce portali społecznościowych.

Wiśnie kontra prorok



Dzięki „rewolucyjnym" sposobom na covid Didier Raoult mógł nawet zostać prezydentem Francji

MARCIN ROTKIEWICZ

„Prorok z czasów pandemii" – nowy francuski miniserial HBO Max może sprawiać wrażenie niszowej produkcji o tematyce naukowo-medycznej. Jego twórcom udało się jednak tak sprawnie i intrygująco przedstawić pewne wydarzenia z czasów pandemii Covid-19, że powinien zainteresować znacznie szersze grono widzów.

Serial przedstawia historię sześciu osób, które skrzyknęły się w internecie. Łączyła je pasja do nauki. Dwóch członków grupy ma doktoraty z nauk przyrodniczych, a jedyna kobieta w tym gronie – Magali Carcopino-Tusoli – jest doktorką medycyny naczyniowej z marsylskiego szpitala Sainte-Marguerite AP-HM. Połączyli siły z powodu sensacyjnego oświadczenia prof. Didiera Raoulta, francuskiego badacza i dyrektora IHU Méditerranée Infection w Marsylii (instytutu szpitalno-uniwersyteckiego specjalizującego się w chorobach zakaźnych). W połowie marca 2020 r. zamieścił on na YouTube filmik, w którym twierdził, że w jego placówce opracowano rewolucyjną metodę leczenia Covid-19 (szczepionka przeciw koronawirusowi dopiero powstawała). Wyniki badania zespół Raoulta przedstawił w „International Journal of Antimicrobial Agents".

Publikacja wzbudziła wątpliwości m.in. wspomnianej grupy, która przyjęła w sieci żartobliwą nazwę „Wiśnie na hulajnogach". Pierwszy jej człon nawiązywał do angielskiego wyrażenia *cherry picking*. Chodzi o błąd selekcji polegający na wybieraniu i prezentowaniu wyłącznie tych danych z badań, które potwierdzają z góry założoną tezę, a przemilczaniu tych, które jej przeczą (to nawiązanie do osoby zrywającej z drzewa wyłącznie najładniejsze owoce). „Hulajnogi" wzięły się zaś od głośnej wypowiedzi Raoulta ze stycznia 2020 r., kiedy twierdził – lekceważąc zagrożenie pandemią – że jeśli zestawić chińskie zgony spowodowane nowym wirusem z liczbą mieszkańców tego kraju, to prawdopodobnie więcej ludzi ginie tam na hulajnogach.

„Wiśniom" naiwnie się wydawało, że spór o terapię Raoulta będzie mieć charakter dyskusji akademickiej. Z upływem czasu grupa zaczęła jednak zdawać sobie sprawę, z jakim żywiołem ma do czynienia. Kiedy prof. Raoult ogłosił, że podana we wczesnej fazie Covid-19 hydroksychlorochina – dobrze znany lek przeciwmalaryczny, stosowany też w toczniu i reumatoidalnym zapaleniu stawów – połączona z antybiotykiem (azytromycyną) przynosi fantastyczne rezultaty, jego rewelacje rozpropagował w internecie m.in. Elon Musk, a zaraz po nim powtórzył Donald Trump. Szybko podchwycił tę narrację także populistyczny prezydent Brazylii Jair Bolsonaro.

Nad Sekwaną 68-letni naukowiec o wyglądzie druida (dłuższe siwe włosy, bródka i srebrny sygnet na małym palcu w kształcie ludzkiej czaszki) zyskał wręcz status zbawcy. Do jego kliniki pielgrzymowały tysiące osób, by stać godzinami w kolejkach i przyjąć oba leki niczym komunię w kościele. Ludzie tatuowali sobie podobizny Raoulta, w Marsylii powstało lokalne piwo na jego cześć, sprzedawano świece z podobizną profesora, a także figurki do szopki bożonarodzeniowej. Do Marsylii udał się „z pielgrzymką" nawet Emmanuel Macron, a Raoult zaczął pojawiać się w sondażach wśród potencjalnych kandydatów na prezydenta Francji.

W serialu są dwa naprawdę wstrząsające momenty. Pierwszy to rozmowy, m.in. z ówczesnym ministrem zdrowia, pokazujące, dlaczego francuskie państwo okazało się bezsilne wobec populistycznego internetowego walca, a politycy gotowi byli poświęcić prawdę i zdrowie ludzi na ołtarzu słupków popularności. Drugi to fala internetowego hejtu, jaki zalał krytyków stosowania hydroksychlorochiny, a szczególnie „Wiśnie na hulajnogach". Dr Magali Carcopino-Tusoli omal nie przypłaciła tego samobójstwem, gdy do sieci wyciekła informacja (to nie spojler), że jest... córką prof. Raoulta.

Serial ma właściwie tylko jeden słaby punkt – historię „Wiśni na hulajnogach" przedstawiono tak, jakby była to jedyna grupa mająca odwagę analizować i merytorycznie krytykować twierdzenia francuskiego profesora oraz ostrzegać, że podawanie hydroksychlorochiny wraz z antybiotykiem nie tylko nie leczy Covid-19, lecz jest niebezpieczne dla serca. Takich osób było bowiem więcej. Warto też dodać, że artykuł w „International Journal of Antimicrobial Agents" został przez wydawcę wycofany.

A przy okazji możemy się pochwalić, że nie ulegliśmy wówczas internetowemu szaleństwu i już na początku maja 2020 r. opublikowaliśmy bardzo sceptyczny artykuł o rewelacjach prof. Raoulta (POLITYKA 18/20).

Prorok z czasów pandemii, 4 odc., HBO Max, 2026

© WARNER BROS. DISCOVERY

eprasa.pl b8c08e3ae2

Mam apel do naszego środowiska: nie zniechęcajmy się i nie obrażajmy na polityków – mówi prof. dr hab. **Marek Konarzewski**, prezes Polskiej Akademii Nauk w kadencji 2023–26.

Co nam daje PAN



Prof. dr hab. **Marek Konarzewski** – ur. 1961 r., biolog, popularyzator nauki, pracownik Katedry Ekologii Ewolucyjnej i Fizjologicznej Uniwersytetu w Białymstoku. Prezes Polskiej Akademii Nauk w kadencji 2023–26.

KATARZYNA CZARNECKA: **– „Mam uczucia mieszane" – powiedział prof. dr hab. Szymon Malinowski po debacie klimatycznej, którą 7 września zorganizowaliście w Sejmie. A pan?**

MAREK KONARZEWSKI: – Bardzo dobrze, że ta debata się odbyła. Pierwszy raz rozmawialiśmy w Sejmie poważnie o tym, jak się przystosować do zmian klimatu. Powiedzmy sobie jednak szczerze, że reprezentacja posłów była dosyć skromna.

W 2022 r. deklarował pan, że Polska Akademia Nauk powinna być łącznikiem między naukowcami a władzami. Dziś, tuż przed kolejnymi wyborami prezesa, może pan powiedzieć, że to się udaje?

Na tyle, na ile jest to możliwe w Polsce, tak. Sądzę, że w ostatnich latach Akademia mocno zaznaczyła swoją rolę ciała doradczego dla władz. W tej chwili finalizujemy np. projekt technologii podwójnego zastosowania – oferujemy Siłom Zbrojnym RP zestaw aerostatów o takich parametrach, które umożliwią nam ścisłą obserwację wschodniej granicy państwa. Zagrożenia, np. uderzenie rosyjskiego drona w pociąg kilkadziesiąt metrów od naszego terytorium, będą mogły być znacznie lepiej monitorowane i – jeśli trzeba – zwalczane. Ta technologia powstała w instytutach PAN i na Politechnice Warszawskiej.

Jestem też po kilku rozmowach z ministrem Maciejem Berkiem na temat tworzenia systemu doradztwa naukowego dla rządu. Pan minister jest już w innym miejscu, ale mam nadzieję, że ten proces będzie miał swój dalszy ciąg. Choćby po to, żeby unikać takich sytuacji jak zamieszanie wokół raportu dr hab. Barbary Mróz-Gorgoń. Dla Ministerstwa Energii przygotowujemy projekt inteligentnej integracji odnawialnych źródeł energii. Kontynuujemy też doradztwo po powodzi w Kotlinie Kłodzkiej sprzed dwóch lat. Aktywne są Komitety PAN – choćby ostatnio Komitet Bioetyki zwracał się do prezydenta o podpisanie tzw. lex szarlatan.

Karol Nawrocki skierował ustawę do Trybunału Konstytucyjnego.

Niestety nie zawsze zostajemy wysłuchani. Odwrotnych przykładów jest jednak dużo.

Zatrzymajmy się przy aferze z prof. Mróz-Gorgoń. Czy zachwiała i tak niezbyt stabilnym zaufaniem do nauki?

Nie chcę bagatelizować tej sprawy, ale uważam, że została rozdmuchana ponad miarę. Nie mamy sprawnego kanału wymiany informacji między decydentami i światem nauki. A powinna nim być właśnie PAN jako organ ustawowo podporządkowany bezpośrednio premierowi. Gdyby skierowano do nas pytanie, czy Mróz-Gorgoń podoła temu zadaniu, odpowiedzielibyśmy, że są w świecie medioznawczym osoby bardziej kompetentne. O raporcie nie mogę nic dobrego powiedzieć, ale ogromny hejt, który wylał się na autorkę, jest paskudny i ubolewam nad tym, że jego część płynęła ze strony środowiska naukowego. Tego się wstydzę.

Zdarza się, że osoby z tytułami naukowymi mówią i robią publicznie rzeczy, które świadczą nie tylko o ich niekompetencji, lecz wręcz o odrzuceniu wiedzy naukowej. Na brak zaufania w jakimś stopniu środowisko samo pracuje, bo nie ma mechanizmów weryfikacji?

Niestety upadek obyczajów dotyka także nauki. To problem widoczny na całym świecie. Jedyne, co możemy zrobić, to prostować takie wypowiedzi. Właśnie kończą się prace nad ministerialnym rozporządzeniem, które bardzo wzmacnia Komisję ds. Etyki w Nauce przy PAN. Po pierwsze, teraz w każdym przypadku ma być jasno wskazane, czy doszło do naruszenia zasad etyki, czy nie. Ta rekomendacja trafia przecież do uczelni lub instytutu, który zgłosił sprawę, a tam właściwe organy podejmują decyzję o ewentualnych konsekwencjach. Po drugie, skład komisji ma zostać powiększony do 21 osób. Dzięki temu członkowie będą mogli pracować w mniejszych zespołach zajmujących się konkretnymi dziedzinami nauki. Decyzje będą zapadały szybciej.

Nie będzie skarg na ingerencję w autonomię uniwersytetów?

Bardzo się cieszę i jestem dumny, że PAN może być strażnikiem etyki w nauce. To się odbywa zgodnie z ustawą o PAN i za zgodą środowiska. Ktoś musi tę niewdzięczną pracę wykonywać.

W 2024 r. minister Dariusz Wieczorek mówił POLITYCE, że nowa ustawa o PAN już w zasadzie jest. W tym roku minister Marcin Kulasek stwierdził, że się dogadaliście i już prawie po sprawie. Doczekamy się tej ustawy?

Zasadniczym problemem są wątpliwości Ministerstwa Finansów – chodzi o trzynastki dla pracowników instytutów. A to przywilej, którym przecież cieszą się wszyscy pracownicy sfery budżetowej. Nie ma zgody na ustawę pozbawioną wymiaru finansowego. Kwestie płacowe nie są dodatkiem, który da się odłożyć na później – są warunkiem, bez którego cała reforma traci sens.

Który z zapisów najsilniej wpłynie na funkcjonowanie Akademii?

Ten, który umożliwia utworzenie Zgromadzenia Dyrektorów Instytutów PAN.

Dyrektorzy instytutów podnosili, że decyzje ich dotyczące zapadają bez ich udziału, bo nie mają głosu w Zgromadzeniu Ogólnym PAN. Czy to się zmieni?

Wypracowaliśmy kompromis. Teraz dyrektorzy mogą samodzielnie decydować o swoich sprawach, także majątkowych, ale głosu w Zgromadzeniu Ogólnym PAN nie mają.

We wrześniu ukazał się raport NIK po kontroli w Akademii. Zwrócono uwagę, że brak nowej ustawy o PAN stwarza

© MATERIAŁY PRASOWE PAN, SHUTTERSTOCK

eprasa.pl b8c08e3ae2

ryzyko utraty środków europejskich z Funduszu dla Nowoczesnej Gospodarki. Nadal jest możliwe, że nie dostaniemy 4,9 mld euro.

Wypracowaliśmy ten projekt wspólnym wysiłkiem PAN i MNiSW. Spędziliśmy nad nim długie godziny z minister Karoliną Zioło-Pużuk. Współpracuję z ministrami od kilkunastu lat i takiego zaangażowania jak w przypadku pani minister wcześniej nie widziałem. Przyjęcie ustawy jest kamieniem milowym w rozliczeniach z Unią Europejską. Jej tekst jest już na stronie Rządowego Centrum Legislacji. Znamy nastawienie parlamentarzystów, więc nie spodziewam się tam dyskusji. Na koniec będziemy liczyć na przychylność prezydenta. Z treści listu, który skierował do nas z okazji 75. rocznicy powstania Akademii, wnoszę, że nie powinien mieć do niej poważniejszych zastrzeżeń.

Raport NIK jest w sumie dla PAN pozytywny. Wskazano w nim m.in., że racjonalnie likwidowała jednostki o zbyt niskim poziomie działalności naukowej. W środowisku te decyzje nie bardzo się podobały.

Zamknęliśmy np. Polski Instytut Studiów Zaawansowanych PIASt. Odbiło się to szerokim echem, nie miałem jednak wątpliwości. Majątek PIASt przekazaliśmy Instytutowi Slawistyki. Zakończyliśmy również bolesną likwidację Instytutu Parazytologii. Ten właśnie przypadek pokazał mi dobitnie, jak złożony i kosztowny – finansowo i w kontekście ludzkim – jest taki proces. Musimy zmieniać strukturę instytutów, ale w przyszłości będę raczej zachęcał do ich łączenia albo przekształcania.

Z drugiej strony utworzyliśmy Międzynarodowy Instytut Chemii Analitycznej w Toruniu i Międzynarodowy Instytut Astrofizyki Cząstek w Warszawie. Jeśli będę miał na to wpływ, nie pozwolę na powstawanie placówek, które miałyby działać tylko na naszym krajowym podwórku.

Stereotyp PAN jako instytucji skostniałej wciąż się jednak utrzymuje.

Spotykam się z nim często. Patyna dodaje pewnej dostojności, ale nie stoi w sprzeczności z dynamiką.

Zmiany są trudniejsze, kiedy nie ma pieniędzy.

Nie będę pudrował rzeczywistości. Instytuty, którym dziś dosłownie brakuje do pierwszego, dostaną wsparcie ministerstwa. Tylko że tak być nie może. Nie mamy systemu, który zapewniałby instytutom tyle pieniędzy, by pod koniec roku nie trzeba było się martwić o wypłaty. Mamy państwo z ogromnym budżetem, które weszło do grona największych gospodarek świata, a nie potrafi znaleźć stosunkowo niewielkich kwot na utrzymanie własnego potencjału intelektualnego.

Tymczasem dotychczasowe paliwo wzrostu polskiej gospodarki powoli się kończy. Towary wysokoprzetworzone, na których można więcej zarobić, stanowią w naszej gospodarce niewielką część. Jesteśmy za to potentatem w produkcji drobiu czy mebli. Obawiam się, że gdy skończy się wojna w Ukrainie i otworzy się Białoruś, część takiej produkcji przeniesie się tam, gdzie praca będzie tańsza, a ograniczenia, choćby środowiskowe, mniejsze. Co zostanie?

Państwa, do których poziomu rozwoju aspirujemy – choćby Korea czy Izrael – przez długi czas inwestowały w naukę i własną bazę technologiczną. Polska wciąż nie robi tego w wystarczającym stopniu. Chciałbym więc zmobilizować środowisko naukowe, żeby przed wyborami parlamentarnymi przekonywało kandydatów do umieszczenia nauki w programach. Hasło „3 proc. dla nauki, 100 proc. dla Polski" nie musi przemówić do każdego. Informacja, że dzięki badaniom w okręgu kandydata lub kandydatki mogą powstać miejsca pracy, już może do nich trafić. To jest dla nas być albo nie być. Jeśli nic się nie zmieni, może przyjść rok, w którym niektóre instytuty naprawdę będą musiały się zamknąć.

Środowisko naukowe postuluje te 3 proc. od lat, także podczas majowej demonstracji przed Sejmem. Wzięło w niej udział jednak około tysiąca osób, głównie młodzi badacze.

Ten protest to dla mnie poruszające wydarzenie. Tyle że byłem jedyną osobą pełniącą kierowniczą funkcję w nauce, która się tam pojawiła.

Pewnie mało kto wierzy w skuteczność takich akcji. Może większe nakłady na naukę mogłyby się pojawić dzięki biznesowi? Jak przekonać do tego polskie firmy?

Wśród ludzi biznesu rodzi się świadomość, że mogą wpływać na politykę. Przykładem jest działalność Rafała Brzoski na rzecz uproszczenia przepisów dotyczących firm. Jeśli przedsiębiorstwa będą się rozwijać, zaczną potrzebować najlepszej polskiej nauki. Weźmy reaktory jądrowe w Polsce. Nie uda się ich zbudować i utrzymać bez krajowych kompetencji technologicznych.

Największy problem, jaki widzę w Polsce, jest jednak mentalny. Nie przyjmujemy do wiadomości, że sukcesy wyrastają na gruncie wielu porażek. W USA nieudany pomysł biznesowy nie przekreśla jego autora. Uznaje się, że zdobył doświadczenie i może spróbować ponownie. U nas osoba, której projekt się nie powiódł, bywa od razu podejrzewana o zmarnowanie publicznych pieniędzy. Trudno jej zacząć jeszcze raz.

Jeśli nie zaakceptujemy tego, że przy nowych przedsięwzięciach ryzyko jest duże, nie ruszymy z miejsca. Tymczasem finansowanie start-upów obwarowuje się wieloma ograniczeniami, żeby tylko uniknąć porażki. Dotyczy to również grantów naukowych. Sam uprawiam naukę i wiem, że nie wszystko się udaje. A gdy patrzy się na sprawozdania, można odnieść wrażenie, że wszyscy pomyślnie rozliczają dotacje. Badacze mają odważniejsze pomysły, ale boją się je zgłaszać, bo wiedzą, że nie dostaną pieniędzy. Jeśli tego nie zmienimy, trudno będzie wyrwać się z pułapki braku przełomowych, choć ryzykownych projektów.

Jest jeszcze sprawa wartości humanistyki. W publicznej dyskusji bez trudu mogę wyjaśnić, po co finansować instytuty zajmujące się medycyną czy technologią. W przypadku humanistyki jest to trudniejsze. Pojawiają się pytania typu „Co my z tego mamy?". Przypomina mi się anegdota przypisywana Churchillowi. Podobno gdy pokazano mu wojenny budżet z mocno obciętymi wydatkami na kulturę i naukę, zapytał: „Jeśli to obcinamy, to czego mamy bronić?". Oczekiwałbym takiego zrozumienia jeśli nie od całej opinii publicznej, to przynajmniej od decydentów.

Może trzeba zorganizować w Sejmie kolejne debaty?

Bardzo bym chciał namówić na to marszałka Sejmu. My przychodzimy bez intencji politycznych. Przynosimy wiedzę, informacje. Każdy może zrobić z tym, co zechce, ale najpierw powinien się z nimi zapoznać.

Mam jednak apel do naszego środowiska: nie zniechęcajmy się i nie obrażajmy na polityków. Trzeba z uporem powtarzać swoje argumenty z nadzieją, że za dziesiątym razem wreszcie do adresatów dotrą. Zamilknąć nie możemy. Absolutnie. ■

eprasa.pl b8c08e3ae2

Brudna robota

PAWEŁ RESZKA, TIMUR OLEVSKY

35 lat temu rozwiązano KGB. Miał w tym udział generał tej formacji Oleg Kaługin, kiedyś przełożony Putina. Dziś ma 92 lata, mieszka w USA i opowiada POLITYCE o rosyjskich służbach.

W tajnej służbie zaczynał jako student, w latach 50. zeszłego stulecia. Jeden z najzdolniejszych oficerów Komitietu Gosudarstwiennoj Biezopasnosti (Komitetu Bezpieczeństwa Państwowego, KGB), a potem krytyk i człowiek, który przyczynił się do jego likwidacji – co nastąpiło dokładnie 11 października 1991 r.

– Co się zmieniło przez te lata? – pytamy.

– *Kiedyś KGB rządziło zza kulis, teraz jego ludzie wyszli na scenę i są oficjalną władzą. Dzisiejsza Rosja to państwo KGB* – mówi POLITYCE gen. Kaługin. Mimo zaawansowanego wieku nie chce czasu, żeby przygotować się do wywiadu. – *Nie ma potrzeby. Całe życie przygotowywało mnie do tej rozmowy* – śmieje się.

– Jak trafia się do organów bezpieczeństwa? Decyduje romantyzm? Patriotyzm? Przypadek?

– *Jeśli o mnie chodzi, nie było żadnego przypadku. Chciałem tego. Mój ojciec też był w służbach* – mówi Kaługin. Jego ojciec nie robił niczego szczególnie wielkiego – przez 25 lat zajmował się przeważnie ochroną dygnitarzy. Jednak służba w NKWD (poprzedniczce założonego w 1954 r. KGB), i to w Leningradzie, była dla chłopa spod Orła gigantycznym awansem społecznym. Nie tylko dla niego, ale też dla całej rodziny – sprowadził do miasta dwie siostry. Jedna została kelnerką w stołówce NKWD, druga strażniczką w więzieniu należącym do bezpieki.

Był rok 1952, apogeum późnego stalinizmu. Oleg miał 18 lat, był jedynakiem, komsomolcem, wzorowym uczniem. Złożył papiery w Leningradzkim Instytucie Języków Obcych przy ministerstwie bezpieczeństwa.

– *Ojciec był przeciwny. Zapytałem go: „Dlaczego? Przecież sam służysz od lat?". Odpowiedział tylko: „To jest, synu, brudna robota".*

Resortowy instytut mieścił się w koszarowych budynkach dawnej carskiej szkoły junkrów. Służby dawały dobre, elitarne wykształcenie. Przede wszystkim języki – angielski, niemiecki i w przypadku Kaługina arabski. Oficerska promocja w 1955 r., praktyki w kontrwywiadzie, kursy w słynnej podmoskiewskiej Wyższej Szkole Wywiadu. Studia „cywilne", tj. filologia i dziennikarstwo na Uniwersytecie Leningradzkim, były tylko elementem budowania legendy potrzebnej do pracy wywiadowczej.

Po szkole trafił do I Zarządu Głównego, czyli wywiadu zagranicznego. Tam szli najlepsi i najpewniejsi. Kaługin musiał wyróżniać się nawet wśród nich, bo załapał się na wyjazd do USA w ramach wymiany studenckiej. W Columbia University w Nowym Jorku reprezentował leningradzki wydział żurnalistyki. Były tylko cztery takie stypendia – obok Kaługina w grupie znalazł się Aleksander Jakowlew. Został później wybitnym radzieckim dyplomatą, ideologiem pierestrojki, jednym z najbliższych współpracowników Michaiła Gorbaczowa.

Kaługin nie zasypiał gruszek w popiele. Poznawał ludzi, sam – jako młody adept dziennikarstwa zza żelaznej kurtyny – budził zainteresowanie mediów. „The New York Times" zamieścił nawet jego sylwetkę. „Przedstawili mnie jako »chłopaka z prawdziwą osobowością«. Pisano, że do udziału w studenckiej wymianie wybrali mnie profesorowie Uniwersytetu Leningradzkiego.



Demontaż moskiewskiego pomnika Feliksa Dzierżyńskiego, założyciela i pierwszego szefa radzieckich służb specjalnych, sierpień 1991 r.

eprasa.pl b8c08e3ae2

Śmiałem się z tego, bo nie byłem młodym radzieckim dziennikarzem, lecz świeżo upieczonym oficerem KGB", napisał we wspomnieniach.

Kaługin lubił chodzić po Nowym Jorku, poznawać ludzi. Miał do tego idealną przykrywkę. Zbierał przecież materiały do reportażu o Ameryce. Miał też szczęście – trafił na Anatolija Kotłobaja, Rosjanina od lat mieszkającego w USA. Pracował w wielkim koncernie chemicznym i zajmował się paliwem rakietowym. Zgodził się na współpracę, dostał pseudonim „Kuk" i przez lata dostarczał rezydenturze KGB ciekawe materiały. Kaługin odnotował pierwszy spektakularny sukces. Jednak sprawa „Kuka" miała po latach wrócić i go prześladować.



Generał Oleg Kaługin na tle siedziby KGB na Placu Łubiańskim w Moskwie, 1991 r.

Centrala zdecydowała, że młody oficer znów trafi do Nowego Jorku – tym razem jako korespondent radia akredytowany przy ONZ. To oficjalnie, bo właściwy etat miał w rezydenturze KGB w pionie wywiadu politycznego. Siedziba ONZ w Nowym Jorku dla oficerów wywiadu była miejscem łowów. Kaługin wykorzystywał stare znajomości i legitymację prasową: wyszukiwał ludzi, którzy mieli dostęp do tajnych informacji lub dzięki swojej pozycji, koneksjom czy przyszłej karierze mogli znaleźć się w otoczeniu najważniejszych amerykańskich polityków.

Był sam środek zimnej wojny: w 1960 r. pierwszy sekretarz KPZR Nikita Chruszczow awanturował się na forum ONZ, w 1961 r. wyrósł mur berliński, w 1962 r. podczas kryzysu kubańskiego świat znalazł się o krok od wojny nuklearnej, a rok później w Dallas zginął prezydent J.F. Kennedy.

Kaługin dużo podróżował i chyba coraz bardziej lubił Stany. Kapitaliści nie przypominali postaci z radzieckich karykatur. Sam też żył po amerykańsku: „Miałem duże, choć skromnie umeblowane biuro i pensję w wysokości 480 dolarów miesięcznie. Żonę formalnie zatrudniono jako sekretarkę. Po poprzedniku odziedziczyłem niebieskiego Chevroleta Bel Air".

Za pracę w Nowym Jorku Kaługin dostał wysokie odznaczenie. Ale misja skończyła się nagle. W 1964 r. na Zachód uciekł oficer KGB Jurij Nosienko. W Moskwie obawiano się, że Kaługin zostanie przez niego zdemaskowany jako pracownik wywiadu. Nakazano mu powrót do kraju. Przed wyjazdem szef nowojorskiej rezydentury złożył mu niezwykłą propozycję, którą Kaługin opisał w pamiętnikach: „W najbliższych dniach w Departamencie Stanu odbędzie się spotkanie pracowników naszej ambasady z Nosienką. Jest propozycja, żebyś wziął w nim udział. Nie zapomniałeś jeszcze, jak się strzela?

– Pamiętam.

– A zdołasz podczas spotkania zlikwidować zdrajcę?

– Oczywiście" – odpowiedział Kaługin. Do akcji nie doszło, Kaługin uznał, że chodziło o sprawdzenie jego oddania, lojalności wobec służby.

Powrót do Moskwy był szokiem. Biurko na Łubiance i trzypokojowe mieszkanie w bloku. „Nędzne z zewnątrz i paskudne w środku. Nora ze ścianami przeciekającymi na spojeniach i ledwie ciepłymi kaloryferami" – opisywał. Poczuł ulgę, gdy po roku znów skierowano go do USA. Żeby nie kusić losu, tym razem oficera wyposażono w paszport dyplomatyczny. Oficjalnie został sekretarzem prasowym ambasady, a na tajnym etacie był zastępcą rezydenta KGB ds. wywiadu politycznego.

W tym czasie rezydentura pozyskała dwóch cennych agentów. Robert Stephen Lipka, 19-letni żołnierz pracujący w centrali Agencji Bezpieczeństwa Narodowego (NSA), miał dostęp do tajnych dokumentów na temat łączności NATO i ruchów wojsk. Oficer marynarki John Walker dostarczał materiały kryptograficzne pozwalające Moskwie odczytywać tajną korespondencję amerykańskiej floty.

Kaługin awansował na pułkownika. W centrali dostał posadę zastępcy szefa Zarządu „K". Zarząd „K" był kontrwywiadem wewnątrz wywiadu zagranicznego. Zadaniem Kaługina było szukanie zdrajców i podwójnych agentów. Szło mu na tyle dobrze, że został odznaczony Orderem Czerwonego Sztandaru, jednym z najwyższych odznaczeń wojskowych ZSRR. Osobiście brał udział w operacjach, które polegały m.in. na wyszukiwaniu, porywaniu i przywożeniu do Moskwy tych, którzy zdradzili służbę.

Kaługin opisał w książce „Żegnaj, Łubianko!", jak to wyglądało: „Promień latarki oświetlił bezwładne ciało. Nie pomógł ani masaż serca, ani szklanka koniaku wlana przez zaciśnięte zęby. Przed nami leżał z rozrzuconymi rękami, uspokojony, jakby wybaczył wszystkim popełnione zło i zadany ból, człowiek, którego jeszcze kilka chwil wcześniej nazywano Nikołajem Fiodorowiczem Artamonowem. Były dowódca niszczyciela Floty Bałtyckiej, który uciekł na Zachód i żył tam jako Nikołaj Szadrin. Już nigdy nie opowie, jak to jest prowadzić podwójne życie agenta CIA i KGB. Odejdzie w niepamięć, pochowany na moskiewskim cmentarzu pod kolejnym cudzym nazwiskiem".

Takie zgony były – jak pisał Kaługin – wypadkami przy pracy. Zdarzały się, gdy porwanemu podano zbyt mocne środki nasenne. Jednak jego przeciwnicy twierdzili, że to kłamstwo, a wydział „K" miał licencję na zabijanie. Wśród spraw, które wracają do Kaługina jak cień, jest śmierć bułgarskiego dysydenta Georgija Markowa. Markow został w Londynie otruty rycyną (zamachowiec mikrokapsułkę wstrzyknął mu za pomocą specjalnie skonstruowanego parasola). Kaługin przyznał po latach, że sprzęt i trucizna pochodziły z KGB, ale przekonywał, że zamachu dokonały służby bułgarskie.

Jedno jest pewne: kariera Kaługina w KGB była oszałamiająca. Został szefem Zarządu „K", a generalski awans dostał w 1974 r., miał wówczas zaledwie 40 lat.

Służba w USA i awanse sprawiały, że Kaługin miał coraz więcej przeciwników. W KGB im wyżej, tym bardziej niebezpiecznie.

– O karierze, awansach decydują dwa czynniki. Zdolności oficera do tej pracy i to, czy podoba się przełożonym. Ja podobałem się Jurijowi Andropowowi, szefowi KGB – opowiada Kaługin. Andropow uchodził za szefa oświeconego, inteligentnego, oczytanego. Wybijał się na tle partyjnego betonu, ale pod jego rządami KGB nadal ścigało dysydentów i tłumiło wszelką niezależność.

– Rozumieliśmy się dobrze. Dzięki temu szybko awansowałem. W końcu okazało się, że jestem najmłodszym generałem w KGB. Nie wszyscy byli zachwyceni. ▶

© WOJCIECH ŁASKI/EAST NEWS (2)

eprasa.pl b8c08e3ae2

▶ – Kto nie był?

– *Władimir Kriuczkow, ówczesny szef wywiadu zagranicznego. Uważał, że mogę zająć jego miejsce. Robił więc wszystko, by się mnie pozbyć.*

– Pozbyć, czyli co?

– *Wysłać gdziekolwiek, byle dalej.*

Na stanowisku utrzymał się do 1979 r., ale kariera gwałtownie zahamowała. Jedną z przyczyn miała być ucieczka Arkadija Szewczenki, wysokiego rangą radzieckiego dyplomaty. Szewczenko był ambasadorem ZSRR przy ONZ, od 1975 r. współpracował z CIA. Chociaż rezydent KGB w Nowym Jorku słał do centrali alarmujące depesze, że Szewczenko współpracuje z wrogiem, zarząd „K" zbagatelizował sprawę.

Dokładnie w tym czasie wróciła historia jego pierwszego werbunku, czyli „Kuka". Ten mieszkał już w ZSRR, pracował w Akademii Nauk. Nagle zainteresowało się nim KGB. Zarzuciło mu handel walutą i skupowanie dzieł sztuki. Nie była to banalna sprawa karna – ludzie z KGB chcieli udowodnić, że „Kuk" od początku był podwójnym agentem. A to rzucało cień na generała. Skoro podstawiono mu „Kuka", to jego pierwszy werbunek nie był sukcesem. Jeśli w ogóle był to werbunek.

Kaługin musiał pożegnać się z Moskwą. W Leningradzie został zastępcą szefa obwodowego oddziału KGB.

– Pracował pan z pewnym młodym oficerem...

– *Putin. Tak, to mój były podwładny.*

– Rozmawialiście?

– *Nie, był jednym z kilkuset podległych mi ludzi. Nie miałem powodu z nim rozmawiać.*

Zaczęła się pierestrojka. Kaługin przekazał list Michaiłowi Gorbaczowowi za pośrednictwem Aleksandra Jakowlewa, swojego znajomego z czasów stypendium w USA. Postulował w nim reformę KGB. Skrytykował służbę, której szefem był jego stary przeciwnik gen. Kriuczkow. Wezwał do odpolitycznienia KGB, ograniczenia liczebności jego kadr i rozwiązania struktur, które wciąż zajmowały się inwigilacją polityczną. Mówił o tym na konferencjach partyjnych reformatorów i w wywiadach dla prasy.

KGB było ciągle wpływowe. „Za działania plamiące honor i godność funkcjonariusza organów bezpieczeństwa państwowego" decyzją Rady Ministrów ZSRR Kaługin został pozbawiony stopnia generalskiego i odznaczeń. Groziło mu aresztowanie, ale wygrał wybory do Rady Najwyższej, więc chronił go immunitet.

W sierpniu 1991 r. Kriuczkow stał na czele komunistycznego puczu. Kaługin po stronie demokratów. Razem z Borysem Jelcynem bronił siedziby legalnych władz. Po klęsce puczu zwrócono mu ordery i generalski stopień. KGB zostało zlikwidowane: podzielone na kilka mniejszych służb. Kaługin doradzał przy tej reformie, Kriuczkow trafił do więzienia.

– Może nie trzeba było reformować, tylko rozpędzić całe KGB? Zwolnić ich wszystkich? – pytamy.

– *To było niemożliwe. W ZSRR KGB odgrywało kluczową rolę w systemie władzy. Było brutalne, krwawe, można porównać tę służbę ze służbami nazistowskich Niemiec. Jednak nie było szczególnie oryginalną instytucją. W całym świecie funkcjonują organy bezpieczeństwa, wywiadu. Są potrzebne, także w Rosji.*

– To co właściwie stało się w latach 90.?

– *Ideologia przestała być ważna. Zaczęła się liczyć władza. ZSRR się rozpadł, ale KGB przetrwało, zmieniając nazwę na Federalną Służbę Bezpieczeństwa, FSB. Jej rola wzrosła, jest w najlepszym stanie od lat. To, co było za Gorbaczowa potępiane, teraz podlega rehabilitacji. Wskrzesza się ideę ZSRR pod flagą wielkiej Rosji.*

Jednym słowem w gabinetach na Łubiance, siedzibie FSB, znów pije się zdrowie Feliksa Dzierżyńskiego. Zdaniem Kaługina w Rosji znów wzięła górę betonowa frakcja. Jej przedstawiciel Władimir Putin – niezbyt utalentowany oficer wywiadu – został szefem FSB, potem premierem, wreszcie prezydentem.

– Nie był oficerem wywiadu z pierwszego szeregu, nie pracował na ważnym kierunku. Siedział w NRD, dlaczego więc zrobił karierę?

– *Manipulował Borysem Jelcynem. Potrafił przekonać go, by powierzył mu najważniejsze stanowiska w państwie. Potem, z tego co wiem, Jelcyn żałował. Powiedział, że dwie największe pomyłki, jakie popełnił, to wojna w Czeczenii i mianowanie Putina.*

– Jaki jest Putin?

– *Ma podejście bardziej, nazwijmy to, policyjne. To sznyt ze starej szkoły radzieckiego KGB. Chciał w Rosji dokręcać śrubę i mu się udało. To człowiek gotowy na wszystko. Trzeba to o nim wiedzieć.*

– A pan skąd to wie? Przecież ledwo go pan pamięta z Leningradu.

– *Przez wiele lat miałem dość dobre informacje o tym, co się dzieje na szczytach kremlowskiej władzy w czasach Putina. Mam sporo kolegów.*

– Gotowy na wszystko, co to znaczy?

– *Są ludzie, którym przychodzi to lekko. Ambitni, gotowi na każde przestępstwo, żeby wykonać rozkaz dowództwa albo żeby osiągnąć własne cele. Putin to wychowanek służby, ukształtowany przez ZSRR. Chciał odbudować silne, wielkie państwo. Rosję, której nikt nie będzie niczego narzucał.*

– Jaka jest Rosja lat 2000.?

– *Następuje zwrot ku czasom stalinowskim. Oczywiście w proporcjach: nie sadzają i nie represjonują masowo jak wtedy. W czasach Putina przeciwników się truje albo wyrzuca z kraju. Putin to zwolennik rządów twardej ręki. Jednak z jego poglądami – co też trzeba powiedzieć – zgadza się większość rosyjskiego społeczeństwa.*

Dla Kaługina nie ma miejsca w putinowskiej Rosji. Od połowy lat 90. mieszka w USA, wydaje tam książki, współpracował z Międzynarodowym Muzeum Szpiegów w Waszyngtonie. Przez lata utrzymywał kontakty ze swoimi przeciwnikami z czasów zimnej wojny – z wywiadu i kontrwywiadu USA. Dziś są po jednej stronie, bo Kaługin ma amerykańskie obywatelstwo.

A Rosja znów ma do niego pretensje. Zarzucają mu, że w książkach ujawnił zbyt wiele i zdekonspirował agentów. Kaługinowi znów odebrano generalski stopień, sąd skazał go zaocznie na 15 lat więzienia, a Putin nazwał zdrajcą. Koledzy z KGB mówią, że to nic nowego, bo przecież zdradził na początku, w latach 50., kiedy to niby zwerbował „Kuka".

– Chciałby pan jeszcze przyjechać do Rosji? – pytamy Kaługina na koniec rozmowy.

– *Oczywiście, to moja ojczyzna. Ale za Putina, w czasach dyktatury KGB, to niemożliwe.*

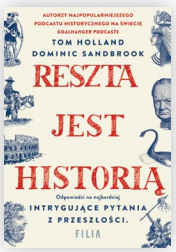
Gdyby przyjechał, mógłby odwiedzić grób ojca – kapitana Daniła Kaługina, który pół wieku wcześniej ostrzegał go: „To jest, synu, brudna robota".

PAWEŁ RESZKA, TIMUR OLEVSKY

eprasa.pl b8c08e3ae2

Podkast na papierze

Tom Holland, Dominic Sandbrook,
Reszta jest historią,
przeł. Agnieszka Wyszogrodzka-Gaik,
Grupa Wydawnicza Filia, Poznań 2026, s. 504



Autorzy podkastu „The Rest is History" udowadniają, że o przeszłości można mówić rzetelnie i jednocześnie z humorem. Tę formułę przenieśli na papier. Dostajemy błyskotliwe eseje poświęcone zaskakującym wydarzeniom, ludziom i zagadkom przeszłości. Autorzy nie prowadzą czytelnika utartymi ścieżkami. Obok Juliusza Cezara, Spartan czy wikingów pojawiają się więc: „dziesięć najtragiczniejszych przyjęć w historii", potwór z Loch Ness, Atlantyda, koreańska kurtyzana czy historia kanadyjskiego bobra. Ten eklektyzm okazuje się największą siłą książki – za każdą anegdotą kryje się szersza opowieść o polityce, kulturze i ludzkiej naturze. Celem autorów jest rozbudzenie ciekawości, ich zdaniem nie istnieje taki fragment historii, który – odpowiednio opowiedziany – nie potrafiłby zafascynować. Ten entuzjazm udziela się czytelnikowi, tym bardziej że humor jest tu wszechobecny, bez sprowadzania historii do zbioru dowcipów. Autorzy chętnie żartują z bohaterów i samych siebie, a współczesne odniesienia sprawiają, że nawet odległe epoki wydają się zaskakująco bliskie. Za lekkim stylem kryją się jednak ogromna erudycja i swoboda poruszania się po dziejach od starożytności po dziś. To książka do czytania fragmentami, bo każdy rozdział jest zamkniętą opowieścią.

AGNIESZKA KRZEMIŃSKA

Wojenne sieroty

Bernadetta Darska,
Republika ludzi młodych. Opowieść o nowym człowieku,
Iskry, Warszawa 2026, s. 307

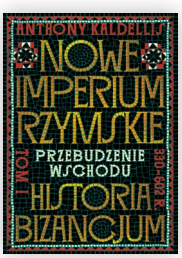


W 1946 r. pociągi z polskimi sierotami ciągnęły z całego ZSRR: z Kazachstanu, Uzbekistanu, spod Woroneża. Gdy dzieci z jednego z transportów powiedziały, że w radzieckim domu dziecka było im dobrze, usłyszały: „Przerobili was! Nie jesteście już Polakami. Bezbożnicy!". W kierunku wagonów poleciały kamienie. Ile było wojennych sierot, nie wiadomo; szacuje się, że razem z półsierotami mogło ich być blisko miliona. Straumatyzowane trafiały do domów dziecka. Jeden z największych działał w Bartoszycach nad Łyną, w dawnych koszarach im. Ludendorffa. Pod koniec 1947 r. mieszkało tam niemal 400 dzieci. Pod opieką Aleksandra Lewina, współpracownika Janusza Korczaka, stworzyły coś w rodzaju własnej republiki. Ta dziecięca wspólnota była Wieżą Babel: rozbrzmiewały w niej polszczyzna, ukraiński, francuski i niemiecki. Właśnie tu opowieść ciemnieje. Herty, Lotty i Kurtów poddawano repolonizacji. Bernadetta Darska wydobywa tę niezwykłą historię z archiwów i pamięci świadków. Nie pisze pedagogicznej legendy. Pokazuje eksperyment kruchy, pełen sprzeczności, lecz dający dzieciom namiastkę sprawczości w świecie urządzonym przez dorosłych. „Republika ludzi młodych" uzupełnia powojenną historię o brakujący rozdział: o tych, którzy mieli być przyszłością, choć ledwie uszli z przeszłości.

MARCIN ZAREMBA

Nowi Rzymianie

Anthony Kaldellis, **Nowe Imperium Rzymskie. Historia Bizancjum. Tom 1: Przebudzenie Wschodu**, przeł. Arkadiusz Bugaj,
Znak Horyzont, Kraków 2026, s. 715

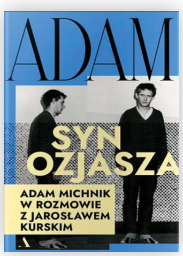


Historia Bizancjum wybitnego badacza z Uniwersytetu Chicagowskiego to monumentalne studium jednej z najbardziej niezwykłych cywilizacji średniowiecza. Książka może onieśmielać rozmiarami (to pierwszy z zaplanowanych dwóch tomów), ale nie ma w sobie nic z nudnej akademickiej rozprawy. Poza sprawami państwowymi, rozłamami religijnymi i meandrami polityki dowiadujemy się wiele o życiu zwykłych mieszkańców wschodniego cesarstwa. Kaldellis pisze w sposób zajmujący i nie boi się nowych interpretacji, które odsyłają do lamusa przestarzałe tezy. Jak choćby tę, że Bizancjum było wschodnią despotią i siedliskiem absolutyzmu o nieprzejrzystych mechanizmach władzy. W rzeczywistości tamto państwo przez tysiąc lat funkcjonowało na wzór rzymskiej wspólnoty obywateli (res publica), gdzie władzę sprawują elity w porozumieniu z ludem. Nie była to demokracja, nikt nie głosował, ale tylko kandydat, który zyskał poparcie „opinii publicznej", mógł zostać cesarzem, i tylko dzięki niej mógł się przy władzy utrzymać. Lektura nasuwa również myśl, że elementy, które złożyły się na historyczny sukces Nowego Rzymu – sprawna biurokracja, publiczne instytucje, poszanowanie dla prawa, otwarty model obywatelstwa – do dziś decydują o odporności państw na zagrożenia.

TOMASZ TARGAŃSKI

Michnik na ostro

Adam, syn Ozjasza, Adam Michnik
w rozmowie z Jarosławem Kurskim,
Agora 2026, s. 584



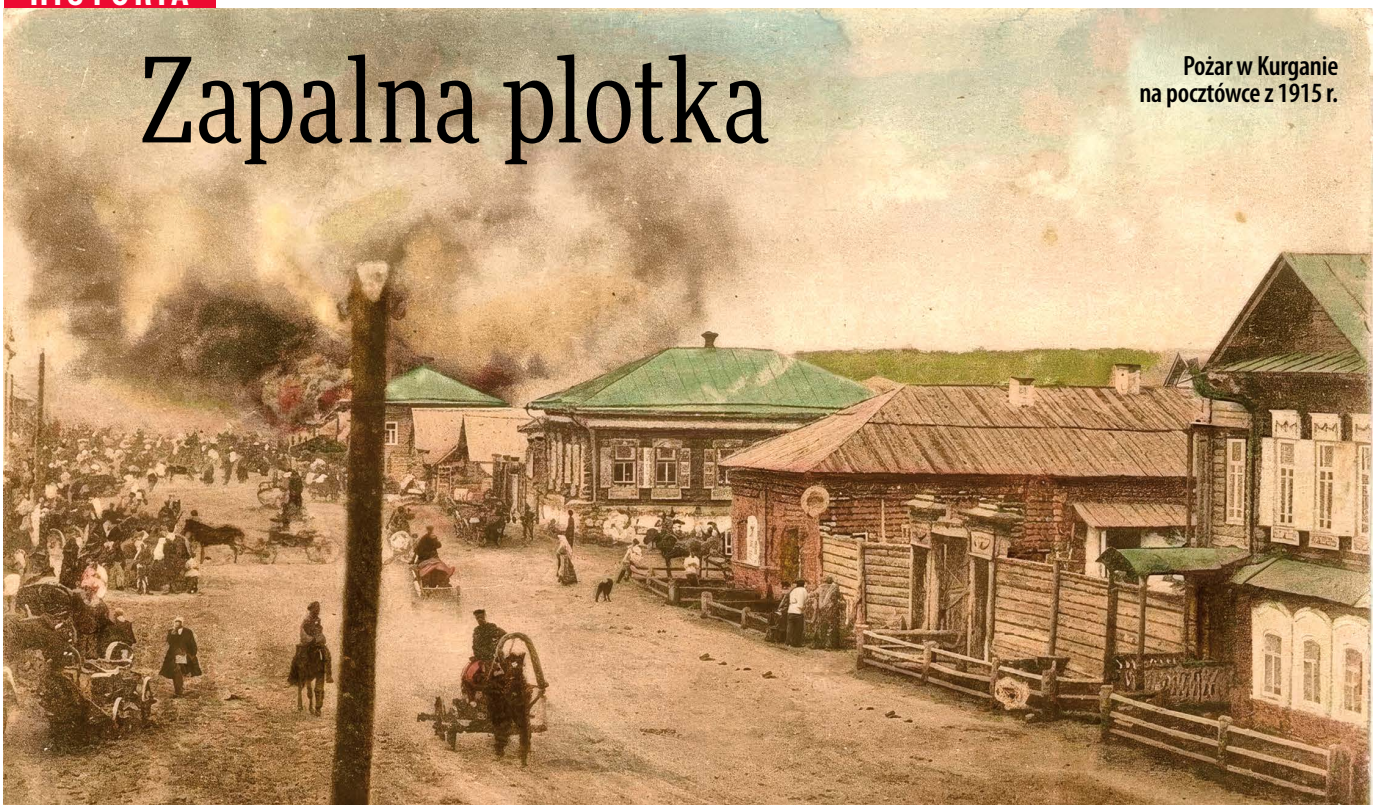
„Złamałem pióro – wyznaje Adam Michnik. – Nie ścigam się z moim czasem. Kiedyś miałem poczucie, że jestem w centrum tego czasu, dziś tego poczucia nie mam". Wywiad rzekę z redaktorem naczelnym „Gazety Wyborczej" prowadzi jego były zastępca Jarosław Kurski. To rozmowa na 80. urodziny Michnika, intrygująca. Michnik opowiada o ludziach, którzy go kształtowali i z którymi się konfrontował – od ojca Ozjasza Szechtera przez Antoniego Słonimskiego, Jerzego Giedroycia, Czesława Miłosza i Zbigniewa Herberta po ludzi Solidarności, Kościoła, władz PRL (z którymi jego relacje budziły kontrowersje). Bywa teraz ostrzejszy niż w dotychczasowej publicystyce, mniej lub bardziej wprost odsłania samego siebie – drogę ideową, doświadczenie opozycji i więzienia, wybory dokonane w 1989 r. i w III RP. „Chciałem być tym, kim byłem: publicystą, intelektualistą" – podsumowuje. Nie liderem, lecz ideologiem. „Mam poczucie, że w kluczowych momentach, w więzieniu, zachowałem się, jak trzeba – mówi. – A wiesz dlaczego? Między innymi dlatego, że gdybym wyszedł z celi i zaczął z komunistami negocjacje, tak jak tego chciał Episkopat, koledzy z KOR-u i z »Solidarności«, to ludzie by nie mówili, że »o, skurwysyny złamali naszego Adasia«. Mówiliby, że »ten Żyd Michnik dał dupy«". Dużo tu przekory i mierzenia się z polskością. Cały Michnik.

JAKUB HALCEWICZ

© MP (4)

eprasa.pl b8c08e3ae2

Zapalna plotka



Pożar w Kurganie na pocztówce z 1915 r.

© DOMENA PUBLICZNA

Po klęsce powstania styczniowego przez miasta imperium Romanowów przeszła fala wielkich pożarów. Mało kto wierzył w przypadek. Rosjanie podejrzewali intrygę sił nieczystych i Polaków.

ALEXEY RESHTENKO

Symbirsk był jednym z pierwszych miast, które padły ofiarą kataklizmu, jaki ogarnął Powołże i Syberię. Zaczęło się latem 1864 r.: między 13 a 21 sierpnia seria pożarów obróciła w zgliszcza trzy czwarte miasta. Początkowo władze tłumaczyły, że to przypadek, lecz gdy w pobliżu miejsca jednego z pożarów znaleziono porzucone miotły z wetkniętymi w nie fosforowymi zapałkami, po mieście zaczęły krążyć pogłoski o podpalaczach. Jakieś dzieci twierdziły, że mężczyzna w szarym żołnierskim szynelu smarował ściany łatwopalną cieczą. Poszła plotka, że za pożarami stoją polscy buntownicy. W czasie największej paniki tłum zabił kilka osób wziętych za Polaków.

Kilka dni później podobna atmosfera ogarnęła Barnauł. Między 19 a 27 sierpnia ogień strawił reprezentacyjną część miasta. Mieszkańcy podejrzewali o podpalenia zesłańców politycznych. Naczelnik Zakładów Ałtajskich donosił władzom, że przerażony lud jest gotów rozszarpać lub wrzucić w ogień pierwszego napotkanego Polaka, gdy tylko wybuchnie pożar. Aby zapobiec samosądom, zesłańcom politycznym nakazano pozostać w mieszkaniach. Polacy wcieleni do służby w 10. batalionie zostali aresztowani i umieszczeni w koszarach.

Ogień w Kurganie zniszczył 70 domów. Wzburzenie rosło, a horodniczy (naczelnik miasta) obawiał się zamieszek i linczu. Siły policyjne, którymi dysponował, były – jak sam przyznawał – niewystarczające do utrzymania porządku.

Antypolskie nastroje

Dziś socjologowie opisują podobne zjawiska jako panikę moralną – przestraszona społeczność znajduje grupę, na którą przenosi lęki. Sama fala pożarów nie wystarczyłaby jednak do stworzenia legendy o polskich podpalaczach – potrzebny był podatny grunt. Kurgan, miasto powiatowe, był niewielkim ośrodkiem liczącym ok. 2 tys. osób, w większości prawosławnych. Po powstaniu styczniowym zesłano do niego ok. 100 Polaków uznanych za przestępców politycznych. Zaledwie siedmiu przyjechało z rodzinami. Większość stanowili samotni, dobrze wykształceni szlachcice. W Kurganie nie było dla nich pracy. Miejscowi kupcy prowadzili interesy po staremu i nie potrzebowali księgowych ani ludzi wykształconych. Polacy utrzymywali się z niewielkiego państwowego zasiłku. Ich bezczynność rzucała się w oczy. Brakowało im polskich gazet i książek. Zesłany lekarz, dr Michał Żaba, w prywatnej korespondencji skarżył się na „czysto zwierzęce, bezcelowe życie", które odzwyczaja od pracy umysłowej i prowadzi do apatii. Wieczory spędzano w gronie rodaków. Przy samowarze i papierosach wspominano dawne czasy i ojczyznę. Z czasem zesłańcy urządzili teatr w zwykłym spichlerzu, gdzie wystawiali komedie, tragedie, operetki.

W lokalnym środowisku Polacy czuli się wyobcowani. W listach skarżyli się, że rozrywką miejscowych są „butelka i karty". Wymuszona izolacja polskiej społeczności pogłębiała alienację między zesłańcami a większością mieszkańców miasta.

Lato 1864 r. wyjątkowo obfitowało w pożary. W okręgu kurgańskim wybuchło ich ponad 100. Na bazarach, w karczmach

eprasa.pl b8c08e3ae2

i na zgromadzeniach chłopi oraz mieszczanie dzielili się niepokojącymi plotkami, coraz częściej winiąc za wszystko polskich zesłańców. Lokalne władze skrupulatnie odnotowywały te nastroje – w raportach kurgańskiego horodniczego zachowały się streszczenia bazarowych rozmów. Mieszkańcy mówili: „Wcześniej nie było przestępców politycznych – nie było też pożarów; osiedlili się tutaj – zaczęły się i pożary". Jeśli ktoś bardziej roztropny próbował przywołać tłum do rozsądku, natychmiast zamykano mu usta oskarżeniami: „Widać i on trzyma z Polakami".

Władze starały się położyć kres plotkom, jednak same stawały się obiektem podejrzeń. W policyjnych dokumentach czytamy o pogłoskach, jakoby horodniczy i szef policji przyjęli od Polaków po 12 tys. rubli łapówki i dlatego ich kryją. Wielu mieszkańców widziało jednak, że zesłańcy żyją w skrajnej nędzy i z trudem wiążą koniec z końcem. Skoro nie mogli przekupić władz pieniędzmi, ludowa wyobraźnia rodziła nowe wyjaśnienia, które trafiły do akt śledztwa. Polakom przypisywano zdolność czarowania, mówiono, jakoby zaklinali wino lub „szczepili krew" Rosjanom, po czym ci wbrew własnej woli szli podpalać domy. W atmosferze strachu i wrogości coraz częściej pojawiały się propozycje, by zamknąć wszystkich przestępców politycznych w jednym domu pod surową strażą.

Wielki pożar wybuchł 9 września ok. godz. 21.00 na głównej ulicy miasta, na podwórzu kupca Galamina – ogień pojawił się w wąskiej przestrzeni między jego budynkami gospodarczymi a zabudowaniami sąsiada. Żywioł rozprzestrzeniał się z taką prędkością, że Galamin nie zdążył uratować inwentarza. Porywisty wiatr roznosił płonące głownie i strzępy palącego się siana, błyskawicznie podpalając dachy następnych domów. Wieża strażacka i remiza zajęły się jako jedne z pierwszych. Powiatowa kasa znajdowała się zaledwie 60 m od płonącej wieży. Otaczający ją płot zdążono rozebrać, a skrzynie z pieniędzmi wynieść ze skarbca. Drzwi wejściowe, które już zaczęły się tlić, ratowano, narzucając na nie zmoczone wodą filce. Budynek ocalał dzięki temu, że wiatr zmienił kierunek.

Miejscowa policja oraz straż ogniowa (zaledwie ośmiu strażaków dysponujących skromnym sprzętem) okazały się bezsilne wobec skali pożaru. Mieszkańcy Kurganu nie spieszyli z pomocą: ogarnięci paniką pozostawali przy własnych domach, strzegąc mienia już załadowanego na wozy. Żywioł szalał przez całą noc, niszcząc najlepszą część miasta.

Zesłańcy polityczni dobrowolnie i z poświęceniem pomagali w walce z ogniem. Następnego dnia nikt już nie pamiętał, kto ratował miasto. Gdy tylko niebezpieczeństwo minęło i pożar został opanowany, mieszkańcy ponownie zaczęli pytać, kto ponosi winę za katastrofę. Znów mówiono tylko o polskich podpalaczach.

Samosądy i śledztwo

14 września wybuchł pożar w stodole urzędnika Roszczikowa znajdującej się niedaleko cerkwi, w której właśnie trwało nabożeństwo. Zbiegł się tłum i szybko ugasił ogień, dzięki czemu dom Roszczikowa oraz sąsiednie zostały uratowane. Jednakże pożar zaledwie pięć dni po katastrofie z 9 września wywołał w mieście wzburzenie. Wśród pomagających przy gaszeniu znalazł się także jeden z zesłanych Polaków, Pielichowski. Kilka osób rzuciło się na niego i dotkliwie pobiło. Tylko interwencja przybyłego w porę horodniczego położyła kres zajściu, które mogło zakończyć się zabójstwem. W rozganianiu tłumu i zaprowadzaniu porządku pomagał asesor sądu ziemskiego Popow. Podczas całego zamieszania jeden z zebranych – chłop Matagajew – znieważył Popowa i zamachnął się na niego toporem. Swój czyn usprawiedliwiał później tym, że w chaosie wziął urzędnika za Polaka.

W tym czasie w domu Łatyszewa kilku zesłańców przygotowywało posiłek. Słysząc z ulicy krzyki „Pożar!", przestraszyli się i zgasili ogień w palenisku. Z komina buchnęła gęsta para. Przechodnie wzięli ją za znak kolejnego podpalenia i wdarli się do mieszkania zesłańców. Rozwalili piec i pobili jednego z Polaków. Tego samego dnia fala przemocy objęła także innych zesłańców. Kilku z nich złożyło później skargi na pobicia, zniewagi i samowolne rewizje.

Gubernator tobolski nie mógł przybyć do Kurganu. W tym czasie do Tobolska napływały kolejne grupy zesłańców politycznych, a w innym mieście powiatowym guberni – Tarze – również wybuchł wielki pożar.

Do wyjaśnienia okoliczności wydarzeń i przywrócenia porządku gubernator skierował do miasta urzędnika do zadań specjalnych, Pietrowa. Powierzono mu pełnienie obowiązków naczelnika Kurganu i okręgu kurgańskiego do czasu unormowania sytuacji. Pietrow zastał miasto i okręg w stanie skrajnego napięcia. Nieustające pożary zrodziły atmosferę strachu, podejrzliwości i niemal panicznego oczekiwania na kolejne nieszczęście.

W raporcie dla gubernatora tobolskiego Pietrow opisywał mentalność mieszkańców. Niektórzy widzieli w ogniu karę Bożą. Matka jednego z kupców ganiła syna za zamiar ubiegania się o odszkodowanie za spalony majątek: „Bezbożnik z ciebie! Bóg karze cię ogniem, a ty bierzesz od ludzi pieniądze. Przecież to grzech". Inni upatrywali w pożarach intrygę sił nieczystych. We wsi Popowa po wybuchu ognia ok. 50 chłopów konno ścigało po polu psa, biorąc go za biesa podpalającego domy. Większość mieszkańców była jednak przekonana: „Polacy, buntując się, podpalają".

Narzędzie zemsty

W trakcie dochodzenia Pietrow doszedł do wniosku, że większość pożarów została wywołana czynnikami naturalnymi oraz ludzką nieostrożnością. Umyślne podpalenia, jak ustalono, były popełniane wyłącznie przez miejscowych. Kłótnie, wrogość i żądza zemsty istniały już wcześniej, jednak zazwyczaj ograniczały się do osobistych zniewag. Fala pożarów oraz plotki o Polakach podpalaczach zmieniły tę sytuację. Według Pietrowa, rozumiejąc, że podejrzenia padną na przestępców politycznych, miejscowi wykorzystali podpalenia jako dogodne narzędzie zemsty.

Śledczy stykali się również z sytuacjami, w których motywy sprawców nie dawały się logicznie wytłumaczyć. Jak w przypadku kobiety, którą uznano za winną podpalenia, lecz która nie była w stanie „zdać sprawy" z własnych działań.

Według świadectw miejscowej policji i władz wszyscy przebywający w Kurganie zesłańcy polityczni wiedli „całkowicie nienaganne życie". Śledztwo nie potwierdziło ich udziału w serii pożarów. Pietrow doszedł do wniosku, że przekonanie mieszkańców o winie Polaków jest „zupełnie bez podstaw". Zapowiedział wprost, że rozpowszechnianie plotek o udziale Polaków w podpaleniach będzie ścigane z mocy prawa jako naruszenie spokoju publicznego. Polscy podpalacze okazali się wytworem strachu i plotek.

Autor jest potomkiem polskich zesłańców syberyjskich, studentem historii na Uniwersytecie Warszawskim. Zajmuje się historią społeczną XIX w. ze szczególnym uwzględnieniem losów sybiraków.

eprasa.pl b8c08e3ae2

Skala ocen: 1(dno)–6(wybitne)

film

Sędziowie i kaci 5/6

Primetime, reż. Lance Oppenheim, prod. USA, 109 min, w kinach od 9 października



Amerykańska telewizja ma na swoim koncie wiele programów wątpliwych moralnie, jednak nadawany przez NBC „To Catch a Predator" należał do najbardziej niesławnych. Za pomocą ukrytych kamer i telefonicznych podsłuchów ekipa śledziła spotkania domniemanych pedofilów z ich ofiarami (odgrywanymi przez pełnoletnich aktorów), w kluczowym momencie do akcji wkraczał gospodarz programu Chris Hansen, a w ślad za nim policja. Upublicznienie wizerunku i danych osoby złapanej na próbie dokonania przestępstwa oznaczało wydanie wyroku, zanim sprawa trafiła do sądu. W jednym z przypadków telewizyjna interwencja zakończyła się tragedią.

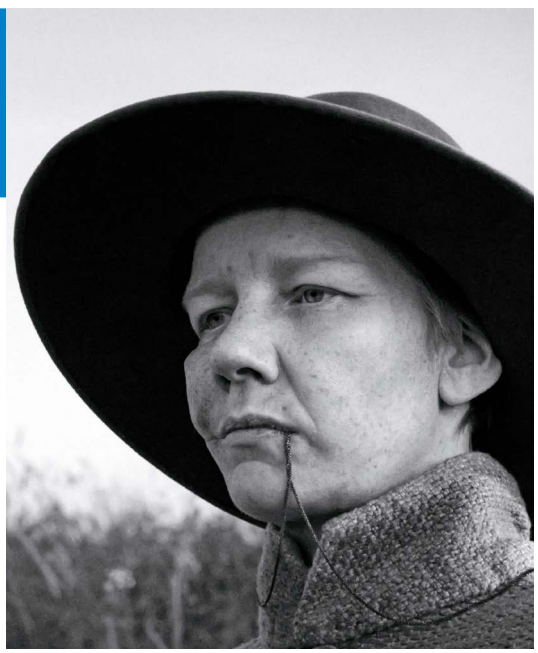
Historię „To Catch a Predator" przypomniał w 2025 r. świetny dokument Davida Osita „Drapieżnicy" (w Polsce pokazywany, niestety, wyłącznie na festiwalach). Teraz w fabularnym filmie „Primetime" za kulisy programu zagląda Lance Oppenheim. Uwagę skupia na trzech postaciach: Hansenie (fenomenalna, hipnotyzująca rola **Roberta Pattinsona**, może najlepsza w bardzo przecież dla niego udanym roku), zapatrzonej w słupki oglądalności producentce Andie Bender (Merritt Wever gra fikcyjną postać, choć wzorowaną na prawdziwych osobach pracujących dla stacji NBC) oraz Danie (Skyler Gizondo), aspirującym aktorze, który przyjmuje rolę przynęty na pedofilów. Szczególnie jednego, który – jak wierzy Hansen – jest wysoko postawionym politykiem i może zapewnić audycji olbrzymi rozgłos. „Primetime" odtwarza kolejne etapy realizacji programu, lecz jest czymś więcej niż rekonstrukcją zdarzeń. To raczej rozpięta między psychologicznym dramatem a halucynacyjnym thrillerem refleksja na temat roli mediów, dziennikarskiej odpowiedzialności, cienkiej granicy między sprawiedliwością i zemstą, karą i upokorzeniem. Może wydawać się w swojej analizie spóźniona, lecz warto czytać ją jako wspomnienie czasów, w których telewizja zapowiadała epokę cyfrowego wojeryzmu i niekontrolowanej jatki odbywającej się w mediach społecznościowych, gdzie każdy może poczuć się sędzią i katem w jednej osobie.

JAKUB DEMIAŃCZUK

film

Nietolerancja 5/6

Róża (Rose), reż. Markus Schleinzer, prod. Austria, Niemcy, 94 min, w kinach od 9 października



Bezkompromisowa, surowa przypowieść odważnie eksplorująca temat wolności w czasach patriarchatu. Akcja osadzona w odizolowanej protestanckiej wiosce, gdzie lęk przed obcym jednoczy wspólnotę i wyznacza schematy zachowań, odwołuje się do autentycznej historii kobiety straconej za „sodomię" (rozumianą jako miłość homoseksualna i udawanie nie swojej płci). Ostatniej takiej egzekucji w Niemczech dokonano w Halberstadt w XVIII w. Film wraca do tych wydarzeń, opisując losy kobiety w męskim przebraniu, udającej powracającego z wojny trzydziestoletniej żołnierza z bliznami na twarzy. Wciela się w nią wybitna **Sandra Hüller** – opancerzona w męski strój niczym w zbroję, tworzy kolejną niezwykłą kreację w swojej karierze. Jej postać podaje się za dawno zaginionego syna właściciela porzuconego gospodarstwa i przedstawia dokumenty potwierdzające jego prawo do ziemi. Z czasem ciężką pracą i bogobojną postawą zyskuje akceptację nieufnych mieszkańców. Aby umocnić przybraną tożsamość, poślubia córkę bogatego rolnika, żyjąc w nieustannym strachu przed zdemaskowaniem. Film kładzie akcent na tragizm, można w nim dostrzec odbicie regresywnych tendencji współczesności, gdy mężczyźni próbują odzyskać kontrolę, kwestionując prawa mniejszości oraz kobiet. Albo cichy hołd dla (nie) widzialności osób queer – historii, która przez wieki była wymazywana.

JANUSZ WRÓBLEWSKI

eprasa.pl b8c08e3ae2

film

Więcej ognia 3/6

Mniej obcy, reż. Kristoffer Rus, prod. Polska, 125 min, Netflix



Biografia Jana Borysewicza, lidera i współzałożyciela zespołu Lady Pank, którego w filmie zagrał debiutant **Mikołaj Bukrewicz**. Podołał zadaniu i nieźle poradził sobie z wieloma ekscentrycznymi wyzwaniami tej produkcji, nadając postaci własną, przekonującą autentyczność. Fabuła śledzi losy Borysewicza od dzieciństwa na wrocławskim Sępolnie, przez pierwsze fascynacje Hendrixem i rock'n'rollem, przełamywanie tremy, aż po ogromny sukces muzyczny w szarówce stanu wojennego i kolorowe życie gwiazdy (nie pomijając niesławnego obnażenia się na Stadionie Olimpijskim we Wrocławiu na koncercie z okazji Dnia Dziecka). Lejtmotywem tej historii są zmagania z porywczym charakterem, nałogami, poczuciem winy wobec rodziny oraz trudną relacją z ojcem i własnym dzieckiem ujęte w formę monologu i rozmowy z Bogiem, w której bohater wylewa swoje żale i skargi za śmierć brata, trudne dzieciństwo, cierpienie chorującej matki czy opresje ze strony milicji. A to infantylizuje i odcina refleksję, wtłaczając rebelię i obrazoburstwo w przewidywalne, utarte ramy umoralniającego widowiska o upadku gwiazdy i próbie podniesienia się z dna. O ironio, największym atutem produkcji są utwory Lady Pank skomponowane przez Borysewicza do tekstów Andrzeja Mogielnickiego, które nadają filmowi energię i przeczą nużącej, pretensjonalnej konwencji filmu. JW

© M2 FILMS, GUTEK FILM, ZUZA WOIŃSKA/NETFLIX, HBO MAX, WFF



serial

Kim jestem 4/6

Zmora, według powieści Roberta Małeckiego, reż. Łukasz Jaworski, 6 odc., HBO Max

Player swego czasu ekranizował cykl kryminałów Remigiusza Mroza „Chyłka" z **Magdaleną Cielecką** w głównej roli, teraz należąca do tej samej grupy medialnej platforma HBO Max powtarza tamten ruch, zmieniając tylko autora kryminalnego cyklu. Kama Kosowska, znana dziennikarka śledcza prowadząca własny program w telewizji, jest – jak wcześniej prawniczka Chyłka – charyzmatyczną kobietą z traumatyczną przeszłością i wybuchowym charakterem, a Robert Małecki – a za nim uwspółcześniający powieściowe, liczące sobie już pięć lat wątki, scenarzyści Kacper Wysocki i Adam Guziński – konstruuje intrygę z klocków, którymi przed nim bawiło się już wielu. Oto znajdująca się na zawodowym zakręcie bohaterka wraca do rodzinnego Torunia, gdzie akurat nowy śledczy (**Piotr Żurawski**) wznawia sprawę z lat 90. – zaginięcia przyjaciela Kamy, w czasie ich wspólnej zabawy, gdy jako nastolatki spędzali z rodzinami wakacje nad jeziorem. Wtedy śledztwo prowadził ojciec Kamy (Piotr Głowacki), który teraz staje się podejrzanym. Stopniowo wychodzą na jaw kolejne sekrety, akcja rozgrywa się już w trzech płaszczyznach czasowych, równolegle rozwijany jest temat mocy słów, decyzji i wydarzeń, które przywierają i wpływają na dalsze życie człowieka, na to, jak widzą go inni i jak widzi się on sam. „Zmora" to solidna i gładka rozrywka, dobrze oddająca dominujący trend w dzisiejszej produkcji streamingowej.

ANETA KYZIOŁ

festiwal

Moc filmów

42. Warszawski Festiwal Filmowy
9–18 października



Tegoroczną edycję WFF otworzą „Debiut" Jessego Eisenberga, uznawany za jednego z oscarowych faworytów, z **Julianne Moore** w roli gospodyni domowej, której skromny występ w lokalnym teatrze niespodziewanie rozbudza wielkie ambicje, oraz „Błogosławieństwo ziemi" Hansa Pettera Molanda, ekranizacja powieści noblisty Knuta Hamsuna. W konkursie międzynarodowym weźmie udział m.in. zwycięzca Gdyni „Przez ścianę" Macieja Sobieszczańskiego z Marią Dębską i Jakubem Gierszałem. Z innych festiwalowych przebojów warto wymienić głośny „Fiord" Cristiana Mungiu (Złota Palma w Cannes), antywojenne „Ocalenie" Emina Alpera (Złoty Niedźwiedź na Berlinale) oraz najnowsze produkcje Danny'ego Boyle'a, Paula Greengrassa, Ryūsuke Hamaguchiego, Hirokazu Koreedy, Andrieja Zwiagincewa czy Jamesa Graya. W sekcji prezentującej dokumenty m.in. światowa premiera „Kaszpirowski. Under The Spell" Łukasza Konopy o telewizyjnym uzdrowicielu, którego programy osiągały rekordową oglądalność. Historia Kaszpirowskiego ukazana jest na tle rozpadu imperium sowieckiego, co podnosi wartość filmu. Ciekawie zapowiada się również niezależna produkcja „TEDE. Forever Rap" Krystiana Kuczkowskiego o jednym z pionierów polskiego rapu. W sumie na festiwalu zostanie zaprezentowanych 190 filmów. JW

Szczegóły: **wff.pl**

eprasa.pl b8c08e3ae2



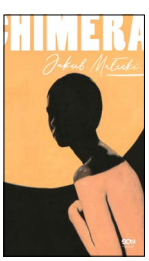
Ostatnia misja 4/6

Stephen King, Peter Straub, **Inne światy niż te**, przeł. Tomasz Wilusz, Prószyński i S-ka, Warszawa 2026, s. 856



Na okładce książki widnieją nazwiska dwóch autorów, choć wiadomo, że wkład zmarłego w 2022 r. Petera Strauba był raczej symboliczny. King skorzystał z jego kilku pomysłów i wskazówek, ale ich wspólną literacką podróż, rozpoczętą ponad 40 lat temu „Talizmanem", musiał dokończyć samodzielnie. Także to sprawia, że „Inne światy…" są przesycone goryczą i poczuciem nieubłaganie nadchodzącego końca – nie tylko wymyślonego na potrzeby książek świata, lecz także pisarskiej kariery Kinga. Autor rzecz jasna z czytelnikami się jeszcze nie żegna, trudno jednak pozbyć się wrażenia, że powoli domyka wątki, które konstruował przez lata. W nowej powieści po raz kolejny spotykamy Jacka Sawyera, mężczyznę, który potrafi przechodzić między współczesną Ameryką a Terytoriami, czyli Światem Pośrednim, przypominającym zderzenie nowoczesnej cywilizacji z krainą fantasy. Nie on jeden ma taką umiejętność, gdy więc do Świata Pośredniego przedostaje się para seryjnych morderców ze Stanów Zjednoczonych, to Jack – w dawnym życiu doświadczony policjant – okazuje się tym, który może ich powstrzymać. Jednocześnie w Terytoriach budzi się mroczna siła zdolna unicestwić rzeczywistość. „Inne światy…" to King w dobrej formie, sprawnie mieszający fantastykę, horror, kryminał i liczne cytaty filmowe: zwłaszcza klasyczna „Cena strachu" jest tu wyraźną inspiracją, do której i autor, i bohaterowie jego książki odwołują się wprost. Nieznajomość poprzednich tomów (po „Talizmanie" był jeszcze „Czarny dom") oraz serii „Mroczna wieża" może jednak odebrać sporą część czytelniczej frajdy.

JAKUB DEMIAŃCZUK



Z cyrku do pałacu 4/6

Jakub Małecki, **Chimera**, Sine Qua Non, Kraków 2026, s. 272

Jakub Małecki umie wciągać w swoje literackie światy. Za każdym razem są starannie uplecione, hipnotyczne, zawieszone między snem i jawą. Bohater jego najnowszej powieści też stwarza swój świat od zera, żyje we własnej głowie, w wyobrażonym pałacu. W ten sposób ucieka od rzeczywistości, która toczy się sama, siłą rozpędu, od przypadku do przypadku. Ale są to nadzwyczajne przypadki. Chłopak imał się od zawsze podejrzanych zajęć, np. pomagał paniom do towarzystwa, okradając ich klientów. Lata wojny przeżył w klasztornej piwnicy, pod ochroną dobrodusznej siostry Loretty. Kolejnym zrządzeniem losu znalazł zatrudnienie w cyrku, był klaunem, a potem nagle został maszynistą na statku, który transportował partyzantów z Wietnamu. U tego autora nie dziwi rozmach fabularny, geograficzny ani słoń na pokładzie. Małecki jest pierwszorzędnym fantastą, jego bohater – jak tytułowa Chimera – ciągle szuka własnej tożsamości, kradnie cudze (dosłownie), jest rozdarty, trochę dobry, trochę zły. Ma jeden cel – przetrwać. A czytelnik kibicuje mu i wiele wybacza. „Środek twojej głowy powinien być dodatkiem do tego, co jest na zewnątrz" – słyszy bohater, który długo pozostaje bezimienny. Małecki swoim zwyczajem odsłania powoli kolejne warstwy tej przygody. Rozpoczyna od słów, które pasują chyba do każdej jego książki: „Nie mogę już patrzeć na duchy". Bardzo dobre pierwsze zdanie.

ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA



Osobliwa osobistość 5/6

Robert Walser, **Mikrogramy wybrane**, przeł. Małgorzata Łukasiewicz, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2026, s. 288

W posłowiu znakomita tłumaczka Małgorzata Łukasiewicz, która od lat przybliża nam postać Roberta Walsera, pisze, że „stworzył dla siebie własne literackie królestwo, gdzie mógł sobie poczynać, jak mu się podobało". To królestwo to mała kartka i zminiaturyzowane do nieczytelności pismo ołówkowe. Dostajemy w tym tomie odczytane mikrogramy, w których czasem brak pewnych słów, a co do innych były wątpliwości. Po śmierci Walsera w 1956 r. odkryto 526 kart zapełnionych literkami, które miały 1,5 do 3 mm. Prace nad odczytywaniem korpusu trwały aż do 2000 r. i wyszło tego po niemiecku sześć tomów. Mikrogram należy nie tylko do literatury, ale jest też dziełem sztuki, w którym chaos łączy się z porządkiem. A dla autora pisanie było pokonywaniem materialnego oporu, metoda ołówkowa uratowała go w kryzysie. Teksty zebrane w tym tomie to felietony, miniatury, zaczepne eseje, w których znajdziemy tę „osobliwą osobistość" – jak nazwał siebie samego. Zajmują go rzeczy z zasady marginalne, tworzy swój własny gatunek literacki, który przypomina przechadzkę. „Leniwie, to jest bez planu, wałęsałem się wczoraj po południu za uprzejmą zgodą czytelników i czytelniczek, zapraszając wrażenia krajobrazowe, by zawitały do mnie spacerkiem". Pisanie i ruch łączą się tu w tajemniczy sposób. Więcej, Walser pisze często tak, jakby tańczył, wykonując piruety. Tworzył właściwie na własny użytek, bo tylko on potrafił odcyfrować to, co napisał. I paradoksalnie stał się jednym z najważniejszych pisarzy XX w. Literatura do znikania okazała się najbardziej trwała.

JUSTYNA SOBOLEWSKA

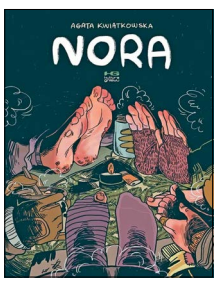
eprasa.pl b8c08e3ae2

komiks

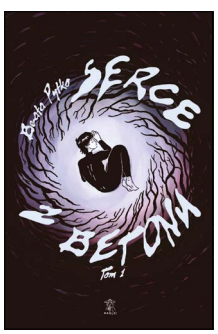
Przeszłość i przyszłość



Dla czytelników, którzy **Berenikę Kołomycką** znają przede wszystkim jako twórczynię komiksów dla dzieci, lektura **„Czy tutaj śpiewają ptaki?”** (Timof Comics, **5/6**) może być zaskoczeniem. Autorka sięga po losy swojej rodziny – jej stryjeczny dziadek, działacz PPS, był jedną z osób, którym udało się uciec z obozu w Auschwitz – nie tylko dla celów fabularnych, lecz także po to, by opowiedzieć o samym procesie odkrywania historii i o własnych doświadczeniach wynikających z mierzenia się z bolesną przeszłością. Pięknie namalowany album jest jednocześnie wyciszony, intymny i pełen napięcia, przejmujący, lecz niepozbawiony humoru i nadziei. Artystka umiejętnie wpisuje prywatną historię w szerszy, także współczesny kontekst, a przy tym unika schematycznego epatowania przemocą, co jej opowieści nie odejmuje przecież ani grozy, ani powagi.



W debiutanckiej **„Norze”** (Kultura Gniewu, **4/6**) **Agata Kwiatkowska** przybliża działalność Wilczyc, grupy aktywistycznej, która toczyła nierówną walkę z Lasami Państwowymi o ocalenie fragmentów Puszczy Karpackiej przeznaczonych do wycinki. W sercu lasu Wilczyce stworzyły prowizoryczny obóz, który stał się nie tylko symbolem oporu przeciw niszczeniu przyrody, lecz także miejscem budowanym na solidarności i równości „bez dominacji człowieka nad naturą, queerfobii, faszyzmu i przyzwolenia na przemoc”. Zapis kilkunastu miesięcy blokady, ostatecznie bezpardonowo spacyfikowanej, to świadectwo odwagi osób, które stanęły w obronie puszczy, ale też zapis mentalności władz, dla których zysk zawsze będzie ważniejszy od przyrodniczego dziedzictwa. „Nora” miejscami wpada w ton interwencyjnego reportażu, ale pisanego i (świetnie) rysowanego z sercem i pasją.



Utracone relacje człowieka z naturą są również jednym z elementów **„Serca z betonu”** (Nagle! Comics, **4/6**), pierwszej części nowego komiksu **Beaty Pytko**, onirycznego, impresyjnego science fiction, rozgrywającego się w dalekiej przyszłości. Ludzie – wśród nich introwertyczna konstruktorka Robin oraz dendrolożka Val, marząca o odtworzeniu prawdziwego lasu, choćby w laboratoryjnych warunkach – mieszkają w Kolosie, autonomicznej strukturze, która ma zapewnić przetrwanie gatunku. Gdy ściany molocha zaczynają powoli pękać, niepewność jutra rośnie. Autorka zamiast postapokaliptycznej grozy daje jednak kameralną opowieść o stłumionych uczuciach i lęku przed nawiązywaniem bliskich relacji. Niewiele tu akcji, za to dużo przestrzeni – także w ilustracjach – na refleksję, budowanie postaci, kreowanie świata u progu zagłady i stawianie pytań, na które odpowiedzi znajdą się pewnie w kolejnym tomie „Serca…”.

JAKUB DEMIAŃCZUK

muzyka

Długi lot 5/6

Komety, **Noc z Kleopatrą**, Peleton



Upłynęło już bez mała ćwierć wieku od startu Komet. To wystarczająco dużo, by zespół, który wypłynął na fali revivalu archaicznego rockabilly, mógł już mieć za sobą przynajmniej kilka zwrotów w stylu uprawianej muzyki. A jednak Lesław z kolegami uparcie trwają przy wersji rock’n’rolla wymyślonej w latach 50. w Ameryce. Kolejne albumy dowodziły zdumiewającej konsekwencji w trwaniu przy wciąż tym samym idiomie muzycznym. Zmieniały się tylko melodie albo – jak przy okazji „Nocy z Kleopatrą” – wzbogaceniu ulegało instrumentarium. Ta najnowsza płyta potwierdza wielki talent Lesława w komponowaniu piosenek, wystarczy posłuchać takich choćby kawałków jak „Nowa epoka”, „Tylko ty”, „Wieczne wakacje” czy krótki instrumentalny utwór „Chwyt Tobingtona”. Ale recenzowany album można też traktować w charakterze kolejnego pola eksploracji w obrębie tej jednej formuły muzycznej. Owszem, są zaskakujące niekiedy ornamenty, jak „orientalizacja” w utworze tytułowym, czy świetne jazzujące solówki trąbki (ukłony dla Piotra Korzeniowskiego), ale nie ma wątpliwości: to ciągle stary, dobry rock’n’roll, jak dawniej dynamiczny i żywiołowy.

MIROSŁAW PĘCZAK

galeria

Za króla Edwarda 5/6

Sekretne komnaty władzy ludowej,
Zamek Królewski w Warszawie, do 17 stycznia 2027 r.



Zamkowe przestrzenie kojarzą się raczej ze świetnością wieków dawnych, a nie z pomysłami słusznie minionych czasów PRL. Chyba że odbudowywała owe przestrzenie ludowa władza i w związku z tym rodziły się pokusy, by np. stworzyć specjalne pomieszczenia do dyskretnego goszczenia szczególnie ważnych gości. A w głębokiej tajemnicy, w połowie lat 70., realizowano projekt wydzielenia całego skrzydła (!) oddawanego właśnie do użytku Zamku Królewskiego na potrzeby luksusowych apartamentów, bankietów, spotkań. Zbudowano nawet specjalną windę (nieczynną od 50 lat), która dyskretnie dowoziłaby tam specjalnych gości. Projekt upadł wraz z epoką Edwarda Gierka i z czasem o wszystkim zapomniano. Aż do niedawna. Historia wyszła na jaw właściwie przypadkowo, gdy obecne kierownictwo muzeum natrafiło na dziwaczne elementy wystroju biurowych pokoi (np. ściany wykładane szlachetnymi marmurami czy wysokiej klasy boazeriami, wystające ze ścian podłączenia sanitariatów). Po wręcz detektywistycznej pracy udało się zrekonstruować część owych wnętrz, odszukać rozproszone elementy wyposażenia, zebrać to wszystko w całość. Niezwykła to ekspozycja. Z jednej strony absurdalna w swej wymowie, bo prezentuje coś, co nigdy nie zaistniało. Z drugiej – dobitnie ukazująca szaleństwa i fantazje socjalistycznej (ale czy tylko?) władzy i jej wyobrażania luksusu.

PIOTR SARZYŃSKI

© FRANÇOIS SECHET/LEEMAGE/GETTY IMAGES, ZKW, MP (8)

eprasa.pl b8c08e3ae2



Szczepan Twardoch (ur. 1979 r.) – pisarz, publicysta, dramatopisarz, autor bestsellerowych powieści: „Morfina" (2012 r.), „Drach" (2014 r.), „Król" (2016 r.), „Królestwo" (2018 r.), „Pokora" (2020 r.), „Chołod" (2022 r.), „Powiedzmy, że Piontek" (2024 r.) i „Null" (2025 r.). Laureat Paszportu POLITYKI za „Morfinę". Tegoroczny laureat Nagrody Literackiej Nike za powieść „Null", wyróżnioną również przez czytelników.

Rachunki przemocy

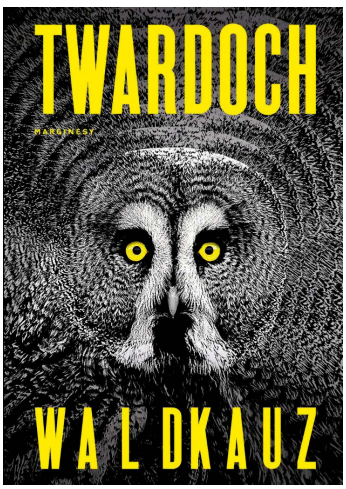
Od kiedy zobaczyłem na własne oczy wojnę, boję się, że kiedy przyjdzie do nas, to sam będę już za stary, żeby walczyć, za to będę musiał patrzeć, jak zabiera moje dzieci – mówi Szczepan Twardoch, tegoroczny laureat Nagrody Nike za powieść „Null", w przededniu wydania nowej książki „Waldkauz".

eprasa.pl b8c08e3ae2

JUSTYNA SOBOLEWSKA: **– „Waldkauz" to powrót na Górny Śląsk, powieść z założenia gatunkowa, przygodowa ze zjawiskami nadnaturalnymi, wszystko dzieje się w 1919–20 r. To miał być odpoczynek po pisaniu wojennego „Nulla"?**

SZCZEPAN TWARDOCH: – Zamierzałem być może napisać coś lżejszego, coś bardziej gatunkowego niż to, co mi finalnie wyszło, potem jednak powieść sama znalazła swoją dykcję i ta gatunkowość okazała się dość powierzchowna. Potrzebowałem oddechu, czegoś bliskiego, dlatego też Górny Śląsk, o którym opowiadanie zawsze jest dla mnie bardzo intymne. W trakcie pisania okazało się jednak, że wymyślona jako lekka powieść wcale taka lekka nie jest i przeprowadzenie jej emocjonalnie sporo mnie kosztowało. Ale to chyba tak zawsze jest u mnie z poważnym pisaniem.

Ta powieść uruchamia lęki, które zrozumieją rodzice. Bohater Wilhelm Pisulla próbuje przekupić lekarza, żeby syna nie wzięli do wojska. Potem szuka syna, boi się, że go stracił. W dzisiejszej rzeczywistości myśli się o takich rzeczach jak mobilizacja naszych dzieci…



Od kiedy zobaczyłem na własne oczy wojnę, boję się, że kiedy przyjdzie do nas, to sam będę już za stary, żeby walczyć, za to będę musiał patrzeć, jak zabiera moje dzieci. To straszna perspektywa, widoczna, owszem, w tej książce, ale pisząc, szukałem też innych tropów, jak zawsze chcąc, by moje powieści były wielogłosowe i wielotematyczne, w ten sposób odpowiadając złożoności i chaosowi ludzkiego doświadczenia. Stąd np. fantastyczne oblicze świata przedstawionego „Waldkauza", które w logice tego świata bynajmniej nie należy do sfery fantazji, jest żywym i realnym doświadczeniem dla moich bohaterów, tak jak żywe było jeszcze dla ludzi, których osobiście znałem, dla nich obecność utopców w Bierawce nie była fantazją, lecz spersonifikowanym chtonicznym i wodnym zagrożeniem. Miałem z tego sporo pisarskiej satysfakcji, podobnie jak np. z konstrukcji języka drugiej duszy Wilhelma Pisulli.

Bohater ma dwie dusze, czyli jest upiorem. I ta druga dusza mówi dosadnie.

To jest bardzo archaiczna śląszczyzna, którą oparłem w dużej mierze na pracy naukowej „Ty bestyja! Ty kamelo!" poświęconej agresji językowej zawartej w aktach sądów rozjemczych z archiwum w Opolu, które rozstrzygały sprawy mniejszego kalibru, jak te o zniesławienie. W tych śląskich obelgach sprzed 150 i więcej lat znalazłem wiele lingwistycznie ciekawych tropów, z których miałem dużo językowej frajdy. Druga dusza jest bardzo ważna dla tej powieści i jest to w dość oczywisty sposób konstrukcja upioryczna – chociaż samo słowo „upiór" w powieści się nie pojawia. Na Śląsku nie używano słowa upiór, mówiono: strzyga.

Warstwa nadnaturalna, smok, puszczyk „waldkauz", utopce, nie dominują tematów tej książki. Jednym z nich jest zarażenie przemocą. Wojna psuje ludzi, rozkręca spiralę przemocy, jak w przypadku braci Miodków i tej masakry, o której pisze pan w powieści?

Masakra w lesie Dioblina, nieopodal ówczesnego szynku Ryszki w Józefce, będącej dziś dzielnicą Piekar Śląskich, wydarzyła się naprawdę, jak wiele innych wydarzeń z kart „Waldkauza". Pierwszy raz przeczytałem o niej we „Frontiers of Violence" T.K. Wilsona, świetnym studium porównującym metody oraz intensywność przemocy w Irlandii Północnej i na Górnym Śląsku w latach 1918–22, gdzie Wilson stawia bardzo interesującą tezę: w Ulsterze przemoc miała charakter transgraniczny, przy czym oczywiście nie chodzi tu o granicę państwową, lecz o dwie całkowicie osobne grupy: ulsterskich katolików i protestantów posługujących się tym samym językiem, lecz poza tym absolutnie rozdzielonych, bez płynnej tożsamości pomiędzy, bez mieszanych małżeństw. Ku pewnemu zaskoczeniu Wilsona na Górnym Śląsku takich granic pomiędzy Polakami a Niemcami wyznaczyć się nie da i dlatego w przeciwieństwie do – w pewnym sensie sformalizowanej, chłodnej, przybierającej formę wyroku – przemocy w Irlandii ta śląska jest o wiele intensywniejsza, gwałtowna, skupiona na zniszczeniu i zbezczeszczeniu ciał ofiar, bo też jej nieświadomym być może celem jest wyznaczenie granic w tej płynnej, etnicznej rzeczywistości.

Tylko jak stworzyć granice przechodzące przez rodziny?

Poprzez zbrodnie, których nie da się wybaczyć. Okrucieństwo i jego niewybaczalność wymuszają polaryzację. W każdym razie to, co napisał o tym Wilson, skłoniło mnie do starannego zbadania tematu. Zacząłem od prasy z epoki, skąd trafiłem do Geheimes Staatsarchiv Preussischer Kulturbesitz (Tajne Archiwum Państwowe Fundacji Pruskiego Dziedzictwa Kulturowego – przyp. red.) i dalej, przegryzłszy się przez polskie archiwa państwowe – na szczęście wszystko w formie cyfrowej – udało mi się odtworzyć dość spójny obraz zbrodni, ofiar i jej sprawców. Bracia Miodkowie, Florian i Robert, pochodzili z Piekar, w 1920 r. byli jeszcze bardzo młodzi, Florian miał 20 lat. W 1919 r. służyli w Pułku Strzelców Bytomskich, potem zdaje się Naczelne Dowództwo Polskiej Organizacji Wojskowej, mieszczące się w bytomskim hotelu Lomnitz i tak zwykle w epoce nazywane, utworzyło z nich coś w rodzaju grupy dywersyjnej i jeszcze przed drugim powstaniem wysłało notatkę do policji w znajdujących się zaraz za polską granicą Bobrownikach, prosząc o znalezienie kwatery dla Miodków tamże, aby dalej mogli wykonywać swoją pracę „w akcji polskiej na Śląsku".

Służąc w tej roli po wybuchu drugiego powstania, Miodkowie wraz z kilkoma kamratami przejęli dziesięciu ludzi pojmanych po zajęciu domu noclegowego w Maciejkowicach – o tym epizodzie pisze w swoich wspomnieniach piekarski powstaniec Emil Baron – zabrali ich najpierw na polską stronę, a następnie do Józefki, gdzie wszystkich zamordowali, okrutnie wpierw się nad nimi znęcając, po czym poszli na zabawę do szynku.

Odpowiedzieli za to?

Wszystkich pojmano jakiś czas później i pozostający pod kontrolą Międzysojuszniczej Komisji sąd w Opolu skazał ich na śmierć, chociaż zdaje się, że nie za Józefkę, ale za wcześniejsze zabójstwo piekarskiego żandarma. Wyroków, zdaje się, nie wykonano i Miodkowie wyszli z więzienia po amnestii – w latach 20. i 30. w Piekarach mieszkają Florian i Robert Miodkowie, nagradzani państwowymi orderami i wpisani na oficjalną listę powstańców śląskich. Może być to oczywiście tylko zbieżność nazwisk, ale nie sądzę, podobnie z kwestią tego, że jakiś Robert Miodek siedzi w latach 20. i 30. w polskich więzieniach ▶

© PAWEŁ SUPERNAK/PAP

eprasa.pl b8c08e3ae2

▶ za pospolite przestępstwa, kradzieże i rozboje. Tyle faktów, które udało mi się zrekonstruować, na temat których w polskiej historiografii zajmującej się tym okresem nie udało mi się znaleźć ani słowa. Najbardziej jednak dla mnie interesująca jest tutaj kwestia odpowiedzialności.

I czyja to była właściwie zbrodnia?

To jest właśnie fundamentalne dla mnie pytanie, na które nie mam prostej odpowiedzi. Miodkowie byli takimi samymi Ślązakami jak moi pradziadkowie i podobnie jak jeden z nich, Józef Smołka, wybrali dla siebie polskość. Działali pod kierownictwem Hotelu Lomnitz, dziś nie sposób powiedzieć, czy bliżej Korfantego, czy bliżej zarządu wojskowego, ale czy to jest na pewno polska zbrodnia, skoro mordercami byli Ślązacy? Józef Smołka, mój pradziadek, został zamordowany przez Niemców w Mauthausen, aresztowany w listopadzie 1939 r. po donosie sąsiadów. Mówię o tym, bo tak samo jak zastanawiam się nad odpowiedzialnością za masakrę w Józefce, tak samo myślę o tym donosie, który doprowadził do jego śmierci. Czy odpowiedzialność zań jest niemiecka, bo wspomniani śląscy sąsiedzi koniunkturalnie orientowali się na Niemcy, czy po prostu śląska? Czy większa część przemocy tej strasznej wojny domowej, rozdzierającej ze zmienną intensywnością stary i kształtującej nowy Górny Śląsk w latach 1919–22, nie jest właśnie nasza własna, śląska? Oczywiście działali na Śląsku wtedy z jednej strony niemieccy frajkorpserzy, a z drugiej polscy ochotnicy, oficerowie i działacze, jednak największą część wszystkich zbrodni z obu stron zrobiliśmy sobie sami.

W powieści mieszają się języki – mówi się „wasserpolskim", śląskim, niemieckim, zależy kto do kogo mówi.

Każdy jest trochę mieszanką tożsamości?

Wilhelma Pisulli śląskość wcale nie interesuje, Pisulla się swoją etniczną tożsamością w ogóle nie zajmuje i to jest paradoksalnie ważny składnik jego śląskości, która wtedy zaczyna się nieśmiało krystalizować pod presją pytania, posiadającego wtedy najwyższą, śmiertelną sankcję, pytania o to, kim jesteś albo przynajmniej za kim jesteś – za Polską czy Niemcami? Ówczesna śląskość nie jest trzecią odpowiedzią na to pytanie, lecz odwróceniem się od niego, unikiem lub ucieczką i ten moment pomiędzy moimi historiami o utopcach i mamunach próbowałem w „Waldkauzu" również pokazać.

A jest to moment chaosu po pierwszej wojnie, ten czas opisywał pan też w „Pokorze".

Jest to czas trudny w pisarskim opisie, bo płynny i zmieniający się szybko, a mój stosunek do historycznej wierności jest wręcz obsesyjny. Pozwalam sobie na trochę swobody, np. w „Waldkauzu" pojawiają się angielscy żołnierze, podczas gdy w rzeczywistości przybyli na Górny Śląsk nieco później, chociaż jakaś asystująca angielskim oficerom garstka już wtedy być obecna mogła, w każdym razie jednak ta płynność, chociaż pisarsko trudna, jest też niezwykle interesująca. Zamieszkany przez kilka milionów ludzi kawałek Europy zostaje zawieszony w byciu pomiędzy dwiema rzeczywistościami, polską i niemiecką, lecz najważniejsze decyzje podejmują pokojowo okupujący Śląsk alianci, niezdolni jednak kontrolować populacji, bo na to dysponują zbyt szczupłą liczbą wojska, przyszłość jest niejasna, ulice miast i wsi dosłownie spływają krwią, przemoc jest wszędzie, zarówno ta o charakterze politycznym, jak i zwyczajna, kryminalna albo i pozbawiona nawet takiej motywacji. Broń jest wszędzie, śledząc codzienne gazety polsko- i niemieckojęzyczne z tego okresu, zauważyłem, że do strzelanin i morderstw dochodzi w zasadzie codziennie, często obok pistoletów idą w ruch granaty, byle knajpiana sprzeczka może się skończyć w ten sposób. Jest to oczywiście efekt tego, że do domów wracają weterani Wielkiej Wojny, głęboko zsocjalizowani do przemocy, do zabijania i jednocześnie niechciani, niepotrzebni, zradykalizowani.

Myślimy od razu o wojnie w Ukrainie i o tym, jak to będzie wyglądać, kiedy wrócą weterani z frontu.

Życzę Ukrainie jak najlepiej, ale jestem pełen obaw co do tego, jak rzeczy będą się tam miały, gdy do domu wrócą rozczarowani kształtem wynegocjowanego w końcu pokoju żołnierze, o których kochające ich chwilę wcześniej, wycieńczone wojną społeczeństwo będzie chciało jak najszybciej zapomnieć. Ukraińskie społeczeństwo od 2014 r. ma w sobie jakąś wolę mocy, z której nie bardzo wynika instynkt państwotwórczy, budujący np. odporne na korupcję instytucje, ale na pewno wynika z niej przekonanie o własnej sile, sprawczości, o tym, że władzę, która nam się nie podoba, można łatwo zmienić. Więc czy ludzie nadzwyczaj biegli w wojennym rzemiośle, ludzie, którzy spędzili czasem i kilkanaście lat w okopach, na pewno będą chcieli na tę zmianę czekać do wyborów i potem tak po prostu akceptować tych wyborów wynik? Nie wiem.

Miał pan napisać książkę dla rozrywki, a wkroczył w piekło.

Ale przynajmniej wesołe, bo jest to też książka przygodowa, miałem też dużą przyjemność z researchu, czy będzie to kwestia bytomskiego biura Detektiv-Lux, od którego reklam w prasie z epoki „Waldkauz" tak naprawdę wykiełkował, po mądrość starożytnego Sumeru, która się do tej powieści wdarła w nie do końca dla mnie zrozumiały sposób – i tutaj również pozwoliłem sobie na mały anachronizm, nieznacznie poszerzając granice wiedzy na ten temat dostępnej w 1920 r., są też smoki, a kiedy są smoki, to już na pewno musi być wesoło.

Kończy się słowami: ciąg dalszy nastąpi. Będzie drugi tom?

Będzie. Gdy zaczynałem pisać, wahałem się jeszcze, czy nie zamknąć wszystkiego, co mam tu do opowiedzenia, w jednej powieści, ale szybko zrozumiałem, że przy tej gęstości tekstu, przy właściwej mi dygresyjności, z której ku rozpaczy niektórych czytelników ani myślę rezygnować, przy mojej skłonności do retrospekcji i przy rozległości i komplikacji mojego świata na pewno będę potrzebował więcej miejsca. Zamierzam zresztą od razu wejść w to pisanie, zanim stracę łączność ze światem „Waldkauza", aby nie zaczynać wszystkiego niejako od nowa, chociaż wcale nie uśmiecha mi się przykucie do biurka na kolejny rok i bycie świadkiem tego, jak moje ciało się garbi i niszczeje przy klawiaturze. A serio mówiąc, to sport oczywiście pomaga, ciężary, rower, sporty walki, cokolwiek tak naprawdę, więc będę pewnie przeklinał tę decyzję, ale będę pisał i rozwijał wiele wątków, ledwie w „Waldkauzu" zasygnalizowanych.

A może Warszawa znowu wezwie z jakimś tematem? Jaki ma pan do niej stosunek, chłodny?

Wręcz przeciwnie, bardzo lubię Warszawę, to moje ulubione miasto w Polsce, otwarte, szybkie, jako jedyne też w naszym kraju jest prawdziwie wielkomiejskie, cała reszta to wielkie czasem, jednak miasteczka. Może więc i wezwie.

Dobrze słuchać o przyjemności researchu i innych przyjemnościach pisarskich w dobie AI i chodzenia na skróty.

Te rozkosze są oczywiście pełne cierpień, ale jestem przekonany, że warto. Inaczej pracować nie chcę i nie zamierzam, po 25 latach pisania nie będę sobie zmieniał narzędzi w warsztacie, te, które mam, leżą mi w ręce najlepiej.

ROZMAWIAŁA JUSTYNA SOBOLEWSKA

eprasa.pl b8c08e3ae2

JEREMY ALLEN WHITE MIKEY MADISON ORAZ JEREMY STRONG



TO NIE PRZYJAŹŃ TO JUŻ BIZNES

NA PODSTAWIE PRAWDZIWEJ HISTORII

SCENARIUSZ I REŻYSERIA AARON SORKIN

THE SOCIAL RECKONING
W SIECI KONSEKWENCJI

TYLKO W KINACH OD 9 PAŹDZIERNIKA

ALCON ENTERTAINMENT

#TheSocialReckoning
/SonyPictures

COLUMBIA PICTURES a Sony Company

SONY

Horror dojrzewania

„Carrie" to tragedia, która rozgrywa się każdego dnia – tak widzi powieść Stephena Kinga Mike Flanagan, twórca opartego na niej serialu i jeden z najlepszych współczesnych reżyserów kina grozy.



Summer H. Howell jako serialowa Carrie. W kółku: **Sissy Spacek w tej samej roli w świetnej ekranizacji Briana De Palmy z 1976 r.**

JAKUB DEMIAŃCZUK

Nieśmiała Carrie zaczyna naukę w ostatniej klasie liceum. Wychowywana przez konserwatywną, religijną matkę, nie ma pojęcia o zmianach zachodzących w swoim ciele, wpada w panikę, gdy po lekcji wuefu dostaje pierwszej miesiączki. To wystarczy, by stać się ofiarą prześladowania i szyderstw. A werbalna i fizyczna przemoc sprawiają, że w zastraszonej nastolatce budzi się potężna, trudna do okiełznania moc telekinezy.

Tę historię zna zapewne każdy wielbiciel horroru. „Carrie", debiutancka powieść Stephena Kinga wydana w 1974 r., niemal z dnia na dzień przyniosła młodemu autorowi sławę i fortunę. Dwa lata później została świetnie zekranizowana przez Briana De Palmę, a potem była filmowana jeszcze dwa razy, doczekała się nawet wersji musicalowej, nie mówiąc już o niezliczonych literackich i kinowych podróbkach. Po co jeszcze raz mierzyć się z tekstem tak przemielonym przez popkulturę? Mike Flanagan, showrunner nowego, mającego właśnie premierę w serwisie Prime Video serialu i reżyser czterech z ośmiu epizodów, odpowiada na to pytanie już w pierwszym odcinku. Powieść Kinga odczytał we współczesnym kontekście, oryginalną fabułę mocno rozbudował, zostawiając przy tym wszystkie elementy kluczowe dla tej opowieści. A jednak serialowa „Carrie" może zaskoczyć nawet najwierniejszych fanów książki.

Zwierciadło codzienności

Mike Flanagan nie ukrywa, że gdy dostał propozycję nowej ekranizacji książki, sam nie był przekonany do tego projektu. Film De Palmy uważa za wzorcowy, zdawał sobie też sprawę z tego, że fani Stephena Kinga znają fabułę na wylot. Po ponownej lekturze uznał jednak, że wie, jak pokazać tę historię na nowo, szczególnie że sam zaczął się zmagać z lękiem, jak poradzi sobie w szkole jego starszy syn, który właśnie rozpoczął naukę w liceum.

– *Są w „Carrie" tematy, które zawsze będą aktualne, bo przede wszystkim jest to opowieść o dokonywaniu wyboru między łagodnością i okrucieństwem oraz o tym, co się dzieje, gdy jednak wybierzemy okrucieństwo* – mówi POLITYCE Flanagan. – *Bullying, prześladowania, wykluczenie i ich tragiczne następstwa, to wszystko nie zmieniło się od czasów, kiedy King pisał powieść. Dlatego to wciąż jedna z jego najważniejszych książek. Prosta i prawdziwa, niezależnie od tego, jak zmienia się rzeczywistość wokół nas.*

Jednocześnie Flanagan przypomina, że szkolna przemoc osiągnęła rozmiary, jakich w połowie lat 70. King nie mógł sobie nawet wyobrażać. Internet i media społecznościowe stały się forum publicznego upokarzania, a do tego doszła zmora amerykańskiej edukacji, czyli powtarzające się z przerażającą regularnością szkolne strzelaniny. Stąd już w pierwszym odcinku serialu pojawiają się ćwiczenia na wypadek ataku uzbrojonego napastnika – jeszcze jedna rzecz, która wytrąca z równowagi główną bohaterkę, nieprzygotowaną na to, co może ją czekać w życiu poza murami domu, strzeżonymi przez zaborczą matkę.

To wszystko sprawiło, że nowa adaptacja „Carrie" nie mogła być wiernym przeniesieniem treści książki na mały ekran. Na szczęście Stephen King – zazwyczaj dość krytyczny wobec zmian, jakich w jego prozie dokonują filmowcy (jego niechęć do „Lśnienia" Stanleya Kubricka jest wręcz legendarna) – z entuzjazmem zareagował na propozycje Flanagana.

– *Przyznaję, że bałem się tego, co powie, bo jego pierwsza reakcja na sugestię ekranizacji „Carrie" była taka jak moja: „Nikt jej nie potrzebuje, zostawmy to już w spokoju"* – opowiada reżyser. – *Gdy się spotkaliśmy, przedstawiłem mu plan zmian, a on stwierdził, że są ekscytujące. I zaczął intensywnie pracować nad kolejnymi, zadawał pytania,*

© AMAZON MGM STUDIOS, BE&W

eprasa.pl b8c08e3ae2

proponował nowe wątki. Tak samo jak ja uważał, że kolejna ekranizacja „Carrie" nie miałaby sensu. Trzeba było tę historię w pewnym sensie opowiedzieć od nowa. I to w taki sposób, żeby była istotna nie tylko dla czytelników Kinga, lecz także dla rówieśników bohaterów oraz ich rodziców. Żeby była odbiciem współczesnych lęków i problemów.

Ukryte połączenia

W połowie lat 70. „Carrie" zwiastowała radykalną zmianę, jaka zachodziła w popularnej literaturze grozy. Amerykański pisarz Jeff VanderMeer zauważył, że to był horror, który zrywał z przeszłością i tradycją gatunku: „W tamtym czasie wielu autorów fantastyki grozy nadal inspirowało się twórczością M.R. Jamesa i Lovecrafta, a tu pojawił się King, wylewający dosłownie wiadra krwi, nadający swoim postaciom swobodny, współczesny charakter. Była to jednocześnie proza równie złożona, choć bardziej naturalistyczna i mniej wystylizowana". Zarówno Flanagan, jak i King zdawali sobie sprawę, że nie wystarczy dorzucenie do fabuły nowoczesnych elementów w postaci mediów społecznościowych, smartfonów i lęku przed szkolną strzelaniną. Żeby „Carrie" działała tak samo mocno jak przed laty, także jej bohaterki musiały zostać napisane od nowa.

– *Trzeba było oryginalną historię rozłożyć na czynniki pierwsze i z nich zbudować coś zupełnie nowego, jednak tak, by zachować ducha pierwowzoru* – tłumaczy reżyser. – *I to było prawdziwe wyzwanie. Jak wiarygodnie opowiedzieć tę fabułę z nowej perspektywy i z postaciami, które jednak różnią się od pierwowzoru? A przy tym jak zachować wszystkie elementy, jakich oczekują odbiorcy, a jednocześnie sprawić, żeby nie były powtórką tego, co mogliśmy zobaczyć w filmie Briana De Palmy? Widzowie chcą zobaczyć bal maturalny Carrie, musimy im go pokazać. Ale jak zrobić to tak, by poczuli się zaskoczeni, nawet jeśli wydaje im się, że wiedzą, jak ta opowieść się skończy?*

Wiele powieści Stephena Kinga jest ze sobą w mniej lub bardziej wyraźny sposób połączonych, czy to powtarzającymi się wątkami, czy powracającymi postaciami z drugiego planu. Serialowa „Carrie" także zostawia przestrzeń na to, by wpisać ją w większą całość, choć niekoniecznie w postaci drugiego sezonu – na razie to wciąż oficjalnie miniserial, bez opcjonalnej kontynuacji. Wiadomo, że Flanagan marzy o adaptacji „Mrocznej Wieży", sagi, która łączy wątki z wielu książek Kinga. Jednak pytany o dalsze losy bohaterek „Carrie", odpowiada dyplomatycznie: – *Bycie fanem Stephena Kinga oznacza także czerpanie radości z wyszukiwania tych wszystkich połączeń między powieściami, opowiadaniami, komiksami. Tej nici łączącej poszczególne segmenty wieży, mówiąc metaforycznie. W „Carrie" te nawiązania są mniej widoczne, ale moim zdaniem tylko dlatego, że to była pierwsza powieść, jaką opublikował* – mówi Flanagan. – *Ale pojawiają się tu bardzo istotne wątki, jak nadnaturalne zdolności Carrie, które w późniejszych książkach King bardzo chętnie wykorzystywał* – tłumaczy. A kwestię ewentualnego ciągu dalszego pozostawia w zawieszeniu.

Ameryka tu i teraz

Mike Flanagan ma spore doświadczenie w adaptowaniu klasycznych amerykańskich opowieści grozy. Choć karierę zaczynał jako twórca niskobudżetowych horrorów, dziś jest uważany za specjalistę od pracy z literackim materiałem. Na ekran przenosił już kilka powieści Kinga: „Gra Geralda", „Doktor Sen", „Życie Chucka", z reguły dość wiernie trzymając się litery oryginału. – *Zawsze traktuję powieści Steve'a, jakbym stąpał po uświęconej ziemi* – śmieje się.

Tym razem postanowił zastosować metodę, jaką pracował nad realizowanymi dla Netflixa serialami „Nawiedzony dom na wzgórzu" (na podstawie powieści Shirley Jackson), „Nawiedzony dwór w Bly" (według Henry'ego Jamesa) i „Zagłada domu Usherów" (adaptacja opowiadania Edgara Allana Poego). Za każdym razem uwspółcześniał treść, rozbudowywał poboczne wątki, na literackim fundamencie budował zupełnie nową konstrukcję, lecz w taki sposób, by oddawała sprawiedliwość oryginałowi, a zarazem wchodziła z nim w dialog.

W przypadku „Carrie" ta metoda sprawdziła się doskonale. Wchodzimy do z pozoru znajomego świata – zahukana dziewczyna, obsesyjnie religijna matka, szkoła jako miejsce niekończącego się upokorzenia – lecz szybko okazuje się, że Flanagan dokonał bardzo istotnych zmian. Carrie White, kapitalnie zagrana przez Summer H. Howell, jest z początku niepewna i wystraszona, lecz przerażenie ustępuje ciekawości świata, pragnieniu poznania tego, co do tej pory uważała za niebezpieczne i zakazane. Nadnaturalne zdolności, aktywizujące się szczególnie w chwilach gniewu, nie definiują Carrie, są raczej elementem budującym jej niecodzienną osobowość.

Margaret (Samantha Sloyan, stale współpracująca z Flanaganem), matka dziewczyny, nie jest, jak w powieści, przerażającą religijną fanatyczką, lecz skomplikowaną postacią, w której obsesyjna wiara idzie w parze z autentyczną (choć niemniej toksyczną) troską o córkę oraz nieufnością wobec świata zewnętrznego, a zwłaszcza instytucji państwowych. Uczennice prześladujące Carrie – która zresztą nie jest ich jedyną ofiarą – nauczyciele, rodzice, nikt nie jest tu jednowymiarowy, każdy ma do odegrania znaczącą rolę.

O ile powieść Kinga była historią upokorzenia i zemsty oraz bardzo krwawą metaforą wchodzenia w dorosłość i zrywania z toksyczną rodziną, o tyle serial jest przede wszystkim opowieścią o współczesnej Ameryce: radykalnie podzielonej, skłóconej, egoistycznej, nastawionej nie na dialog, lecz na eliminację przeciwników. Media społecznościowe są tu odpowiednikiem broni używanej do zniszczenia: gdy Carrie dostaje ataku paniki wywołanego menstruacją, jej płacz nagrywają dziesiątki telefonów, a filmiki z zakrwawioną nastolatką natychmiast trafiają do sieci. Założone przez jedną z uczennic instagramowe konto Red Carrie (Czerwona Carrie) staje się katalizatorem konfliktu, który angażuje całą lokalną społeczność i prowadzi do tragedii.

Inspiracji do pisania scenariusza dostarczały Flanaganowi także bieżące wydarzenia: sprawa rodziny Turpinów, która 13 swoich dzieci wychowywała w kompletnej izolacji w kalifornijskim mieście Perris (nawet sąsiedzi nie zdawali sobie sprawy z istnienia dzieci, dopóki jedno z nich nie wydostało się na wolność), oraz skandal, jaki wstrząsnął mieszkańcami Albany, gdy młody człowiek założył na Instagramie anonimowe konto z rasistowskimi obelgami wymierzonymi w mniejszości etniczne. Dla Flanagana oba wydarzenia (miały miejsce jeszcze za pierwszej prezydentury Trumpa) są symptomami tego, w jak złym kierunku zmierzają Stany Zjednoczone, a serial traktuje jako sposób, by o tym opowiedzieć. – *Nasza wersja „Carrie" nie jest horrorem. To tragedia, która każdego dnia rozgrywa się na naszych oczach.* ■

eprasa.pl b8c08e3ae2

Teraz Wieniawski

Czy najstarszy międzynarodowy konkurs skrzypcowy na świecie, którego 17. edycja rozpoczyna się właśnie w Poznaniu, ma szansę powtórzyć medialny sukces Konkursu Chopinowskiego?

DOROTA SZWARCMAN



Japonka Hina Maeda, laureatka poprzedniego Konkursu

Na pewno jego popularność wśród skrzypków rośnie. Do poprzedniej edycji z 2022 r. zgłosiło się 224 muzyków z 34 krajów, z których wybrano 41 uczestników; do tej – 252, a wyłoniono 50. Dzieła Henryka Wieniawskiego nie są niszowe, należą w pełni do światowego repertuaru. Nie są może dla skrzypków tym samym, co utwory Fryderyka Chopina dla pianistów, ale z pewnością są efektowną okazją do zaprezentowania wirtuozerii i liryzmu zarazem.

Ceniona jest również tradycja Międzynarodowego Konkursu Skrzypcowego im. Henryka Wieniawskiego. Po raz pierwszy odbył się w 1935 r. w Warszawie; na kolejny, już w Poznaniu, trzeba było czekać aż 17 lat. Jego triumfatorami byli przez lata tak cenieni w świecie soliści, jak Dawid Ojstrach, Wanda Wiłkomirska, Wadim Brodski czy Alena Baeva.

Zasadnicza różnica między dwoma największymi polskimi konkursami polega na tym, jak skonstruowany jest repertuar. Na Konkursach Chopinowskich gra się wyłącznie Chopina. Na Konkursach im. Wieniawskiego – przekrój przez światową literaturę skrzypcową z uwzględnieniem paru obowiązkowych utworów patrona. Ma to o tyle dobre strony, że większą część repertuaru skrzypkowie mogą mieć już ograną i nie muszą się uczyć wielu nowych pozycji.

Jak każdy konkurs i ten przeżywał rozmaite skandale. Najgłośniej było o konflikcie między Maximem Vengerovem, przewodniczącym jury w 2011 i 2016 r., i jego dawnym pedagogiem Zakharem Bronem, również członkiem jury. W reakcji na te zatargi na ostatnim konkursie w 2022 r. postanowiono stworzyć jury bez pedagogów, co się nie do końca udało, ponieważ jego przewodniczący Augustin Dumay, swego czasu wybitny solista, sam zajął się na emeryturze pedagogiką. W ocenach zaś przypominał algorytmy platform społecznościowych: preferował przede wszystkim emocjonalność. Konkurs wygrała więc 20-letnia Japonka Hina Maeda, która spełniała ten warunek i była w tym młodzieńczo spontaniczna, ale w porównaniu z kolegami wiele jej brakowało pod względem techniki i interpretacji. Dziś prawie nie grywa poza Japonią, zresztą zgodnie z własną wolą.

Obecnie sprawę wzięli w swoje ręce zwycięzcy dawnych konkursów. Agata Szymczewska (triumfatorka sprzed 20 lat, a także laureatka Paszportu POLITYKI) została prezeską Towarzystwa Muzycznego im. Henryka Wieniawskiego, organizatora konkursu. Na czele jury zgodził się stanąć zwycięzca z 1991 r. Bartłomiej Nizioł (ściślej: współzwycięzca ex aequo z Piotrem Pławnerem), wiceprezes Towarzystwa.

Pracowali oni wraz z zarządem Towarzystwa nad zmianą repertuaru. Zobaczymy więc zauważalne różnice. Przewodniczącemu jury zależało na tym, by konkurs rozpoczynał się muzyką patrona (kaprysy i większe utwory wypełnią I etap, plus ewentualnie utwór dowolny) i nią kończył (jeden z dwóch jego koncertów na sam finał). II etap jest najbardziej zróżnicowany, od XIX do XXI w., a jeden z utworów ma być polski (z podanej w regulaminie puli – od Zygmunta Noskowskiego po Krzysztofa Pendereckiego).

Co uderza, to brak w całym konkursie obowiązkowego utworu Bacha, który przecież jest wspaniałym sprawdzianem muzykalności, oraz Mozarta, którego Symfonię koncertującą przez parę ostatnich konkursów każdy wraz z altowiolistą i orkiestrą kameralną (tradycyjnie poznański Amadeus) musiał zagrać – to był jeszcze pomysł Maxima Vengerova, który Augustin Dumay zachował. Występ z orkiestrą Amadeus pozostał, ale skrzypkowie będą z nią grać koncerty kameralne Mikołaja Piotra Góreckiego, Andrzeja Panufnika, Pēterisa Vasksa lub Mieczysława Wajnberga. Dzieła Bacha czy Mozarta można było oczywiście wybrać w I etapie jako utwór dowolny. Jednak w oficjalnym repertuarze Konkurs pomija całą literaturę sprzed XIX w. Czyżby potraktowano ją jako domenę raczej wykonawstwa historycznego? Byłoby to dyskusyjne.

Bartłomiej Nizioł, wcześniej trzykrotny juror konkursu, który wraz z dwiema innymi zwyciężczyniami – Agatą Szymczewską i Aleną Baevą – przesłuchiwał w maju zgłoszone nagrania (międzynarodowe eliminacje, które miały się odbyć w kilku miastach na świecie, zostały jak przed poprzednim konkursem odwołane, ale tym razem z powodu napiętej sytuacji politycznej), spodziewa się bardzo wysokiego poziomu. I należy mu wierzyć. Wśród kandydatów, podobnie jak na Konkursie Chopinowskim, dominuje Daleki Wschód: rekord bije Korea z 13 skrzypkami, z Chin przybędzie ich 9, z Japonii 3, z Tajwanu 1, a i z innych krajów, np. z USA, przyjadą soliści o azjatyckich korzeniach. Polaków będzie ośmioro, w tym troje po raz drugi: Wojciech Niedziółka (najlepszy Polak na poprzednim konkursie), Maya Alexandra Kasprzak (która reprezentuje też Japonię i Niemcy) i Barbara Żołnierczyk. W sumie powraca tylko pięcioro skrzypków.

Jury jest odmłodzone – najstarsi są profesorowie legendy: Gerhard Schulz

eprasa.pl b8c08e3ae2



© JAKUB KACZMARCZYK/PAP

Wieniawskiego

z Wiednia i Vera Tsu z Szanghaju. Są też znakomici koncertujący skrzypkowie, jak Akiko Suwanai, Nancy Zhou, oczywiście Agata Szymczewska czy znany już dobrze w Polsce Alexander Sitkovetsky, który obok działalności solistycznej i kameralnej prowadzi też orkiestrę Leopoldinum przy wrocławskim NFM. Bartłomiej Nizioł deklaruje, że starał się wybrać solistów, których wykonania i nagrania bardzo ceni.

Machina poznańskiego konkursu jest o wiele skromniejszych rozmiarów niż warszawska – wystarczy porównać potężny Narodowy Instytut Fryderyka Chopina, w którym pracuje dobre kilkadziesiąt ludzi, z Towarzystwem im. Wieniawskiego, którego biuro nie liczy nawet dziesięciu osób.

Również jeśli chodzi o promocję konkursu, już na wyjściu poznańska impreza jest w tym roku – przynajmniej w Polsce – w mniej korzystnej sytuacji niż Konkurs Chopinowski. Choćby dlatego, że nie będzie transmisji pierwszych dwóch etapów w radiowej Dwójce, która Konkurs Chopinowski przekazuje zwykle w całości. Kiedyś transmitowała również cały Konkurs im. Wieniawskiego; cztery lata temu opuściła I etap. Tym razem wchodzi dopiero od III etapu, tego z orkiestrą kameralną (poprzedni konkurs wyjątkowo miał trzy etapy, obecny wrócił do poprzedniego układu). Być może dlatego, że w regulaminie II etapu znalazła się możliwość wyboru dzieł rosyjskich (dodając jeszcze ewentualne utwory dowolne w I etapie), a w Dwójce wciąż obowiązuje bojkot muzyki z tego kraju. Również dopiero od III etapu transmisje planuje TVP Kultura oraz TVP3 Poznań (choć ta ostatnia poprzedni konkurs transmitowała w całości). Wcześniej jednak we wszystkich tych programach, radiowym i telewizyjnych, będą sprawozdania, także zza kulis, omówienia i komentarze krytyków.

Ale to internet stanowi dziś główne źródło informacji i środek przekazu dla całego świata. Towarzystwo im. Wieniawskiego będzie transmitować wszystkie przesłuchania na swoim kanale na YouTube: Wieniawski Society. Transmisje będą też dostępne na portalach partnerskich: The Violin Channel (theviolinchannel.com), medici.tv i amadeus.tv. Dźwięk wysokiej jakości także dla streamingu będzie przesyłać Polskie Radio. Towarzystwo będzie też publikować relacje na swoim Facebooku i Instagramie.

Pula nagród jest mniejsza niż na Konkursie Chopinowskim, ale I nagroda wynosi tyle samo: 60 tys. euro. Druga – 30 tys., a trzecia – 15 tys.; pozostali finaliści otrzymają po 5 tys. Nową nagrodę ufundowała rodzina zmarłego parę lat temu wybitnego amerykańskiego skrzypka Charlesa Tregera, zwycięzcy konkursu w 1962 r. Postanowiła ona przeznaczyć 10 tys. euro za najlepsze wykonanie jednego z koncertów skrzypcowych Wieniawskiego.

Również w tym roku odbędzie się pokonkursowe tournée pierwszej trójki laureatów, którego organizację powierzono znów agencji Sonora Music. Poprzednia trasa liczyła 60 koncertów w różnych krajach świata. Niestety sale bywały mniej prestiżowe (np. w Paryżu Salle Gaveau). Ale ponoć w tym roku impresariat pozyskał nowych partnerów, dzięki czemu będzie mógł zorganizować koncerty w tak ważnych miejscach jak Filharmonia Berlińska czy Concertgebouw w Amsterdamie. Laureatom najstarszego konkursu skrzypcowego na świecie prestiż się należy.

17. Międzynarodowy Konkurs Skrzypcowy im. Henryka Wieniawskiego, Poznań, 8–25 października

REKLAMA



eprasa.pl b8c08e3a2

Gródź i rządź

Lary i penaty to w rzymskiej mitologii byty niepozorne, ale ważne – strzegły bezpieczeństwa i dóbr domowników. Przypomina o nich nowa wystawa na Wawelu. Miejsce właściwe, bo jest tam czego strzec.



Na krakowskiej wystawie podziwiać można fantazję ślusarzy, śledząc mnogość kształtów i kolorów krat okiennych. Z biegiem czasu zostały wyparte przez szyby antywłamaniowe.

PIOTR SARZYŃSKI

Zimno i upał, deszcz i wicher, powódź i pożar od setek lat czyhały tylko, by nasze chałupy, kamienice, dwory czy pałace obrócić w perzynę. Do listy nieszczęść dochodziły zarazy, a przede wszystkim złe intencje innych ludzi: najeźdźców i złodziei. Powstawaniu wszelkiego rodzaju siedzib do zamieszkania od zawsze towarzyszyły więc różne zabezpieczenia. Od kamienia, którym blokowaliśmy wejście do groty, po dzisiejsze skomplikowane systemy alarmowe.

Ludzie zawsze chronili swe domostwa na dwa sposoby: praktyczny i symboliczny. Pierwszy to wszelkiego rodzaju grodzenia, zamki, zasuwy, rygle czy łańcuchy w drzwiach, okiennice i kraty w oknach. Swego czasu z narastającym zdziwieniem obserwowałem mury otaczające wille i domy jednorodzinne w eleganckiej dzielnicy São Paulo. Niezależnie od imponujących parametrów (trzy metry wysokości to norma) praktycznie wszystkie zwieńczone były poskręcanymi drutami kolczastymi, jakie znamy z widoków więzień lub wojennych okopów. Wytłumaczono mi, że to u nich najbardziej skuteczny sposób na nieproszonych gości.

Oczywiście postęp techniczny zrobił swoje. Mamy już nie tylko antywłamaniowe rolety, pancerne szyby, ale też skomplikowane systemy monitoringu i alarmów, z takimi cudami jak inteligentna telewizja przemysłowa, kamery termowizyjne i multispektralne, kontrolę dostępu opartą na biometrii, bariery laserowe itd. W samym tylko Londynie w publicznej przestrzeni umieszczonych jest blisko milion (!) kamer CCTV, co zamienia powoli kwestię bezpieczeństwa w problem inwigilacji. Można powiedzieć, że współczesne lary i penaty to raczej cyborgi niż duszki.

eprasa.pl b8c08e3ae2

Symboliczny – lub magiczny – sposób chronienia domostw to z kolei wiara w owe duszki, które niekiedy należało dopieszczać (jeśli dobre), kiedy indziej zaś odstraszać (jeśli złe). W pogańskich czasach przed domem zakopywano – w wersji brutalnej – ofiary z ludzi (głównie wrogów), a w wersji nieco ucywilizowanej – głowy zwierząt czy garnki z jedzeniem, które miały nastawić życzliwie opiekuńcze duchy. Popularne były różne rośliny, jak głóg i tarnina, których kolce miały odstraszać, czosnek i cebula (oczywiście na wampiry, ale i przeciw chorobie). Zasuszone zakopywano lub zawieszano u powały, ale też okadzano nimi (tu prym wiodły szałwia i piołun) dom z zewnątrz i wewnątrz. Obsypywanie solą i makiem strzegło zaś przed demonami.

Osobną kategorię „ochraniaczy" stanowiły przedmioty tudzież symbole. Z tych pierwszych oczywiście świetnie nam znane podkowa i wiecha. W tradycji żydowskiej – mezuza, w islamskiej – nazar, czyli oko proroka, w taoizmie – reguły feng shui, w katolicyzmie – napis kredą „K+M+B". Praktycznie każda cywilizacja, kultura czy lokalna społeczność wymyślała własne „abrakadabra" na chronienie domu.

Najciekawsze jest jednak śledzenie tego, jak zabiegi wokół bezpieczeństwa domostw kształtowały przestrzeń miast, ich architekturę i urbanistykę. Dwa okresy dziejów zachodniej cywilizacji wydają się tu szczególnie ważne. Pierwszy to starożytność i średniowiecze. Można zaryzykować opinię, że wizerunek ówczesnej miejskości w największym stopniu determinowała potrzeba ochrony przed zagrożeniami. Wysokie mury okalające miasta i zamki, fosy, mosty zwodzone, palisady, osady stawiane w zakolach rzek lub na wzgórzach. A do tego baszty i wieże obronne, barbakany i donżony, brony i hurdycje, małe okienka, blanki itd. Gargulce broniące przed żywiołem ulewy, a przed ogniem – kamienne sklepienia.

Potężni władcy fortyfikowali potężne zamki. A skromni rycerze stawiali sobie skromniejsze dwufunkcyjne wieże mieszkalno-obronne, do dziś porozrzucane po kraju, z bodaj najsłynniejszą z nich – z uwagi na unikalne freski – w Siedlęcinie. Biednym wsiom musiała wystarczyć wiara w iluzoryczną moc częstokołów. Dziś cała ta architektura – jeżeli przetrwała – stanowi niezrównane tło do robienia turystycznych selfie, ale kiedyś była naturalnym i najważniejszym sposobem chronienia własnego życia i majątku.

W kolejnych stuleciach rola architektoniczno-urbanistycznych zabezpieczeń malała, by nagle odżyć... w wieku XX. Doskonale można to prześledzić na przykładzie naszego kraju. Jak pamiętamy, modernizm lansował raczej otwartość, przenikanie się, powszechną dostępność. Odwrót od tej tendencji rozpoczął się pod koniec lat 70., z pozoru niewinnie – pojawieniem się w naszych blokach domofonów. Pierwsze zainstalowano w wieżowcach na warszawskiej Ścianie Wschodniej – i zamiast wzmóc poczucie bezpieczeństwa mieszkańców, stały się utrapieniem, bo wiele osób wpadało na pomysł, by wypróbować ich działanie. Mniej więcej w tym samym czasie pojawiła się moda na masowe wydzielanie długich korytarzy w wieżowcach kratą z drzwiami, do których klucze mieli tylko mieszkańcy.

O ile na domofonach i korytarzowych blokadach wizualność miast specjalnie nie ucierpiała, o tyle na kolejnym patencie – jak najbardziej. Mowa o zewnętrznych kratach w oknach mieszkań na parterze bloków (choć zdarzali się i nadgorliwcy montujący je na pierwszym piętrze). Na krakowskiej wystawie podziwiać można fantazję ślusarzy, śledząc mnogość kształtów i kolorów takich krat. Wprowadzały wyraźny element estetycznego kociokwiku, który nieco później, w latach 90., tak powszechnie zawładnął przestrzenią polskich miast.

Najgorsze miało jednak dopiero nadejść – w postaci powszechnej grodzeniozy. To kolejny, po betonozie i pastelozie, z jeźdźców urbanistycznej apokalipsy. Na wsiach otwarte lub co najwyżej otoczone symbolicznymi drewnianymi płotkami przestrzenie gospodarstw nagle zamieniły się w twierdze. Dobrze, jeśli były oddzielane od świata drucianą siatką. Gorzej, gdy funkcje te pełniły powszechnie stosowane ▶

© MATERIAŁY PRASOWE

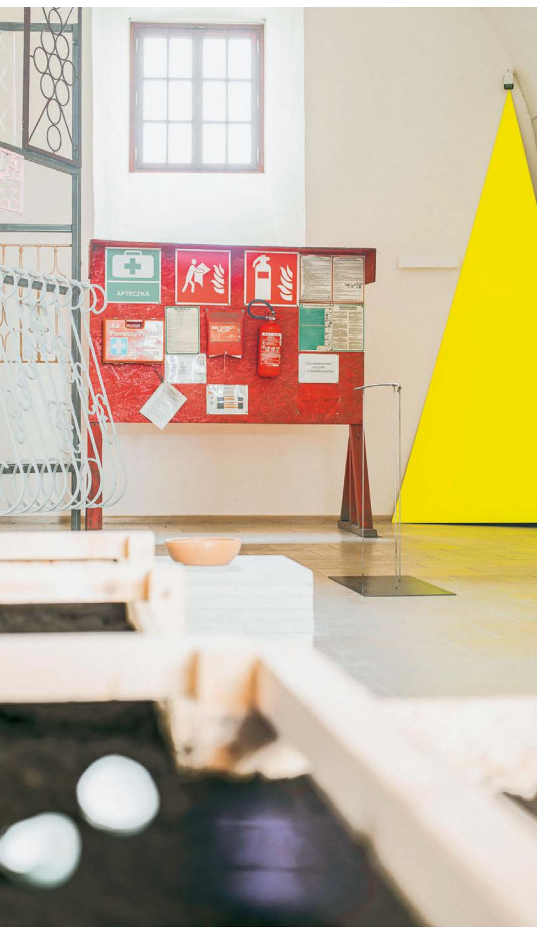
REKLAMA



eprasa.pl b8c08e3ae2

▶ tandetne betonowe ogrodzenia udające mur. Doszło do tego, że każda nowa budowa jednorodzinnego domu, szczególnie w podmiejskich rewirach, zaczynała się od ustawienia potężnego ogrodzenia. Wydzielony w ten sposób kawał pola często zresztą straszył później przez całe lata, szczególnie jeśli na działkę udało się uzbierać potrzebne fundusze, ale na budowę – już nie.

W miastach początków fortyfikacyjnego obłędu wypada szukać w drugiej połowie lat 90. XX w. Powszechnie uważa



O bezpieczeństwie zaczynamy myśleć, zanim jeszcze dom powstanie. Na fot.: **tablica BHP z placu budowy siedziby Sinfonii Varsovii.**

się, że pionierem w tym zakresie było osiedle domów jednorodzinnych w Piasecznie pod Warszawą. Kolejna dekada to już prawdziwe szatkowanie miast. Najlepszym przykładem jest stolica. W połowie lat 90. nie było tu ani jednego grodzonego osiedla, w 2005 – istniało już ponad 200, a w 2010 r. – już ok. 400. Dołączyliśmy do niechlubnej listy państw i regionów, w których mordowanie przestrzeni publicznej za pomocą siatek, murów i płotów stało się normą: RPA, USA, Chiny, Ameryka Południowa i Środkowa.

Początkowo grodzono jedynie nowo powstające osiedla. Niektóre stały się klasyką gatunku, jak Awangarda IV w Krakowie, Dębowe Tarasy w Katowicach czy wrocławska Kępa Mieszczańska, gdzie odrębne ogrodzenia poszczególnych deweloperów składały się na prawdziwy labirynt siatek i furtek. Jednak pierwsze miejsce z pewnością należy się warszawskiej Marinie Mokotów, gdzie wycięto z przestrzeni miasta ponad 30 ha, wraz z jeziorkami i terenami zielonymi. Zastosowano tu osobliwy system *triple security*. Dotarcie do własnego mieszkania wymagało sforsowania trzech blokad: bramy wjazdowej na osiedle, osobno ogrodzonego bloku, drzwi do klatki strzeżonej domofonem. Z czasem pomysł grodzenia podchwyciły także dawniej budowane osiedla, co sprawiło, że przejście przez tradycyjnie otwarte przestrzenie miasta także zaczęło przypominać osobliwy slalom.

Na temat narodowej grodzeniozy powstało już zapewne wiele magisterek i doktoratów. Dokładnie opisano przyczyny jej powstania, jak również skutki. Z tych interesujących nas najbardziej, czyli urbanistycznych, wypada wymienić wspomniane już przerwanie ciągów pieszych i rowerowych, sztuczne generowanie ruchu samochodowego, prywatyzację przestrzeni wspólnych, efekt tzw. martwych ulic (służących jedynie do dojazdu do domu), gettoizację, bariery dla służb miejskich i ratunkowych, kurierów itd.

Co ciekawe, na początku drugiej dekady XXI w. pojawił się trend odchodzenia od grodzeń, które przestały być już źródłem prestiżu i poczucia bezpieczeństwa. Bodaj jako pierwszy dała do tego sygnał pracownia JEMS Architekci, projektując warszawskie osiedle 19. Dzielnica. Udała się tu rzecz ciekawa i wielokrotnie później kopiowana – pozostawienie osiedla całkowicie otwartego na miasto, z równoczesnym zaplanowaniem terenów zamkniętych w formie patio-podwórek dostępnych wyłącznie dla mieszkańców.

Grodzenie osiedli powoli przestało być problemem, choć w sferze marzeń pozostaje sytuacja, że ktoś rozbierze dotychczasowe miejskie blokady. Tymczasem nieodległa wojna w Ukrainie i rosnące zagrożenie rozszerzającym się konfliktem wojennym sprawiły, że w myśleniu o bezpieczeństwie naszych domów i mieszkań pojawił się całkowicie nowy aspekt. Wrócił dawno zapomniany termin „schron", a budowa tego rodzaju obiektów może się okazać kolejnym elementem kształtującym urbanistykę polskich miast i miasteczek.

Wawel wydaje się idealnie pasować do tego projektu. Wiele z tego, co nas tu architektonicznie i urbanistycznie zachwyca (usytuowanie na skale, mury obronne i wieże), powstało niegdyś po to, by chronić jego mieszkańców. Dziś punkt ciężkości przeniósł się na ochronę zgromadzonych tu bezcennych dóbr kultury i pamiątek, a kraty w oknach zastąpiono antywłamaniowymi szybami i skomplikowanym systemem nadzoru. W zabytkowych bramach prowadzących na dziedziniec pomieszczono zaś wysuwające się z ziemi metalowe blokady. Przed nieodpowiedzialnym kierowcą ochronią, przed czołgiem już nie.

To druga odsłona tej wystawy – po tym, jak reprezentowała nasz kraj na Biennale Architektury w Wenecji w 2025 r. Ekspozycje przemyślnie umieszczono w sali dawnej kaplicy mającego tu siedzibę seminarium duchownego. Wchodzących na wystawę wita więc z wysokości sufitu doskonale zrewitalizowana duża barokowa sztukateria przedstawiająca oko opatrzności. To symboliczny aneks do treści wystawy. Poza tym znajdziemy tu sporo artefaktów i aranżacji kreujących w przeszłości bezpieczeństwo lub choćby tylko jego poczucie. Świat zabobonów i przesądów miesza się ze światem racjonalnych rozwiązań. Od kopczyka soli usypanego w rogu pomieszczenia po nowoczesne kamery CCTV.

Ale chyba najbardziej przejmującym eksponatem są potężne żelazne drzwi do schronu. Stare, zapewne pamiętające czasy zimnej wojny, częściowo odrapane z farby. Przez wiele dekad zalegające gdzieś, zapomniane. I oto za sprawą najnowszych losów tego świata i kiepskich perspektyw nieoczekiwanie ponownie nabierające złowrogiego sensu.

PIOTR SARZYŃSKI

Lary i penaty. O budowaniu bezpieczeństwa w architekturze, Zamek Królewski na Wawelu, wystawa czynna do 7 stycznia 2027 r.

© MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl b8c08e3ae2

FELIETON

Koziołek



Ciekawe, co się stanie?

„Zabije nas, czy tylko zabierze nam pracę?” – przeczytałem głośno z gazety leżącej na murku obok sąsiadki, która miała twarz zwróconą ku jesiennemu słońcu. – Jak pani sobie z tym radzi? – próbowałem zmusić ją do otwarcia oczu.

– Całe dzieciństwo straszyli mnie bombą atomową – odpowiedziała, nie otwierając. – Na ludzi zrzucili tylko te dwie w Japonii, za to elektrownie psuły się wiele razy. I co? Budujemy taką u nas.

– Ale nad sztuczną inteligencją nikt nie panuje! Kurzweil twierdzi, że po takich istotach jak pani czy ja zostanie tylko kurz historii.

– Będzie inaczej – spojrzała na mnie w końcu. – Żadna wielka przepowiednia się nie spełniła. – Chce pan śliwkę? – podała mi torebkę z węgierkami. Wziąłem.

Jedną z ulubionych zabaw mojego dzieciństwa była: „Ciekawe, co się stanie?”. Nie miała żadnych reguł, a tylko jeden cel – przekonać się o skutku bez rozważań o przyczynach i konsekwencjach. Co będzie, jak wrzucimy pusty dezodorant do ogniska? Czy pierwszy grudniowy lód na rzece wytrzyma nas dwóch? Może trzech? A jeśli wypuścimy tego królika z klatki? Aha, złapie go pies. I tak prawie do końca podstawówki. Być może wiele z niepoliczonych głupstw nie miałoby miejsca i uwierzyłbym wcześniej nauczycielom i podręcznikom, że nie trzeba próbować wszystkiego, żeby wiedzieć. Ale ja miałem dorosłego Mistrza w tej grze.

> Ta dziecięca zabawa nie tylko się nie skończyła, lecz stała się globalną rozrywką ignorantów wyposażonych w AI.

Wuj Gustaw, czyli Gusza, chciał wiedzieć i doświadczać, tylko nie miał czasu się uczyć. Znał się na wszystkim, ale na niczym dobrze. Zawodówka, praca, rodzina, gospodarstwo wypełniały niejedno życie po brzegi. Ale nie jego. Czuł, że wszystko jest ciekawe i trzeba tego spróbować.

W okolicy nie było jezior ani żeglownych rzek. A jednak któregoś dnia przyniósł książkę o budowie jachtów. Zmusił moją mamę do uszycia żagla, sam zbił z desek prosty kadłub, zamocował maszt i ster, a następnie na przyczepie niewielkiego traktora zawiózł wszystko nad pobliski staw rybny. Zwodowana łódź zatonęła natychmiast. Wydobyta stała na podwórzu, aż którejś soboty wezwał swojego syna i mnie, wręczył nam łopaty i wskazując na ogródek babki Heli, powiedział: „Kopiemy”. Przez dwa tygodnie, za pomocą małej koparki, mimo protestów Heli, powstała wielka dziura, którą napełnił wodą z hydrantu. Mętnej wody było nam po pas, koryto stało się statkiem pirackim, kumple zazdrościli, byliśmy szczęśliwi. Następnej nocy woda wyciekła przez miękką groblę. Po miesiącach nierównej walki z nieznanymi wujowi prawami hydrogeologii dziura została zasypana. Babka Hela triumfowała. Dziś mało kto z rodziny pamięta, co kryje się pod zadbanym na powrót ogródkiem.

Mój rozum się z tego śmieje; moja pamięć przechowuje nienaruszony podziw dla Gustawa. Ale nie dla wspomnień go tu przywołuję. Zabawa w „Ciekawe, co się stanie?” nie tylko się nie skończyła, lecz także przeniosła na wyższy poziom i stała globalną rozrywką ignorantów wyposażonych w AI. Chwieją się fundamenty edukacji systemowej, która od oświecenia pomagała ludziom rozumieć rzeczywistość i przewidywalnie ją zmieniać. Maszyny myślące pozwalają trafnie przewidywać rozwiązania problemów bez ich uprzedniego wyjaśnienia. Równania matematyczne, sekwencje genów, języki programowania, hermetyczne wiersze, umarłe języki, precedensy prawnicze stają się... „proste”. Rozpoczęła się era naukowego przewidywania bez rozumienia.

Jakub Pachocki, główny naukowiec w OpenAI, 6 września opublikował w internecie obszerną wypowiedź „Obcy umysł”. Przyznaje się w niej, jak razem z innymi twórcami i badaczami sztucznej inteligencji bawią się w „Ciekawe, co się stanie” i jakie to niebezpieczne. Przebija z jego słów bezradność, gdyż jedyny ratunek widzi w „dobrowolnym spowolnieniu” prac. Nie łudźmy się, to się nie zdarzy. Uderzyło mnie jego stwierdzenie, że „AI bardziej się hoduje, niż projektuje”. Hodujemy istotę, której nie rozumiemy i która już nas przewyższa w wielu operacjach intelektualnych. Jak to się kończy, opowiadamy sobie w takich filmach jak „Obcy” albo „Jurassic Park”. Czyli jest już za późno.

Na końcu nowej książki Slavoja Žižka pada pytanie: „Jak zacząć, gdy jest za późno?”. Autor nie daje dobrej odpowiedzi, za to uświadamia, jak narcystyczne jest nasze katastroficzne przekonanie, że niby mamy najgorzej w historii. Godzi się mieć więcej pokory wobec naszych rodziców i dziadków. Od czego mieli zacząć po Holokauście i bombie atomowej? Porażającej i proroczej odpowiedzi udzielił Leopold Staff w znanym wierszu „Podwaliny”:

„Teraz budując zacznę
Od dymu z komina”.

W drugiej połowie XX w. wielka humanistyka i najlepsza polityka powstały na fundamencie dymu z obozowego pieca. My jeszcze mamy trochę czasu na być może najtrudniejsze zadanie w tym stuleciu – stworzenie ewangelii dla myślących maszyn. Jeśli mamy przeżyć, trzeba je nauczyć kochać ludzi.

RYSZARD KOZIOŁEK

eprasa.pl b8c08e3ae2

FELIETON

Hartman



Męka i chwała turyzmu

Turystyka to jeden z wielkich wynalazków XIX w. Trzeba było całej romantycznej rebelii, aby dopuścić taki skandal jak jeżdżenie bez celu. Bo dawniej nawet włóczęga przemieszczał się z jakichś względnie racjonalnych powodów – w poszukiwaniu dorywczej pracy albo jałmużny. Zamożni podróżowali zaś ze względów zawodowych, religijnych lub zdrowotnych. Lecz nie dla „zwiedzania" ani „wypoczynku". Byłoby to doprawdy zbyt błahe i płoche. Dopiero wielkopańska „Bildungsreise" – podróż studyjna młodego człowieka na południe Europy – miała w sobie już posmak wakacyjno-turystyczny.

Jednakże tak naprawdę „jeżdżenie po nic" wymyślono dla rozkręcenia różnych biznesów podróżniczych, z których wyrosnąć miały agencje turystyczne, wielkie hoteliska i inne przybytki. I udało się! Doszliśmy do tego, że zwiedzanie świata stało się jedną z podstawowych potrzeb mieszczańskich. Kto nie zwiedza, ten trawi życie w nudzie i marazmie, jak jaki polip przytwierdzony do dna egzystencji. Szczęście jest tam, gdzie nas nie ma. A w każdym razie tam, gdzie jest jakaś lepsza odmiana nas samych. Warto jej szukać choćby na końcu świata!

Darmo jednak uciekamy od siebie, biorąc całego lub całą siebie ze sobą (bo inaczej się nie da), bez powodzenia szukamy szczęścia i wrażeń, coraz dalej i dalej, coraz częściej i częściej. Turyzm stał się obowiązkiem, natręctwem i obsesją. Stał się jedną z naszych życiowych prac do wykonania, letnią urlopową męką, odcierpianą w ścisku, gorącu i umęczeniu.

> Pracą turysty jest poznać małość własną i człowieka w ogóle. Zlitować się nad sobą i pojednać ze światem.

Z rzadkiego dziś punktu widzenia wyniosłego arystokraty ducha wygląda to groteskowo i strasznie. Oto spocony tłum niewydarzonych dorobkiewiczów i ambicjonerów, popychany przez poganiaczy, przesuwa się przed fasadami dumnych pomników przeszłości, przed arcydziełami ludzkiego geniuszu i wszelkimi cudami stworzenia, nie rozumiejąc z tego nic a nic, kompulsywnie robiąc zdjęcia, w nadziei ważnego przeżycia, którego tu, na miejscu, całkiem brak, a w końcu rzucając się do kupowania pamiątek i „korzystania z toalet".

Oko socjologa widzi rzeczy jeszcze straszniejsze: całą nędzę i patologię turystycznego biznesu, wyzysk, degradację lokalnych społeczności i ekosystemów. Destrukcja, polucja i nowy kolonializm na dobitkę.

Są jeszcze inne oczy i inne głosy – zbyt łatwo ignorowane. Bo też właściwie nikt o nic nie pyta tej żałosnej spoconej istoty, pokornie czekającej w kolejce na wejście do Koloseum albo gramolącej się do autokaru w Gizie. Cóż ważnego mogłaby nam powiedzieć anonimowa „turystyczna stonka"? Dlatego, z przekory, lecz ponadto w odruchu solidarności, ja, notoryczny bywalec zatłoczonych plaż, zatwardziały szkodnik depczący wyniosłe zamki, urokliwe brukowane uliczki i uzbrojone w żelazo górskie szlaki, w dodatku uciążliwy najemca krótkoterminowy, powiem, co czuję i co czują inni, do mnie podobni. Tacy, co jeździć muszą, bo się uduszą. I co się duszą, bo im gorąco. I co nie za bardzo wiedzą, gdzie zajechali, niewiele z tego wszystkiego rozumieją, a zapamiętać nawet nie próbują. My też jesteśmy ludzie!

Otóż to! Ocalić własne człowieczeństwo to największe wyzwanie dla absurdalnego *homo viator*, masowego obieżyświata. Pracą turysty jest poznać na własnej skórze własną małość i małość człowieka w ogóle. A w następstwie tego poznania zlitować się nad sobą, wybaczyć innym ich bratnią maleńkość i w całym tym wspólnym nieszczęściu pojednać się ze światem, który wszak wszędzie jest taki sam, bo wszystkie jego prowincje i zakątki zamieszkują takie same nieznaczne i mało zorientowane osoby jak my.

Tak czy inaczej, wszyscy tu jesteśmy frajerami, bez względu na to, czy pod Akropolem z dziada pradziada prowadzimy tawernę, czy przybywszy z Sieradza, zamawiamy w niej souvlaki. Gdy turysta spotyka się z tubylcem, zawiązuje się między nimi milczące porozumienie. Mimo przeciwieństwa ról i kompetencji, wbrew nieufności i uprzedzeniom, łączą ich właściwe kondycji ludzkiej nieporadność i zależność. Bo mały jest światek recepcjonisty i kelnera, jakoż i mały jest światek pracownika korporacji z Zachodu. Turystyka uczy nas pokory. Tego, że świat jest nie taki znów wielki, a za to okrągły, my zaś wszyscy, czyli jego mieszkańcy, jesteśmy – z grubsza biorąc – w tej samej sytuacji.

Turystyka wiele psuje, ale nie można sobie wyobrazić światowej współpracy i światowego pokoju bez niej. Tylko na własne oczy można się przekonać, że „obcy" nie jest obcy, a bliźni jest bliźnim naprawdę. Gdy każdego roku pół miliarda ludzi udaje się na zagraniczne wakacje, to choćby ich turyzm był nieco żałosny i miejscowo szkodliwy, to przecież właśnie dzięki niemu ludzkość bliżej poznaje samą siebie, przyjmując lekcję pokory, pokoju i jakiegoś ułomnego może i wątłego, lecz jednak braterstwa. Jeżdżąc po świecie, przed czymś uciekamy, czegoś szukamy, lecz w końcu odnajdujemy samych siebie. W hotelowym lustrze i w oczach „tubylca". To ważne. Dlatego warto jeździć.

JAN HARTMAN

eprasa.pl b8c08e3ae2



Obietnice przetrwania

Z dawnych, przedwojennych czasów pozostał mi wór z wielkim logo Magyar Posta. Trzeba przyznać, że stylowy – wykonany z plastikowej plecionki w różowo-beżowym kolorze, udającej jutę. Jak mawiają radiowcy: szkoda, że państwo tego nie widzą. W takich workach – nie wiem, dlaczego akurat węgierskich – przychodziły do mnie książki z Rosji zamawiane przez internet w księgarni OZON. Nawiasem mówiąc, to ta sama sieć, której magazyny ku naszej radości płoną dzisiaj od Kurska po Jamał za sprawą ukraińskich dronów. Listonosz nawet nie próbował dostarczyć mi tego gabarytu pod drzwi i nie mogłam mieć do niego pretensji. Worki z cennym ładunkiem sama odbierałam z poczty, zarzucałam na plecy i taszczyłam do domu. Potem przestałam kupować książki przez OZON, a worki zostały. Żal wyrzucić takie fajne reklamówki – szeptało moje wewnętrzne dziecko PRL. Postanowiłam być dla niego dobra i jeden zostawiłam.

Przydał się. Węgierski worek okazał się zasobem podwójnego przeznaczenia. Dzisiaj wkładam do niego puste butelki po wodzie mineralnej i kiedy zawartość wora uformuje menisk wklęsły, zarzucam go jak dawniej na plecy, choć oczywiście moje cargo waży tym razem nieporównywalnie mniej. Raz czy dwa w miesiącu kroczę z kuriozalnym węgierskim worem do najbliższego Lidla i wrzucam plastik, sztuka po sztuce, w paszczę recyklomatu. Maszyna pożera butelki, żując je powoli przy dźwiękach smakowitych trzasków, a na końcu, po krótkiej pauzie, wypluwa kupon, za który da się kupić coś na obiad. Jest to całkiem przyjemna zabawa dla neuroatypowych, a ponadto przy siedzącym trybie życia każdy powód, żeby wyjść z domu i użyć nóg, jest na wagę złota, więc chwalę sobie system kaucyjny. Nie rozumiem obrażonych, którzy się skarżą, że zbiórka surowca wtórnego odbiera im godność. Uważam, że system kaucyjny powinien zostać rozciągnięty także na ulubione przez alkoholików buteleczki typu małpka. Przynajmniej poznikałyby z bram i trawników.

> Sama wojna już nie dziwi, dziwi natomiast to, że istnieją jeszcze kanały komunikacji, gdzie da się wziąć ją w nawias.

Czasy są takie, że do porannej kawy przeglądam po maniacku internetowe strony z artykułami do survivalu. Zapełniam wirtualny koszyk obietnicami przetrwania i nie przechodzę do kasy. Klikam, powiedzmy, w radiolatarkę słoneczną z funkcją paralizatora na korbkę i maszyny do szycia spadochronów albo w uniwersalne narzędzie z funkcją wyrywania zębów w warunkach polowych i gotowania insektów na parze, wciąż wypatrując w ofercie białego wieloryba – prześcieradła do przykrycia się na leżąco w sezonie na grzyb atomowy. Nic dziwnego, że wielki *comeback* węgierskiego worka wywołał we mnie poczucie dziwności. Przypomniał smak minionych czasów, kiedy duża wojna nikomu jeszcze nie mieściła się w głowie, po prostu żyliśmy. Jest więcej rzeczy, które mocno kontrastują z naszą bliskowojenną teraźniejszością i wywołują to wspomnienie.

Zawsze myślałam, że już nie dowiem się niczego o moim ukraińskim dziadku. Umarł, gdy miałam 11 lat. Nie zdążyłam z nim porozmawiać, nie poznałam jego – a więc i mojej – ukraińskiej rodziny. Pozostało po nim kilka tajemniczych zdjęć podpisanych cyrylicą oraz strzępy jakichś legend pełne zmyśleń i błędów, jak to zwykle bywa. Wiadomości o dziadku zaczęłam obsesyjnie szukać niedawno, przerażona, że rosyjska wojna zmiecie z powierzchni ziemi to, co dotąd omijał walec historii. I choć nie jest prawdą, że w archiwach jest wszystko, to przekonałam się, że można w nich znaleźć naprawdę dużo. W krótkim czasie dowiedziałam się o dziadku więcej, niż wydawało się możliwe. Więcej niż kiedykolwiek wiedziały o nim jego dzieci. Jednak to nie archiwalne znaleziska są w tej sprawie najbardziej emocjonujące.

Możliwość kontaktu ponad granicami, wymiana słów i energii z ludźmi z kraju ogarniętego wojną i tego drugiego, wrogiego – z Ukrainy i Rosji – oto, co przyprawia o dreszcz. Wojna u sąsiadów, coraz bardziej nasza, zdążyła stać się codziennością, stanem permanentnym. Jest jak biały szum: budzimy się z nią i zasypiamy, rodzimy się i umieramy. Ona sama już nie dziwi, dziwi natomiast to, że istnieją jeszcze kanały komunikacji, gdzie da się wziąć ją w nawias; że te kanały mimo niej przetrwały. Że mogę napisać do Archiwum Państwowego w ostrzeliwanych Sumach, Konotopie czy Czernihowie i dostanę stamtąd w terminie wyczerpującą merytorycznie, a często też serdeczną odpowiedź. Że mogę napisać jako Polka do uczelni w Moskwie z pytaniem o dziadka o jednoznacznie ukraińskim nazwisku i tam również potraktują mnie może nie wylewnie, ale poprawnie. Listy stamtąd smakują jak magdalenki Prousta. Jakby stary świat nie umarł.

Niedawno w telewizji Putin odpowiadał na zadane mu gdzieś w Rosji pytanie o koniec wojny. „Gdyby wojna się skończyła, to co byśmy robili?" – powiedział do bólu szczery, krzywiąc twarz w obłąkańczym uśmiechu. Tyle jest rzeczy, które można robić zamiast mordowania. Bombardowanie szkół i szpitali to niejedyny wybór. Co byśmy robili? Bo ja wiem, może po prostu byśmy żyli?

RENATA LIS

eprasa.pl b8c08e3ae2



Człowiek hulajnoga

Nie zgadzam się, że Sławomir Mentzen niewiele dokonał w polskiej polityce, i to nie dlatego, że w wyborach prezydenckich zajął wysokie trzecie miejsce, ale dlatego, że wprowadził do polskiej polityki hulajnogę, która stała się jego symbolem. Karol Nawrocki, którego symbolem jest na razie tylko snus i Grand Hotel w Sopocie, mu zazdrości, dlatego promuje się na koniu, mającym nad hulajnogą tę przewagę, że jest środkiem lokomocji bardziej wytwornym oraz tradycyjnie polskim, a Nawrocki i jego rodzina mogą na nim jeździć na koszt państwa.

Wśród części Polaków Mentzen jest tak popularny jak hulajnoga i trzeba przyznać, że robi wszystko, by wygłaszane przez niego opinie też trzymały poziom hulajnogi. Dobrym przykładem jest zamieszczone w mediach społecznościowych nagranie, gdzie dowcipkuje sobie z powołania do policji nowych policjantek, ilustrując to ich zdjęciem. „Od razu czuję się bezpieczniej", ironizuje Mentzen, potwierdzając, że nagły przypływ uczuć może skutkować chwilowym rozstaniem się z rozumem.

Nie wiem, czy gdyby hulajnogi myślały, odważyłyby się na coś takiego. Moim zdaniem raczej przyhamowałyby. Mentzen nie przyhamował, co każe się zastanowić, że może z młodymi kobietami w policyjnych mundurach jest coś nie tak. Że może te kobiety dręczą go w koszmarach sennych, bo zamiast w naturalny sposób ulegać inteligencji i wdziękowi pędzącego na hulajnodze Mentzena, krępują go kajdankami i zabierają mu hulajnogę? Albo może paraliżuje go wspomnienie upiornej przygody posła Wiplera, partyjnego kolegi, któremu kobieta w policyjnym mundurze wyrządziła kiedyś krzywdę pałką, wykorzystując fakt, że był w stanie nietrzeźwym i próbował się przeciwstawiać jej agresywnym zapędom?

Marszałek Czarzasty uznał wpis Mentzena za skandal i zaapelował do kobiet popierających Konfederację, żeby poważnie przemyślały jego słowa i wyciągnęły konsekwencje. Zachęcanie zwolenniczek Mentzena do myślenia uważam za bardzo chytry plan, chociaż obawiam się, że spotka się z agresywną reakcją polityków Konfederacji, przekonanych, że jak kobiety zaczynają myśleć, zaraz myślą o aborcji, niezależności albo o wstąpieniu do policji, w wyniku czego mężczyźni tacy jak Sławomir Mentzen nie czują się bezpiecznie.

Pewna była policjantka zaproponowała Mentzenowi wspólne testy sprawnościowe, żeby pokazać, na co stać młode kobiety. Wszyscy w napięciu czekają, jak lider Konfy zareaguje na jej ofertę. Uważam, że powinien zareagować inteligentnie i po męsku, proponując jej pościganie się na hulajnogach.

GALERIA POLITYKI



ISKRA

POLITYKA

WYDAWCA POLITYKA Spółka z o.o. SKA
ADRES ul. Słupecka 6, 02-309 Warszawa

RECEPCJA GŁÓWNA
tel. 22 451-61-33, 451-61-34
e-mail: polityka@polityka.pl

PREZES I REDAKTOR NACZELNY
Jerzy Baczyński
tel. 22 451-60-00

CZŁONKOWIE ZARZĄDU
Mariusz Janicki (*Wiceprezes, Pierwszy Zastępca Redaktora Naczelnego*), Bartek Chaciński (*Zastępca Redaktora Naczelnego*), Katarzyna Białek (*Dyrektor Zarządzający*)

Z-CA REDAKTORA NACZELNEGO TYGODNIKA POLITYKA
Witold Pawłowski

SEKRETARZ REDAKCJI
Artur Podgórski *tel. 22 451-60-22, 22 451-61-84*

BIURO REKLAMY, KAMPANII I PROJEKTÓW SPECJALNYCH
Izabela Kowalczyk-Dudek *(Dyrektor)*
tel. 22 451-61-45, e-mail: reklama@polityka.pl
ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ REDAKCJA PONOSI ODPOWIEDZIALNOŚĆ W GRANICACH WSKAZANYCH W UST. 2 ART. 42 USTAWY PRAWO PRASOWE

PION WYDAWNICZY
Piotr Zmelonek *(Dyrektor) 22 451-61-85*
PION CYFROWY
Joanna Chmielecka *(Dyrektor) 67 210-86-30*
ADMINISTRACJA
Jadwiga Kucharczyk *(Dyrektor)*

SERWIS INTERNETOWY polityka.pl
REDAKTOR NACZELNA
Aleksandra Żelazińska
Aktualne teksty i komentarze autorów Polityki - siedem dni w tygodniu, bieżące wydania Polityki, podkasty i wideokasty oraz wiele więcej.

NEWSLETTERY POLITYKI
polityka.pl/newslettery

MEDIA SPOŁECZNOŚCIOWE
facebook.com/TygodnikPolityka
Instagram: @tygodnikpolityka
X (dawniej Twitter): @Polityka_pl
LinkedIn: linkedin.com/company/polityka

PRENUMERATA PAPIEROWA
sklep.polityka.pl
e-mail: prenumerata@polityka.pl
Cena rocznej prenumeraty (52 wydania) – 679 zł

SUBSKRYPCJA CYFROWA
polityka.pl/cyfrowa
e-mail: cyfrowa@polityka.pl
Cena rocznej subskrypcji – 299 zł

PORTAL POPULARNONAUKOWY projektpulsar.pl
REDAKTORKA NACZELNA
Katarzyna Czarnecka
Codzienny serwis popularnonaukowy, bieżące wydania miesięczników WIEDZA I ŻYCIE oraz ŚWIATA NAUKI/SCIENTIFIC AMERICAN, podkasty i wideokasty poświęcone nauce.

Sprzedaż bezumowna numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez Wydawcę jest zabroniona.

COPYRIGHT © POLITYKA SPÓŁKA Z O.O. SKA
Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w POLITYCE jest zabronione.

Przedruki: Justyna Sadowska
tel. 22 451-61-50
e-mail: przedruki@polityka.pl

DRUK Print

eprasa.pl b8c08e3ae2

Siódemka dla seniora

Jakiś czas temu na naszych łamach zaprezentowaliśmy „Siódemkę dla seniora” (POLITYKA 21) – przygotowaną wraz z Puckim Hospicjum pw. św. Ojca Pio listę propozycji, reform i zmian, które mogłyby sprawić, że starość w Polsce wreszcie mogłaby być godna. Lista ta była sumą naszych doświadczeń i refleksji wynikających z zainicjowanej przez POLITYKĘ akcji „Odchodzić po ludzku”. Proponowaliśmy m.in.: nowy standard obsługi seniora na SOR i w szpitalach, w tym wprowadzenie tzw. szybkiej ścieżki dla pacjentów 80+; pełną integrację systemu opieki zdrowotnej i socjalnej; rozwój geriatrii środowiskowej jako alternatywy dla hospitalizacji; wsparcie dla opiekunów i innowacyjne modele mieszkaniowe, czyli np. uruchomienie systemowej opieki wytchnieniowej oraz wsparcie dla mieszkalnictwa co-housingowego; reformę i nadzór nad domami opieki (w tym uregulowanie działalności prywatnych domów opieki); nowe podejście diagnostyczne i edukację systemową; a także przeprowadzenie


SPOŁECZEŃSTWO

Siódemka dla seniora

Smutna prawda o starości w Polsce: rzadko kiedy jest ona godna. Piszemy o tym regularnie od dwóch lat w cyklu „Odchodzić po ludzku”. Teraz, wraz z Puckim Hospicjum pw. św. Ojca Pio, wskazujemy, co należy zmienić, zreformować, na co rządzący powinni zwrócić szczególną uwagę.

ogólnopolskiej kampanii społecznej „Starość to wspólna sprawa”, uświadamiającej, że opieka nad seniorem to wspólna odpowiedzialność państwa, rodzin i bliskich. Chcieliśmy w ten sposób znormalizować rozmowę o starości i niesamodzielności, a także podkreślić, że starzenie się społeczeństwa to wyzwanie, które wymaga współpracy międzyresortowej i ponad podziałami politycznymi.

Stąd nasz apel zaadresowaliśmy nie tylko do rządzących, w tym szefów konkretnych resortów, ale też do przedstawicieli całej klasy politycznej, także ugrupowań opozycyjnych. Po wielu tygodniach ze smutkiem musimy stwierdzić, że potwierdziła się tylko kolejna z naszych obserwacji: los seniorów – naszych ojców, mam, dziadków, zdanych na pomoc innych – nie interesuje polityków. O smutnej rzeczywistości starzejących się Polaków przypomną sobie zapewne dopiero w kampanii wyborczej.

O tym, jak ważna to sprawa, wiedzą jednak nasi czytelnicy, którzy dzielą się z nami swoimi historiami, problemami, które na co dzień napotykają, i refleksjami, co i w jaki sposób należałoby zmienić. Jeden z takich listów publikujemy poniżej.

Zachęcamy do pisania na adres: **akcja@polityka.pl**; wszystkie materiały powstałe w ramach naszego specjalnego cyklu znajdą Państwo na: **www.polityka.pl/odchodzicpoludzku**.

REDAKCJA

Brawo POLITYKA, za to, że „udało się stworzyć listę koniecznych zmian, których wdrożenie powinno stać się ważnym zadaniem dla rządzących”, zmian „dotyczących systemu opieki geriatrycznej oraz problemów osób starszych”. Myślę, że zaproponowana „Siódemka dla seniora” jest podstawową listą koniecznych zmian w systemie opieki geriatrycznej i związanych z tym problemów osób starszych, nie tylko w czasie „Odchodzenia…”. Każdy punkt z tej „Siódemki” ma swoje zasadnicze znaczenie:

1. Skierowanie na SOR wypisane przez lekarza POZ, w sytuacjach nagłej zmiany stanu zdrowia, w szczególności dla pacjenta w wieku 80+, jest dylematem, czy narazić „staruszka” na wielogodzinne oczekiwanie na reakcję personelu medycznego (?).

2. Rozszerzyłbym zaproponowaną „Pełną integrację systemu opieki zdrowotnej i socjalnej” o wykorzystanie w tej integracji możliwości, jakie mogą dostarczyć spółdzielnie mieszkaniowe, wszak niejednokrotnie ich członkami są osoby w podeszłym wieku, potrzebujące podstawowej pomocy w codziennym funkcjonowaniu. Czy dużym obciążeniem finansowym byłoby zatrudnienie np. pracownika socjalnego w takiej spółdzielni, który nie tylko miałby za zadanie gromadzenie (za zgodą) informacji o osobach starszych, ich opiekunach, chorych i niesamodzielnych, ale też posiadałby informacje z Przychodni Zdrowia o stanie ich zdrowia i związanych z ich zdrowiem potrzebach? Ułatwiłoby reakcję spółdzielni, gdy stan wielorodzinnego budynku byłby zagrożony, np. pożarem, zalaniem czy wybuchem gazu (jak to miało miejsce choćby w ostatnią Wigilię w Sopocie – ze skutkami tej ewakuacji, czyli pękniętym kręgosłupem, żona mierzy się do dziś). Straż pożarna, aby ewakuować z zagrożonego budynku niepełnosprawnych mieszkańców, musi mieć od władz spółdzielni listę osób wymagających pomocy lub potwierdzenie, że w danym bloku nie mieszkają osoby niepełnosprawne.

Wyobrażam sobie, że spółdzielnia mieszkaniowa mogłaby organizować też dla mieszkańców np. z orzeczeniem o niepełnosprawności (i nie tylko) działania mieszczące się w ramach punktu 3. propozycji POLITYKI – niejednokrotnie przecież dysponuje wolnymi lokalami, które mogłyby posłużyć za miejsce wykorzystywane w ramach tzw. geriatrii środowiskowej.

Chciałbym też zwrócić uwagę na kwestię źródła finansowania „Siódemki dla seniora”. Według mnie powinien nim być m.in. Europejski Fundusz Społeczny Plus (EFS+), o którym w wywiadzie „Radość na starość” (POLITYKA 49/23) szczegółowo opowiadała Justyna Ochędzan: „Mówimy o 12 mld euro z funduszu EFS+ (…). To są pieniądze na rozwiązania, które mogłyby m.in. uczynić znośniejszą naszą starość”. Zgodnie z uwagą Unii, że nie można czynić nikogo niewolnikiem, wykorzystywanym do obsługi bliskiego seniora przez 24 godziny na dobę, bo taka sytuacja jest patologią. Przykłady takiej patologii opisane są właśnie w cyklu „Odchodzić po ludzku” w POLITYCE.

MICHAŁ KUPTEL

eprasa.pl b8c08e3ae2





PODRÓŻE

Pożądana gorycz

Jesień to czas zbioru oliwek. A jedne z najlepszych oliw produkuje się od 2 tys. lat we włoskiej Umbrii.

„Umbria w czołówce! 99 punktów na 100 możliwych!" – krzyczał nagłówek jednego z internetowych artykułów. „Flos Olei" – stało poniżej – wybrał najlepsze włoskie oliwy. „Flos Olei" (łac. kwiat oliwki) to nazwa prestiżowego przewodnika po najlepszych oliwach świata; specjaliści oceniają oliwy wytwarzane w 57 krajach. Ruszyłem więc do Umbrii. Oliwa jest tu produkowana od co najmniej 2 tys. lat; olejarnie z tak długą historią odnaleziono w Arrone w okolicach Terni, ale też w pobliżu Spoleto i Orvieto, a port na Tybrze w Otricoli pozwalał przeładować oliwę na statki płynące do Rzymu. Stołeczni smakosze przedkładali ją nad tę produkowaną na Półwyspie Iberyjskim i w Dalmacji.

Porzuciłem historyczne rozważania, zatrzymując samochód przed Frantoio Gaudenzi, olejarnią z tradycjami. – *Mam na imię Andrea i jestem wnukiem założyciela tego miejsca* – zaczął opowieść chłopak, który mnie powitał. Kontynuując, zdradził m.in., że oliwa musi być pozyskana z oliwek jak najszybciej po ich zerwaniu czy strąceniu z drzewa, bo w owocach w mig zaczynają się procesy fermentacyjne, które sprawiają, że nie jest tak zdrowa, jak mogłaby być. Tak zresztą pracowali już starożytni Rzymianie. Oliwki strąca się ręcznie na maty ułożone pod drzewami. Jeszcze ważniejsza jest właściwa temperatura podczas miażdżenia owoców i ekstrakcji oliwy. Dlatego w najbardziej ortodoksyjnych olejarniach młyny zaczynają pracę o świcie, przerywają w czasie największych upałów, by wznowić ją wieczorem. W innych praca ustaje tylko między północą a szóstą rano, pracownicy zaś czuwają, by temperatura podczas ekstrakcji nie była wyższa niż 27 st. C. – *Razem z naukowcami z uniwersytetu w Perugii opracowaliśmy maszynę, która chłodzi masę oliwną do 15 st. i nie pozwala na utratę cennych polifenoli* – Andrea wskazał na błyszczącą maszynę ze stali nierdzewnej.

Po chwili wlał mi do niebieskiej szklaneczki nieco oliwy. – *Co czujesz?* – zapytał. – *Zioła, zieloną trawę, pomidory, karczochy* – wymieniałem. W odpowiedzi usłyszałem, że właśnie tego należy szukać w oliwie wysokiej jakości. – *Masz dobry nos! Źle byłoby, gdybyś poczuł nuty octowe, orzechy albo migdały, bo to znaczyłoby, że oliwa jest stara i utleniona. A wiesz, dlaczego kubek jest niebieski?*

Nie miałem pojęcia, ale po chwili wszystko stało się jasne. Na kolor oliwy wpływa odmiana i czas zbiorów, jednak dla jej jakości kolor nie ma najmniejszego znaczenia. To dlatego kubeczek jest niebieski. Ważna jest wysoka ilość polifenoli, a co za tym idzie – gorycz oliwy i jej pikantność (w oliwie nie chodzi o łagodność smaku!). I tu musimy wrócić do momentu zbiorów. Im wcześniej zerwane zostaną owoce, tym mniej oliwy dadzą, ale oliwa z nich uzyskana będzie bardzo smaczna i zdrowa, będzie ją też cechować wyższy poziom goryczy. Oliwa z owoców zerwanych później, bardziej dojrzałych, będzie łagodniejsza w smaku, ale też uboższa w polifenole.

Smakując oliwę, rzuciłem okiem na kolejną maszynę w olejarni, a mój gospodarz kontynuował opowieść: – *Dziś w roli używanych przez wieki kamiennych żaren występują łatwe do utrzymania w czystości wielkie młynki ze stali nierdzewnej, a do oddzielania wody od oleju, czyli do ekstrakcji, używa się wirowania. Gotową oliwę przelewamy do tanków ze stali nierdzewnej i nie dopuszczamy do jej kontaktu z tlenem, uzupełniając zbiorniki argonem. W ten sposób udaje się utrzymać jej wysoką jakość przez cały rok.*

Umbryjczycy są bardzo związani ze swoimi gajami oliwnymi. Złożyli wniosek w UNESCO o wpisanie pracy związanej z oliwą na listę niematerialnego dziedzictwa. *Fascia olivata*, czyli umbryjski pas oliwny, ma ponad 40 km długości, przecina sześć gmin, od Asyżu do Spoleto, zajmuje powierzchnię ok. 9 tys. ha i liczy 1,5 mln drzew oliwnych różnych gatunków. Jedno z nich – rosnąca w Bovarze *l'ulivo di Sant'Emiliano*, oliwka św. Emiliana – liczy ponad 1,8 tys. lat i uchodzi za najstarsze drzewo w Umbrii, a może nawet w całej Italii. ■



Bartek Kieżun – dziennikarz, podróżnik i fotograf. Autor bestsellerowych przewodników kulinarnych po Italii: „Italii do zjedzenia" i „Neapolu łakomym okiem". Gotuje, karmi, prowadzi warsztaty kulinarne, organizuje kolacje degustacyjne i pisze. Laureat prestiżowej World Gourmand Cookbook Award, którą zdobyła „Jerozolima do zjedzenia", oraz Prix de la Litterature Gastronomique, którą wyróżniono „Ucztę na Wawelu".

eprasa.pl b8c08e3ae2

Kronika popkulturalna Kuby Wojewódzkiego



MEA PULPA

„Wydawał mi się za ładny” – to Mateusz Damięcki o Marcinie Dorocińskim w roli Wokulskiego w kinowej wersji „Lalki”. Wokulski z Netflixa kazałby mu wypierd...ać.

Po wspólnym wywiadzie Filipa i Bianki Chajzerów okazało się, że jesteśmy krajem socjologów, proroków, psychologów, wieszczów, terapeutów, wróżbitów oraz kabalarzy. Pozostali nie oglądali.

Tylko w Onecie: „Rozwód Magdy Modrej i Marka Krupskiego. Wiemy co dalej”. Przypominam. Magda wcieliła się w postać kobiety w toalecie w filmie „Francuski numer” oraz kobiety w lochach. Ale to już w innym.

Magdalena Ogórek odchodzi ze stacji wPolsce24. „Lubię robić projekty z sukcesem” – mówi. Myślę, że to jest wystarczający powód.

96-letni Sobiesław Zasada dojechał do mety rajdu Gran Premio Argentino Historico. Średnia wieku zawodników naszej narodowej jedenastki to 26,3. Jeśli nie rozwiążesz tego równania, to jesteś noga z matmy.

Audioteka wyda dźwiękową wersję „Lalki”. Do Marcina Dorocińskiego i Marka Kondrata dołączy Zbigniew Zamachowski. Jak mawia Shrek: „To jest ta scena, w której dajecie nogę”.

„Edyta Folwarska zdradza, że Maciej Pela wrócił do randkowania”. Lubię to swoje poczucie bezsilności wobec cudzego sukcesu.

Maja Hyży wyznała, że żałuje, iż po małżeństwie z Grzegorzem Hyżym komentowała życie Grzegorza Hyżego. To wielki gest odwagi. Odnieść się krytycznie do 90 proc. swojej kariery.

Pod zdjęciem moim i mojej partnerki z premiery „Lalki” w Teatrze Wielkim widniał podpis: „Andrzej Seweryn z żoną”. Pora umierać. Niestety ten, który to napisał, zostanie.

Plejada donosi: „Fausti rozstała się z Blendusiakiem”. Podobno Blendusiak zaczął wyliczać kalorie w czekotubce, którą Fausti chciała zjeść. Gdyby Szekspir ją znał, napisałby więcej tragedii.

Jacek Łągwa o przyszłości Ich Troje: „Nie twierdzę, że obecne stosunki między mną a Michałem są doskonałe, bo tak nie jest”. Gdy Roger Waters odchodził z Pink Floyd, nastrój był podobny.

Program „Lego Masters” poprowadzi w Polsacie Maciej Zakościelny. Zasady programu są proste. Bierze w nim udział sześć par, a sponsor płaci za emisję bez względu na oglądalność.

„Jest jedną z najwybitniejszych aktorek europejskich swojego pokolenia” – to Daniel Olbrychski o Helenie Englert. Daniel potrafi wyławiać nieodkryte perły. Grał ze mną w teatrze przez 15 lat.

Maciej Strug odchodzi z TV Republika. Nie gasi jeszcze światła, choć można odnieść wrażenie, że od dawna siedzą tam po ciemku.

Netflix tworzy adaptację „Nocy i dni”. W rolę państwa Niechciców wcieli się Tomasz Schuchardt. Tomaszek zmieni płeć. Serbinów zostanie przejęty przez CPK, a Toliboski poprowadzi „Familiadę”.

„Musiałem być gdzieś tam lubiany, żeby nie mieć pod górkę w pewnych kwestiach” – tak Rafał Brzozowski tłumaczy się z etykietki „pupila Kurskich”. Mnie gdzieś tam przekonał.

„Doda rozpuściła kwas w ustach” – donoszą media, które tłumaczą nam świat. Biorąc pod uwagę jej sytuację, bardziej właściwe byłoby słowo „przepuściła”.

„Vanessa Mensah z Sarą James na premierze »Lalki« wyglądały niemal jak siostry”. Światła refleksja. Dla wielu Chińczyków biali ludzie też wyglądają niemal identycznie.

Cezary Żak zażartował z Karola Nawrockiego, że: „Coś se zawetuje”. Hejt w sieci go przeraził. To zrozumiałe, gdyż społeczeństwo mamy świadome. Nie mówi się „se”, tylko „sobie”.



© SHUTTERSTOCK (2), ARCHIWUM PRYWATNE, MICHAŁ WOŹNIAK/DZIEŃ DOBRY TVN/EAST NEWS

eprasa.pl b8c08e3ae2

24/7, czyli zapraszamy na stale aktualizowane strony **polityka.pl**, na nasze blogi i podkasty



Dyplomacja na rowerze

Minister spraw zagranicznych Radosław Sikorski w social mediach często pokazuje się na rowerze. Stąd zaproszenie do naszego podkastu rowerowego. Poprzedni rząd kpił z „cyklistów". Sikorski przywraca im na antenie dobre imię, dzieli się pomysłami (Hel strefą wolną od aut) i przytacza liczne anegdoty. A czy rower przydaje się w dyplomacji? Na pewno nie szkodzi. Zawsze lepsze koła niż okrągłe słówka.



Bregret po brexicie

Premier Wielkiej Brytanii Andy Burnham dał sygnał do debaty o zacieśnieniu relacji między Londynem i UE. Nie wykluczył nawet opcji ponownej akcesji. Zrażona brytyjską chwiejnością Bruksela reaguje jednak powściągliwie. **„Odwrócenie brexitu byłoby długą i bardzo wyboistą drogą negocjacyjną", pisze na polityka.pl Tomasz Bielecki.** Jest więc „bregret" (żal z powodu brexitu), „ale bez spójnej wizji, co dalej".



„Podcastex" w podkaście

Czy Polska wyciągnęła wnioski z pierwszych dekad kapitalizmu i czy nostalgia nie zakłamuje naszej historii – o tym wszystkim rozmawiamy z twórcami „Podcastexu", czyli podkastu o latach 90. i 00. Bartek Przybyszewski i Mateusz Witkowski (znany z łamów POLITYKI) w „Polskim demo" zdrapują kolory z tamtej epoki. Budżet Polska miała wschodni, ale parła na Zachód. Z jakim skutkiem? Przeżyjmy to jeszcze raz.



Miejska gorączka

Jak zmieniać miasta, kiedy zmienia się klimat? W kolejnej dyskusji z cyklu pulsara „Podróż po wiedzę" mówili o tym wszechstronnie specjaliści, włodarze Warszawy i kraju. „Nasze miasta są zbudowane dla innego klimatu", twierdzi prof. dr hab. Szymon Malinowski (Instytut Geofizyki Wydziału Fizyki UW, Nauka o klimacie, Koalicja klimatyczna). Na YouTube można posłuchać całości. Sponsorem cyklu jest Enea.



Maria Dębska o intymności na planie

W podkaście kulturalnym gościmy Marię Dębską, gwiazdę filmów „Przez ścianę" (Złote Lwy) i „Lalka". Aktorka pasjonująco opowiada o pracy na zupełnie różnych planach, o intymności, ciemności i spotkaniach z legendami kina. „Niesamowite jest to młode pokolenie aktorów, artystów. Dobre czasy w polskiej kulturze mamy", pisze jeden z naszych widzów. Trudno o lepszą rekomendację i dla wywiadu, i dla polskiej sztuki.

© LESZEK ZYCH (3), MARIOLA GALEWSKA, STEFAN ROUSSEAU/FORUM

GALERIA POLITYKI



JAN KOZA

eprasa.pl b8c08e3ae2

POSZERZAMY HORYZONTY



Naukowe miesięczniki POLITYKI





Październikowe numery już w punktach sprzedaży prasy i na sklep.polityka.pl

Prenumerata cyfrowa obu tytułów: projektpulsar.pl

Prenumerata także z bezpłatną dostawą do wybranego

InPost Paczkomat 24/7

eprasa.pl b8c08e3ae2

KRAJ KONTRASTÓW I RÓŻNORODNOŚCI



Wydanie papierowe – w punktach sprzedaży prasy i na **sklep.polityka.pl**
Wydanie cyfrowe i audio – subskrypcja **polityka.pl/cyfrowa**
Podkast POLITYKA o historii – **polityka.pl/podkasty**
Newsletter historyczny – **polityka.pl/newslettery**

KUP TERAZ

Na sklep.polityka.pl znajdziesz ponad 60 tytułów z serii Pomocnik Historyczny

eprasa.pl b8c08e3ae2